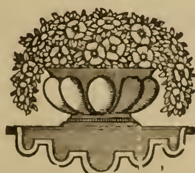
KS. F. ŁADOŃ.

ARABKA

czyli

Ciekawe przygody dziewczęcia arabskiego w Algierze.



CHICAGO, ILL.
Nakładem „Przyjaciela Dzieci i Młodzieży"
1912

PG7399
.L3A7

13-901

$.25



Napaść.

Rok 1867 na długo wyrył się w pamięci mieszkańców Algieru, był to bowiem rok wielkiej posuchy i nieurodzaju.

Tysiące ludzi cierpiało głód i znosiło największą nędzę; po ulicach miast, owinięte w białe, brudne płaszcze, snuły się wychudzone postacie Arabów, wyciągających kościste ręce po kawałek suchego chleba, albo kilka daktylów, które tu i owdzie rzuciła im jaka miłosierna ręka. Na pół nagie dzieci grzebały po śmietnikach, szukając resztek odpadków jedzenia, które potem z łakomstwem zgłodniałego psa chciwie zjadały.

Na jednym właśnie z takich śmietnisk kilkunastu małych obdartusów arabskich grzebało, czubiąc się wzajemnie przy wydzieraniu sobie znalezionych kilku suchych daktylów, gdy nagle jeden z nich, trzynastoletni wyrostek, Ahmet, o brzydkiej twarzy i złośliwych oczach, zaprzestał bójki z towarzyszami i zawołał:

— Patrzcie, Hadra idzie!

Gromadka obdartusów podniosła rozczochrane głowy i spojrzała w stronę, w którą wskazywał Ahmet. Rzeczywiście, wąską i pustą uliczką postępowa-

ła mała, dwunastoletnia dziewczynka. Na widok zgrai łobuzów, dziewczątko przystanęło na chwilkę, w czarnych, jak węgiel, oczach zamigotał ogień, a przez bladą, lecz smukłą i miłą twarzyczkę przebiegł rumieniec. Dziewczątko zlękło się i zawahało, nie wiedząc, czy ma iść dalej, czy zawrócić. Niosła bowiem pół bochenka czarnego chleba i funt suchych daktylów, owiniętych w szary, brudny papier i obawiała się, by jej nie wydarto tak drogocennego skarbu. Przystanęła więc na chwilkę, nie zdecydowana, co zrobić, gdy nagle Ahmet odłączył się od gromadki towarzyszy i pędem na cienkich i kościstych, jak patyki, nogach podbiegł do Hadry.

— Co niesiesz? — zawołał, spoglądając pożądliwym i łakomym wzrokiem na chleb, który dziewczynka obu rękami mocno przycisnęła do siebie.

— Chleb i daktyle niosę — odrzekła Hadra i jeszcze mocniej przycisnęła do siebie pakuneczek.

— Daj mi ten chleb! — rozkazał i wyciągnął rękę.

— To dla mamy! Dam ci kawałek, ale wszystkiego nie dam. — Za ostatni grosz go kupiłam, już nie mamy więcej pieniędzy, pomrzemy z głodu — odpowiedziała drżącym głosem. — Mamusia od wczoraj nic jeszcze nie jadła — dodała patrząc błagalnym wzrokiem na swego napastnika.

— Ja też jeszcze dziś nie jadłem i głodny jestem. Twoja stara baba może zdechnąć, to nic nie szkodzi. Oddaj prędko chleb! — zawołał.

— Nie nazywaj mej matki starą babą, Ahmecie, bo choć jestem tylko małą dziewczynka, ale, widzisz, kocham ją i ubliżać jej nie dam. Masz!

Napastnik ani się spodział, jak mała dłoń dziewczynki nagłym ruchem spadła na jego twarz z taką siłą, że aż świeczki stanęły mu w złych oczach.

— Masz, to za mą matkę! — powtórzyła, uderzając powtórnie napastnika, poczem pędem puściła się do domu.

Oszołomiony niespodziewanem zachowaniem się dzielnej Hadry, napastnik wnet ochłonął i zły puścił się za uciekającą. W kilku skokach dogonił dziewczynkę i z całej siły uderzył ją pięścią w głowę i popchnął. Hadra upadła na bruk, uderzając głową o kamień. Uderzenie było tak silne, że dziewczę straciło przytomność. Padając, wypuściła z rąk chleb i daktyle, które w tej samej chwili napastnik porwał i uciekł z niemi.

Gromadka owa obdartusów, spostrzegłszy, co się stało, w jednej chwili rozpierzchła się na wszystkie strony i wnet znikła w ciasnych zaułkach.

Nieznajoma pani.

Opisana napaść na dziecko wydarzyła się w czasie południowym, kiedy z przyczyny wielkiego upału rzadko kto wychodzi na ulicę, każdy bowiem o tym czasie woli siedzieć w cieniu, lub w szczelnie zamkniętej izbie swej lepianki, — niż bez koniecznej potrzeby chodzić po rozpalonych promieniami słonecznymi ulicach. Z tego też powodu nikt nie zauważył napaści na Hadrę i nikt jej nie pospieszył z pomocą, gdy nieprzytomna leżała na ulicy.

Po kilku jednak minutach, dzieweczka oprzytomniała i wolno powstała z ziemi. Stanąwszy na nogi,

bezwiednie pociągnęła dłonią po twarzy i po czole, a oglądając rękę, spostrzegła na palcach krew, która sączyła się z rany na czole. Widocznie, padając, rozcięła sobie o kamień czoło. Szczęściem, rana nie była głęboka, i dziewczątko nie czuło wcale bólu, jednak widok krwi przeraził ją bardzo, i Hadra rozpłakała się. Płacząc, oglądała się naokoło, szukając chleba i daktylów; nie widząc ich nigdzie, zrozumiała, że Ahmet porwał je, więc wolnym krokiem, z okrwawionem czołem i zapłakaną twarzyczką poszła ku domowi.

Minąwszy kilka ulic, w chwili, gdy miała skręcić na ulicę, gdzie matka jej mieszkała, nagle spotkała się z jakąś panią. Po stroju zaraz poznała, że to nie Arabka, ale Europejka, giaurka, jak z pogardą wyznawcy Mahometa nazywają chrześcijan. Hadra, jak i wszyscy jej ziomkowie, nienawidziła giaurów, bo tego nauczyła się od starszych, chciała więc najobojętniej minąć Europejkę i iść sobie dalej. Spotkana jednak pani, widząc okrwawione i zapłakane dziecko, sama przystanęła i zatrzymała przechodzącą, pytając:

— Co ci jest, dziecino? Czoło masz rozcięte, czy upadłaś?

Hadra niechętnym wzrokiem spojrzała na pytającą i nic nie odpowiedziała.

— Nie bój się, dziecino, bo ci nic złego nie zrobię — mówiła dalej nieznajoma, a wyciągnąwszy chusteczkę, zbliżyła się do dziewczynki i delikatnie poczęła ocierać krew z czoła i zapłakaną buzię.

Hadra, zdziwiona taką delikatnością giaurki, uważniej spojrzała na nią, i niechęć jej do Europejki zmniejszyła się, gdyż ta patrzała na nią z taką

serdeczną czułością, z jaką często tylko własna jej matka spoglądała, gdy Hadra miała jakie zmartwienie.

— Co ci się stało? — zapytała ponownie nieznajoma.

— Ahmet mnię uderzył i popchnął, a ja upadłam i rozcięłam sobie głowę.

— Cóż to za Ahmet i dlaczego cię uderzył!

Hadra zawahała się chwileczkę, poczem rzekła:

— Achmet, to syn Alego. Chciał mi porwać chleb i daktyle i ubliżył mojej matce.

— Ubliżył twej matce?

— Tak! nazwał ją starą babą i powiedział, że ona może zdechnąć z głodu. Więc ja go uderzyłam za to w twarz, bo ja kocham moją matkę i nie dam nikomu jej ubliżać.

— Uderzyłaś za to Ahmeta?!....— zawołała z wielkiem zdziwieniem w głosie nieznajoma. — Dziecko ty moje kochane, dobrześ zrobiła, żeś stanęła w obronie twej mamusi. Dzielną i odważną jesteś! Niechże cię uściskam za to....

Tu mówiąca przygarnęła do siebie dziewczynkę, serdecznie ją uścisnęła i pocałowała w czoło, poczem rzekła:

— I Ahmet zato cię wybił? Czy tak?

— Tak, proszę pani, odpowiedziała zupełnie już rozbrojona Hadra. — Ja uciekałam, a on mnię gonił, uderzył mnię w głowę, a gdy ja upadłam na ziemię, porwał mi chleb i daktyle i uciekł.

— I teraz idziesz znów kupić chleba, prawda?

— Nie, proszę pani. Idę do domu, do mamy, a chleba pewno dziś nie kupię, bo mamusia nie ma już

ani centa — odpowiedziała dziewczynka z głębokim smutkiem w głosie.

Po ty słowach dziewczynki, nieznajoma pani wyjęła z portmonetki jednofrankową monetę i podając ją dziewczęciu, rzekła:

— Weź, kochanie, i kup sobie chleba, daktylów i co więcej potrzebujecie.

Hadra zawahała się. Przypomniała sobie, że matka i rodzeństwo surowo zabronili jej cokolwiek przyjmować od giaurów, a ta pani przecie jest giaurką. Co prawda, to jest, widać, bardzo dobra, może tak dobra, jak i mamusia, ale zawsze to giaurka, — myślała sobie Hadra i nie wiedziała, czy przyjąć ofiarowanego jej franka, czy nie.

Spostrzegła to nieznajoma pani, a że znała niechęć Arabów do Europejczyków i ich nadzwyczajną dumę, która prawowiernym wyznawcom Koranu zabrania przyjmować jałmużny od niewiernego giaura, więc łagodnie poczęła perswadować:

— Nie wahaj się wziąść tego franka, nie daję ci go jako jałmużnę, ale pożyczam tylko, bo wiem, że tak szlachetne i odważne dziecko, co tak śmiało ujmuje się za swą matką, napewno mi zwróci pieniądze, gdy będzie miało. Weź więc franka i kup dla swej mamy potrzebnej żywności; gdy będziecie mieli pieniądze, oddasz mi. Nazywam się Reynaud i mieszkam zaraz, ot, tam w tym domu. Sprawisz nam wielką uciechę, jeżeli nas kiedy odwiedzisz. Cóż, zrobisz mi tę przyjemność?

— Dobrze, proszę pani, jeżeli tylko mama mi pozwoli, to z ochotą przyjdę do państwa.

Tu Hadra podziękowała za pieniądze i uśmiechnięta prędko pobiegła kupić chleba, daktylów a nawet i kilka funtów mąki, której już od dawna w domu nie widziano.

— Ach, to się dopiero mamusia uraduje, gdy jej przyniosę nietylko chleba, ale i mąki — myślało sobie dziewczę, biegnąc do znajomego sobie kupca.

Na ulicy.

Po zakupnie pożywienia, Hadra szybko wracała do domu, obawiając się, by jej znów jaki ulicznik nie odebrał kupionych rzeczy. Biegnąc ciasnemi i brudnemi ulicami, nagle spostrzegła przed sobą wysokiego, z długą siwą brodą starca, który wolnym i ociężałym krokiem postępował za małym chłopcem. Musiał być niewidomy, gdyż chłopiec trzymał róg białego jego płaszcza i postępował przed starym.

Hadra przystanęła chwilkę i w przechodniach rozpoznała wędrownych arabskich grajków ulicznych. Istotnie, wychudzony starzec trzymał pod pachą klarnet, a chłopiec niósł zawieszony na szyi wielki bęben. Niebawem też w powietrzu rozległy się ostre i piskliwe tony klarnetu, któremu zawtórował chłopiec na bębnie, waląc weń pałką, co siły starczyło.

Nie na długo atoli tych sił starczyło, gdyż wnet i chłopiec i starzec nagle urwali dziką swą melodyę i powlekli się dalej. Hadra obejrzała się za nimi i coś, jakby jej szepnęło w serduszku:

— Może oni głodni? Może jeszcze dziś nic nie jedli, bo tak krótko grali, zwykle daleko dłużej grają.... — pomyślała sobie, i w tej samej chwili zawróciła i pobiegła za grajkami.

— Proszę, weźcie kawałek chleba i kilka daktylów — rzekła, dogoniwszy idących.

Stary i chłopiec przystanęli. Pierwszy, słysząc dziecięcy głos Hadry, ofiarującej im posiłek, uśmiechnął się i spojrzawszy szklanemi oczyma w stronę, gdzie przypuszczał stoi dziewczynka, wyrzekł słabym i drżącym głosem:

— Allah, niech będzie pochwalony, że nam zesłał pomoc i tobie, dziecko, niech błogosławi w całem życiu, byś nigdy głodu nie zaznała. Allah, Allah, bądź pochwalony — szeptał wzruszony starzec, odbierając drżącemi rękami chleb i daktyle od dziewczęcia.

— Ciężkie dziś czasy — mówił dalej, jednocześnie podając chłopcu kawałek chleba i trzy daktyle. — Masz, jedz, bośmy obaj głodni, głodniejsi, niż dzikie szakale i hyeny... Ciężkie czasy, cały tydzień żyliśmy tylko garścią suchych daktylów. Allah na swe wierne dzieci dopuścił głód i nędzę, i mało kto dziś może wesprzyć biedaka... Sił nam już nie staje... Jednak i za to dzięki Allahowi i tobie dziecko, gazelo moja....

Hadra atoli nie słuchała już dalszych podziękowań i narzekań wędrownego grajka, bo i co jej z tych narzekań mogło przyjść? Wszak o tem, że jest głód, wiedziała ona bardzo dobrze, bo go sama cierpiała, więc prędko pożegnała spotkanych i pospieszyła do matki.

W domu Dabii.

Hadra biegła szybko i w końcu zatrzymała się przed nędzną lepianką. Był to dom jej matki, Dabii.

Dabia pochodziła z plemienia arabskiego Tifelesów, była wdową i bardzo ubogą. Oprócz najmłodszej, poznanej już córeczki, Hadry, miała jeszcze czworo innych dzieci, dwóch synów i dwie córki. Dzieci jednak, aby nie pomrzeć z głodu, opuściły starą matkę i poszły na służbę. W domu została sama tylko matka z najmłodszą córeczką, którą niezmiernie kochała. W chwili, gdy Hadra wbiegła do mieszkania, Dabia zajęta była łataniem starej wypłowiałej sukienczyny dla swej córki. Słysząc wchodzącą i nie podnosząc oczu od pracy, rzekła:

— Wróciłaś przecie?

— To nie z własnej winy tak długo byłam za domem. Spieszyłam się bardzo, mamusiu, ale....

— Ale co? — zapytała matka i spojrzała na córkę.

— Allah! Co tobie się stało, Hadro? Czoło masz rozcięte? — zawołała, a porwawszy się na nogi, szybko zbliżyła się do dziewczynki.

— Czoło masz rozcięte, skóra zdarta!... Co to jest, Hadro? — dopytywała troskliwie, oglądając ranę na czole.

— Ahmet mnię napadł, chciał mi odebrać chleb i daktyle i ubliżył mamie,a ja go za to uderzyłam.

— Ahmet. Ahmet cię napadł? I uderzyłaś go? Za co? powiadasz?....

— Bo tobie, mamo ubliżył, a ja cię kocham i choć jestem dziewczynką, ale nie pozwolę nikomu na to, by tobie, mamusiu, ubliżał.

— Światło mych oczu, Hadro kochana, — wyszeptała rozczulona matka i przygarnęła córeczkę do siebie. — Dzięki Allahowi, że dał mi tak dobrą córkę — mówiła przez łzy. — I jak to się wszystko zdarzyło, opowiedz, Hadro.

Dziewczynka opowiedziała o całem zajściu, a w końcu opowiedziała też i o spotkaniu z ową dobrą „giaurką", która jej dała aż całego franka na chleb i na daktyle.

— Gdyby nie ta giaurka, nie byłabym przyniosła ani chleba, ani mąki, ani daktylów. Wprawdzie trochę z tego dałam grajkom na ulicy, ale i to, co przyniosłam, wystarczy nam na kilka dni. Czy mama nie cieszy się z tego? — zapytała nagle, spostrzegłszy, że na czole matki osiadła jakaś chmura.

— Gazelo ty moja, źrenico mych oczu, rada jestem z ciebie, że się za matką ująłaś, ale, widzisz, wolałabym, żebyś nie była spotkała tej giaurki i żebyś nie była przyjmowała pieniędzy od niej. Nam wiernym wyznawcom proroka nie przystoi wyciągać ręki po jałmużnę do giaurów, a tem więcej do tych niewiernych Francuzów, co, jak przybłędy, wdarli się do kraju ojców naszych i na śmieciach naszych nami rządzą. Allah karze nas, i ten głód to tylko niewierni sprowadzili na nas — mówiła smutnie Dabia.

— Ależ, mamusiu, ta giaurka jest bardzo dobrą. Otarła mi czoło ze krwi i pocałowała mnie.

— Co!? Kobieta niewierna śmiała cię pocałować? I tyś, Hadro, pozwoliła na takie ubliżenie?

— Ja, ja mamo nie spostrzegłam się, ona to tak prędko zrobiła i tak dobrą mi się okazała — tłómaczyła się dziewczynka.

— Obmyj sobie czoło, Hadro, by jakie czary niewiernych nie uczepiły się ciebie.... Allah Wielki niech mnie i tobie przebaczy — wyrzekła twardo matka, gdy dziecko zbliżyło się do dzbana z wodą i obmywało sobie zranione czoło.

— Czy masz jeszcze pieniądze tej niewiernej? — zapytała po chwili.

— Tak, mamo, zostało mi jeszcze pół franka.

— Słuchaj! Weźmiesz ten dywan i zaniesiesz do Ben Aliego; wart jest ze trzydzieści franków, ale niech da, ile chce, a potem odniesiesz tej giaurce franka. Bo lepiej nam umrzeć z głodu, niż od wrogów naszych i naszej religii przyjmować jałmużnę.

Hadrze żal się zrobiło dobrej Francuski, ale, wobec widocznego gniewu matki, musiała zamilknąć i spełnić jej rozkaz. Zaraz też po południu tego samego dnia odniosła franka pani Reynaud, która z wielką uprzejmością powitała znajomą sobie małą Arabkę. Chciała nawet zaprosić dziecko do mieszkania, ale Hadra, pamiętając na zakaz matki, stanowczo jej odmówiła. Pani Reynaud nie nalegała; żegnając dziewczynkę, powiedziała jej, by w każdej potrzebie śmiało do niej się zwróciła, a co w jej mocy będzie, napewno jej uczyni.

Na służbę do giaurów.

Od pamiętnego tego dnia minęło kilka tygodni. Głód coraz srozszy powstawał i drożyzna wielka. Dumni wyznawcy proroka wobec groźby śmierci głodowej wyzbywali się swej dumy i nienawiści do Euro-

pejczyków i radzi byli, jeżeli który z nich udzielił im wsparcia, albo przyjął na służbę. Syci, pogardzali giaurami, głodni, dziękowali za pracę i za jałmużnę, choć nie jeden z nich w sercu czuł nienawiść ku dobroczyńcom.

Podobnego losu doznała też i matka Hadry. Biedna i nieszczęśliwa wdowa ratowała się sama, póki mogła; spieniężyła wszystko, co miało jaką wartość i co się dało sprzedać, w końcu nie pozostało już nic a Dabia z córką stanęły wobec widma powolnej i strasznej śmierci głodowej.

— Masz, dziecko, ostatni suchy daktyl, jak ten zjesz, nie będziemy miały już nic, a nic do jedzenia i z głodu pomrzemy, jeżeli Allah się nad nami nie ulituje i nie zeszle nam jakiego poratowania — rzekła pewnego dnia matka do Hadry.

— Dziękuję ci, mamo, ale ty zjedz daktyl, ja nie jestem głodna i obie nie będziemy głodne, jeżeli tylko pozwolisz mi pójść do tej pani francuskiej — odpowiedziała Hadra, badawczo i z niepokojem spoglądając w wynędzniałą twarz matki. — Czy mogę pójść do niej?

Matka nie odpowiedziała zaraz. Przez długą chwilę zatopiła się w głębokiej zadumie. Na twarzy co chwilę odbijały się najróżniejsze uczucia. to wstydu i upokorzenia, to dziwnej jakiejś czułości i żalu serdecznego. — Wreszcie podniosła głowę i łzawym wzrokiem spojrzała na córkę.

— Allah tak chcec — rzekła wolno i cicho. — Allah tak chce, powtórzyła — pójdziemy obie do tej niewiernej. Jałmużny od niej nie żądam, ale, jeżeli

nas przyjmie na służbę, to pracować będę, byle ciebie, gazelko moja, zachować od śmierci.

— O, mamusiu kochana, tam będzie nam dobrze, zobaczysz. To dobra giaurka, ja wiem. Nie zrobi nam krzywdy, zobaczysz matuchno! — zawołał rozradowana Hadra i zawisła na szyi matki.

Na służbie u giaurów.

Dumna Arabka z początku bardzo cierpiała z powodu tego, jak mniemała, wielkiego upokorzenia, że ona, córka dzielnego i od nikogo niezależnego plemienia Tifelesów, musi teraz, jak zwykła niewolnica, służyć u obcych ludzi, a w dodatku u niewiernych, a wrogów i wiary i plemienia. Martwiła się też bardzo nieszczęśliwem swojem położeniem i pewno prędko porzuciłaby była dom i służbę u państwa Reynaudów, gdyby nie chodziło jej o Hadrę, którą ponad wszystko na świecie najwięcej kochała i gdyby nie dobroć i zacność chlebodawców, którzy wkrótce zdołali sobie pozyskać wielki szacunek i przywiązanie dumnej a nieszczęśliwej Arabki.

Rodzina to była szczerze katolicka i pobożna, zwłaszcza pani domu odznaczała się niezwykłą pobożnością, a co za tem idzie, była zarazem dobrą i zacną gospodynią domu, której duchowe i moralne dobro domowników bardzo leżało na sercu. Znając wielką dumę narodową Arabów, zarówno jak i nienawiść do chrześcijan, a szczególniej do Francuzów, pani Reynaud obchodziła się z Dabią nader delikatnie, dokładając wszelkich starań ku temu, by niczem nie za-

drasnąć ani uczuć narodowych dumnej a nieszczęśliwej Arabki, ani jej wierzeń i przekonań religijnych.

Taka życzliwość i serdeczne współczucie wnet wywarły swój skutek na zawziętej Arabce, która sama nawet nie wiedząc, jak i kiedy się to stało, szczerze polubiła swoich chlebodawców, a nawet wyzbyła się z wielu uprzedzeń i niechęci ku chrześcijanom.

— Religia, która uczy ludzi tak szlachetnie postępować z innymi ludźmi, musi być również szlachetną i Boską — często myślała Dabija i po każdem takiem zastanawianiu się, serdeczniej się przywiązywała do swoich państwa i w większym szacunku miała ich religię i praktyki pobożne.

Daleko jeszcze silniejsze wrażenie wywarła wiara Chrystusowa na małej Hadrze, której niewinne serduszko tak chciwie pochłaniało naukę zasad religii chrześcijańskiej, jak kielich kwiatu pochłania w siebię poranną rosę.

Pani Reynaud serdecznie pokochała małą Arabkę, a widząc, że dziewczątko jest nad wyraz bystre i pojętne, poczęła ją uczyć czytać. Dla Hadry była to rzecz z początku zgoła niezrozumiała, poco ma się uczyć czytać, kiedy żadna z kobiet arabskich i tureckich nigdy ani czytać, ani pisać się nie uczyła, bo to dla nich nie potrzebne. Atoli zdanie to wnet zmieniła z następującego powodu:

Razu jednego pani Reynaud pokazała jej książkę z ładnymi, kolorowymi obrazkami, przedstawiającymi życie i cierpienia Pana Jezusa. Mała wyznawczyni proroka, nie mogła się dość napatrzeć na te obrazki, a kiedy zaś pani jej usiadła przy niej i zaczęła dziew-

czynce opowiadać o Betleemskiej Dziecinie, o Jej życiu i działaniu, a w końcu o smierci, Hadra tak gorąco zapragnęła poznać opis całego życia Zbawiciela, że gorliwie zabrała się do nauki. Skutek był ten, że wkrótce nauczyła się czytać i sama już czytała żywot Pana Jezusa. Niewinne dziecko, dzięki temu czytaniu, serdecznie ukochała naukę Zbawiciela i całą swą duszyczką zapragnęło Chrztu świętego.

— Mamusia kochana, ja chcę, chcę koniecznie zostać chrześcijanką — ozwała się raz do matki.

Choć Dabia nie pogardzała już ani chrześcijanami, ani ich wiarą, to jednak wyznanie córki poruszyło i dotknęło jej dumę i fanatyzm religijny.

— Mała jeszcze jesteś i sama nie wiesz, co pleciesz — odrzekła niechętnie.

— O, nie mamusiu, ja wiem co mówię. Ja naprawdę bardzo kocham pana Jezusa i chcę zostać chrześcijanką. A zobaczy mama, że nietylko ja zostanę nią, ale i mama też, acha!...

— Papuga z ciebie, rozumiesz?

— Niech mi mama, co chce, powie, ja kocham Pana Jezusa i mamusię też kocham i będę Go co dzień prosiła, żeby i mama Go pokochała i została chrześcijanką. Chce mama?

— A co powie nasz prorok? — zapytała trochę żartobliwie matka, udobruchana miłem szczebiotem córeczki.

— Nasz prorok? nasz prorok?... Tu Hadra zastanowiła się chwilkę, a potem rzekła:

— Co nas może obchodzić nasz prorok? On do raju przyjmuje tylko mężczyzn, a nam kobietom drzwi tam zamknięte, bo my przecie nie mamy du-

szy!... Nie, mamusiu, ja już wolę Pana Jezusa, bo On nauczał, że niewiasty też mają taką samą i nieśmiertelną duszę, jak i mężczyźni, i też pójdą do nieba... — Tak, tak, mamo, obie zostaniemy chrześcijankami. Już ja o to co dzień będę mego Pana Jezusa prosiła, a On to zrobi. Zobaczy mama, że zrobi, bo pani nasza powiada, że Pan Jezus bardzo kocha małe dzieci i nigdy im nie odmawia, gdy o co dobrego proszą. A ja przecie o dobrą rzecz będę Go prosiła i jestem jeszcze małą dziewczynką, czy nie, mamo?

— Tak, tak, jesteś jeszcze małą i dlatego głupiotką, jak papuga, — odrzekła ze śmiechem matka.

— Niech i tak będzie, ale mama zobaczy, że głupiutka papuga zrobi to, co mówi i ze swoją mamusią wnet obie zostaną chrześcijankami!

Sieroctwo.

Od tej rozmowy minęło sporo czasu, dziewczątko rosło, rozwijało się i coraz więcej pragnęło zostać chrześcijanką. A jako kochająca swą matkę córka, gorąco modliła się Hadra, aby i matka jej przyjęła chrzest św., prosiła też i swoją panią, by wreszcie pozwoliła jej dostąpić tej największej łaski i spełnić najgorętsze jej pragnienie. Pani Reynaud z początku, ze względu na zbyt młody wiek dziewczynki, umyślnie odkłada chwilę chrztu na później.

— Młodziutką jeszcze jesteś, kochana Hadro — mawiała — ucz się jeszcze, poznaj dobrze naukę Pana Jezusa, a gdy ją poznasz i podrośniesz, nic ci już wtenczas nie stanie na przeszkodzie do przyjęcia Chrztu św. I krewni twoi nie będą mogli powiedzieć,

żem cię zmusiła do zaparcia się ich wiary i do zostania chrześcijanką.

W końcu jednak gorące i ustawiczne prośby i nalegania dziewczynki odniosły skutek, i państwo Reynaud oznaczyli dzień, w którym mała Arabka miała przyjąć Sakrament Chrztu św. Hadra nie posiadała się z radości, gdy ją o tem postanowieniu zawiadomiła pani Reynaud. Liczyła tygodnie i godziny każdego dnia, oddzielające ją od tej błogiej chwili, którą już naprzód cieszyła się tak, jak tylko niewinne dziecko cieszyć się może. A jak wszystkim dzieciom, tak i jej zdało się, że czas wlecze się tak powolutku, że chyba już nigdy ten dzień nie nadejdzie.

Ale na świecie wszystko ma swój koniec, więc też i wyczekiwania Hadry miały się już ku końcowi, gdy nagle i najniespodziewaniej w życiu jej zaszły takie wypadki, że bliska już chwila urzeczywistnienia najgorętszego jej pragnienia znów odciągła się.

Pierwszym z tych nieprzewidzianych wypadków, który, jak grom z pogodnego nieba, uderzył w dziecko, była śmierć jej matki.

Słabowita kobieta, niedługo po przyjściu do państwa Reynaud, zapadła na ciężką chorobę płucną, która na pewien czas przykuła ją do łóżka. Szlachetna pani Reynaud z wielką troskliwością i miłością chrześcijańską pielęgnowała swoją służącą i pocieszała głęboko zasmuconą i strapioną Hadrę. Jednak, jako dobra pani i katoliczka, wiedząc, że dla chorej niema ratunku, skierowała wszystkie swe wysiłki ku temu, by Dabia przed śmiercią nawróciła się i przyjęła Chrzest św. Siedząc więc przy łożu chorej, pouczała starą Arabkę o prawdach wiary chrześcijańskiej.

Dabia słuchała i w sercu jej powoli dokonywała się zmiana uczuć religijnych. Widząc dobroć swych państwa, gorącą i szczerą ich pobożność, coraz więcej skłaniała się ku religii katolickiej, aż wreszcie sama oznajmiła gotowość przyjęcia Sakramentu Chrztu. Ucieszyło to wszystkich, ale najwięcej cieszyła się i radowała mała Hadra. Wyznaczono też dzień, w którym obie Arabki miały zostać członkiniami Kościoła Chrystusowego, gdy nagle pewnej nocy Dabia zaczęła głośno wołać na córkę, śpiącą w sąsiednim pokoju.

— Hadro! Hadro! — wołała matka.

Przebudzone dziecko zerwało się z pościeli i prędziutko pobiegło do łoża matki.

— Mamusiu moja kochana, mama mnie wołała?.. Czy ci gorzej, mateczko moja?

— Hadro, córko moja kochana, zapal prędko świecę, jeżeli chcesz jeszcze ujrzeć swą matkę — szepnęła chora.

Dziewczynka w gmieniu oka spełniła życzenie matki, a postawiwszy na stoliku zapaloną świecę, zbliżyła się do łóżka chorej.

— Hadro, Hadro, dziecko ty moje kochane, — wyszeptała chora, obejmując pełnym serdecznej czułości macierzyńskiej wzrokiem nachylającą się nad nią postać córeczki. — Nachyl się bliżej do mnie, — ot, tak, tak — szeptała, przyciągając córkę do siebie. — Niech raz jeszcze spojrzę w twoją twarzyczkę, dziecino kochana....

— Mamo! mamusiu, mamusiu! co z tobą jest?... Mamo, takie zimne masz ręce! Czy ci się gorzej zrobiło? — zawołała przerażona Hadra, z trwogą wpa-

trując się w blado trupią twarz matki i w szklane jej oczy.

Dziewczynka nigdy jeszcze nie widziała umierającego człowieka, więc też nie mogła pojąć, ani zrozumieć tego dziwnego stanu, w jakim znajdowała się jej matka. Wpatrując się atoli w coraz więcej bledniejącą i stygnącą twarz matki, naraz pojęła, że tu dzieje się coś strasznego, coś dla niej niezrozumiałego, o czem ona nigdy, jeszcze nie myślała. Jak błyskawica przebiegła jej myśl, że to pewno śmierć zabiera matkę, i nagle w serduszku swem uczuła jakiś dziwny, do głębi duszy przeszywający ból, od którego w tej samej chwili ogarnęła ją tak serdeczna żałość, jakiej nigdy jeszcze przedtem nie doznała. Dziecko bezwiednie wybuchło serdecznym płaczem i rzuciło się na piersi matki.

— Mamo, mamusiu najdroższa, mamusiu jedyna! co ci jest? Co się z tobą dzieje? — płacząc, pytała.

— Cicho, cicho, dziecino moja... — wyszeptała urywanym i słabnącym głosem konająca. — Uspokój się, moja Hadro... To nic... przychodzi to, czego się już dawno spodziewałam... Czuję, dziecko, że umieram...

— Mamo, mamo to nie może być! Ty nie umrzesz i nie zostawisz mnie samej! Mamo, o mamo! powiedz, że nie umrzesz! — wołała z rozdzierającym serce bólem.

— Uspokój się, Hadro! Czuję to dobrze, że umieram. Nie myślałam jednak, że to tak prędko przyjdzie... Ale trudno, dziecko... To już taka wola Boża....

— Mamo, ja zawołam naszej pani, może ona ci co pomoże i nie umrzesz...

— Nie, dziecino moja, mnie już nikt nic nie pomoże, a ty nie odchodź teraz ode mnie... bo za chwilkę może być już za późno... A mam ci, oh! — westchnęła — tak dużo do powiedzenia... Słuchaj, Hadro, ukochane dziecko moje.... i nie zapomnij ostatnich słów umierającej twej matki... Zaklinam cię, Hadro, byś już nigdy nie wróciła, do błędów Mahometa... Zostań u chrześcijan... Kochaj Pana Jezusa i żyj według Jego nauki... i... jeszcze... Hadro, jeżeli będziesz mogła, nawróć swoich braci i siostry... Dzieci, dzieci, moje... niech wam wszystkim błogosławi Bóg chrześcijan, a mnie niech przebaczy moje grzechy... O, Boże, Boże, miłosierdzia... O, Hadro, moje dziecię ukochane, żegnaj i nie zapomnij matki....

Z temi słowami konająca upadła na poduszki i wydała ostatnie tchnienie w objęciach nieprzytomnej prawie z żalu Hadry.

Wszystko to stało się tak nagle, że dziewczę nie mogło sobie jeszcze zdać sprawy, że nielitościwa śmierć wydarła jej matkę i uczyniła ją sierotą.

Nawpół przytomna z bólu, biedna sierota, leżąc na zwłokach ukochanej zmarłej, całowała stygnące jej czoło, twarz i ręce, a potem porwawszy się, wbiegła do pokoju swej opiekunki.

— Mama, mama u.... — zawołał i nieprzytomna, padła na progu.

Zły wuj.

W kilka dni po śmierci matki, Hadra siedziała przy oknie ze swoją panią, która ją, jak rodzoną córkę, pokochała i jak mogła, tak pocieszała, dziewczątko bowiem nie mogło się uspokoić po tym ciosie, który, jak grom, najniespodziewanej w nią uderzył. Najwięcej się martwiła tem, że już nigdy, nietylko na ziemi ale i w niebie nie ujrzy swej mamy.

— Żal mi serdecznie mojej mamusi — mówiła z płaczem, tuląc się do pani Reynaud — ale najbardziej żal mi tego, iż biedna, ona nie mogła przyjąć Chrztu św. i nie pójdzie do nieba. O, czemuż wcześniej nie dostąpiła tej łaski....

— Nie martw się, dziecko — odpowiedziała czule pani Reynaud — mówiłaś przecie, że twa mamusia wzywała miłosierdzia Bożego przed śmiercią; zresztą, sama już przedtem objawiła chęć zostania chrześcijanką, więc, Bóg, moje dziecię, widział i znał pragnienie jej serca, a to pragnienie zastąpi dla niej całkowicie Chrzest rzeczywisty.

Tu pani Reynaud dla pocieszenia i uspokojenia dziecka poczeła Hadrze tłómaczyć naukę Kościoła katolickiego o Chrzcie.

Dziewczynka z zapartym odechem i z błyszczącemi oczyma słuchała opowiadania swej pani, gdy nagle, jakby pociągnięta niewidzialna jakaś siła, skierowała swój wzrok na ulicę. W tej samej chwili krew zastygła jej w żyłach, śmiertelna bladość pokryła twarzyczkę, w osłupiałych oczach odmalowało się straszne przerażenie, a całe ciało drżeć poczęło, jakby w nagłym napadzie febry, z siniałych i napół rozchylonych

usteczek wyrwał się przytłumiony i pełen grozy okrzyk:

— Pani, pani!....

— Hadro, dziecko ty moje, co ci jest?! — zawołała opiekunka, przerażona do najwyższego stopnia tą nagłą zmianą w dziewczęciu. — Co ci się stało? — powtórzyła pytanie, przyciskając do siebie drżącą dziewczynkę, która coraz więcej się tuliła do niej i objąwszy ją za szyję, szeptała, jakby nieprzytomna:

— Pani moja najukochańsza, niech mnię pani broni, niech mnię pani nie daje... O mamo, mamo...

— Ależ, Hadro, uspokój się!... Powiedz, czego się tak boisz? — zapytała coraz więcej przerażona opiekunka, sądziła bowiem, że dziewczynka z wielkiego żalu po matce, nagle dostała albo pomieszania zmysłów, albo jakiejś dziwnej choroby. Patrząc więc z czułością w przerażone oczy Hadry, głaskała ją po głowie i, jak mogła, starała się uspokoić.

— Czegoś się tak przelękła? — zapytała raz jeszcze, spostrzegłszy, że dziecko zaczyna już przychodzić do siebie.

Hadra, jakby w obawie, by jej kto nie usłyszał, nie wyrzekła ani słowa, tylko drżącą ręką wskazała na ulicę.

Pani Reynaud spojrzała i rzekła:

— Nic tam nie widzę, coby cię mogło tak przerazić.

— Niech pani patrzy, niech pani patrzy, o, tam, tam, na rogu!... — szeptała Hadra.

Opiekunka jej spojrzała we wskazanym kierunku i ujrzała dwóch Arabów; jeden z nich był już stary, miał siwą długą brodę i wyglądał bardzo nieprzyje-

mnie; drugi był młodym. Obaj stali na rogu ulicy i szepcąc do siebie, przypatrywali się domowi państwa Raynaudów.

— I to ci dwaj Arabowie tak cię przestraszyli? — zapytała po chwili pani Raynaud.

— Tak, proszę pani. Ten stary to mój wuj, Izmael Abdallah, a ten młody — to brat mój, Mulej — szepnęła dziewczynka.

— No, i własnych krewnych się boisz?

— Tak, bo oni przyszli, żeby mnię zabrać ze sobą — odpowiedziała z płaczem Hadra.

W tej samej jednak chwili obaj mężczyźni odeszli i znikli z oczu Hadry i jej pani.

— Nie potrzebnie tak się wystraszyłaś, widzisz, już sobie poszli. Ja myślę, że się mylisz, przypuszczając, że po ciebie tu umyślnie przyszli. Zapewne przybyli do miasta za interesami i przypadkiem znaleźli się na naszej ulicy — uspakajała opiekunka swoją pupilkę.

— Nie, ja się nie mylę. Ja wiem, oni przyszli, żeby mnię zabrać ze sobą, ale mnie pani nie da, prawda?

— Nie obawiaj się przedwcześnie, bo nie masz żadnego powodu do tego, to tylko przypuszczenie twoje. Zresztą, coby oni z tobą robili?....

Dziewczę wszakże nie myliło się wcale, przeczuwając grożące mu niebezpieczeństwo. Istotnie bowiem Izmael Abdallah, zacięty wróg chrześcijan, dowiedziawszy się o śmierci swej siostry, a matki Hadry, przybył do Beniuby, aby od niewiernych „giaurów" zabrać siostrzenicę i wedle arabskiego zwyczaju, wcześnie ją wydać za mąż za kogoś ze swego plemienia. Przeczuła to Hadra i dlatego widokiem wuja

i brata tak się przeraziła. Ochłonąwszy atoli z pierwszego strachu postanowiła za żadną cenę nie wracać do krewnych, w uszach jej ciągle dźwięczały słowa umierającej matki: „Zaklinam cię, Hadro, być już nigdy nie wróciła do błędów Mahometa!”

W czarnych i błyszczących od wewnętrznego wzruszenia oczach dziewczęcia widać było tak silną i niezłomną wolę, iż każdy, ktoby widział teraz Hadrę, a mógłby zajrzeć do jej serduszka, przekonałby się, że mała dziewczynka raczej umrze, niż złamie swoje postanowienie.

Niezwykłą tę powagę i stanowczość dziecka zauważyła też i pani Raynaud. Pokochała ona szczerze małą Arabkę i naprawdę żal jej się zrobiło dziewczęcia, gdy pomyślała, że mogą je zabrać krewni. To przywiązanie i miłość swej opiekunki żywem odbiło się echem w serduszku sierotki, i Hadra również całą duszą przylgnęła do pani Reynaud, spodziewając się, że dobra i zacna jej opiekunka obroni ją przed wujem, którego nietylko, że się bała, ale i nie lubiała, gdyż zmarłej jej matce w biedzie nigdy nie dopomógł, chociaż mógł to był zrobić.

To też po chwili milczenia, spojrzała na swą opiekunkę i dojrzawszy w jej oczach szczere, jakby macierzyńskie przywiązanie, rzuciła się na szyję swej pani i błagalnym głosem poczęła prosić i pytać:

— Prawda, że mnie pani nigdy nie odda memu wujowi?

— Nie bój się, dziecko, uczynię wszystko, co będzie w mej mocy, byle cię zatrzymać przy sobie. Zresztą, myślę, że nie będzie to znów tak trudno. Wbrew twej woli nie mogą cię zabrać, a gdyby nawet chcieli

to uczynić, wtenczas udamy się o pomoc do rządu francuskiego. Bądź więc spokojną, bo nie masz się czem tak i martwić, gdyż, jak ci już powiedziałam wcale nie myślę, by twój wuj z bratem przybyli umyślnie po ciebię.

— Ja myślę, proszę pani, że oni właśnie tylko po mnie przybyli — odrzekła Hadra.

— No, no, daj już pokój tym wszystkim strachom i przypuszczeniom. Gdyby tak było, jak myślisz, udaliby się byli wprost do nas, do domu, a że tego nie zrobili, więc znaczy, że przyszli do miasta za sprawunkami i przypadkiem zaszli na tę ulicę, a teraz już są w drodze powrotnej do domu i więcej ich nie ujrzysz.

Lecz zaledwie pani Reynaud wymówiła ostatnie słowa, gdy w tej samej chwili w sieni rozległ się odgłos drewnianej kołatki.

Hadra drgnęła i zbladła.

— To oni — szepnęła i z trwogą spojrzała na swą opiekunkę. — Oh, Boże, co ja teraz zrobię?... Chyba się skryję gdzie?....

Do pokoju weszła służąca, murzynka i oznajmiła:

— Dwóch jakiś Arabów chce widzieć Hadrę.

— Powiedz im, że pana niema w domu, tylko same kobiety, więc niech sobie idą, skąd przyszli.

Służąca wyszła, ale wnet wróciła, mówiąc:

— Powiedziałam im, żeby sobie poszli, ale oni nie chcą odejść, nim się z Hadrą nie zobaczą. Stary Arab powiada, że jest wujem Hadry, a młodszy jest jej bratem i przyszli zobaczyć swą krewną, więc pani nie potrzebuje się niczego obawiać.

—Dobrze, idź i powiedz im, że zaraz do nich wyjdę — odrzekła pani Reynaud.

Gdy murzynka wyszła, opiekunka Hadry zwróciła się do dziewczynki.

— Nie bój się, Hadro, bo ci nic złego nie grozi, sama pójdę i rozmówię się z twoim wujem.

Tu pani Reynaud uścisnęła dziewczynkę i wyszła do czekających na dworze Arabów.

— Czego sobie życzycie? — zapytała stojących przed drzwiami mężczyzn.

Stary Arab, Izmael Abdalah, wuj Hadry, na widok pani Reynaud, wschodnim zwyczajem, na znak pozdrowienia, przyłożył prawą rękę do piersi, do ust i do czołał i patrząc chytremi oczyma na Francuzkę, z udaną pokorą odpowiedział:

— Allah! Niech się dostojna pani nie obawia biednych Arabów, którzy jej nic złego nie zrobią. Ja jestem wujem tej małej gazeli, co się chowa w domu pani, a ten tu młodzieniec — to jej brat — mówił Izmael, wskazując na milczącego i obok stojącego towarzysza.

— Bardzo mi to miło, że mogę poznać krewnych Hadry, ale męża w domu niema, więc wiecie, dobrze o tem, że wam nie wypada wchodzić do domu. Pocożeście więc teraz przyszli?

— Chcemy widzieć naszą gazelę i chcemy podziękować pani za opiekę nad dziewczyną. Mulej dawno już nie widział siostry i zatęsknił do niej, tak samo i ja — odpowiedział Izmael.

— Skądże was nagle taka czułość napadła ku dziewczynie? Hadra już oddawna jest u mnie, a żaden z was nigdy się jeszcze nie pokazał?... — mówiła pani Reynaud, zimnym spoglądając wzrokiem na stojących. — Matka jej była chorą, chciała widzieć i brata i dzieci swoje, prosiła was o to, a jednak nie przyszliście do niej, jedynie dlatego, że poszła z córką do giaurów! Czy w czasie głodu obie miały umrzeć pod płotem?...

Słuchającemu tych słów Arabowi twarz skurczyła się z gniewu, długie i kościste palce ścisnęły się kurczowo, jak szpony jastrzębia, a w oczach błysnął ogień gniewu, fanatyzmu i nienawiści. Przez chwilę zdało się, że rzuci się na panią Reynaud, lecz pochamował się, a choć w głosie jego drgała złość i nienawiść, jednak spokojnie odrzekł:

— Pani, myśmy wiedzieli, że matce i córce dobrze tu jest, dlategośmy nie przychodzili do nich, ale teraz, po śmierci matki Hadry, obowiązek zaopiekowania się sierotą spadł na mnie, dlatego przyszliśmy tu, by zabrać dziecko do naszych namiotów....

— I by je sprzedać — przerwała pani Reynaud.

— Allah! — zawołał Izmael i piorunujące cisnął spojrzenie na Francuzkę.

— Hadra jest moją siostrą i musi wrócić do swoich — wmieszał się milczący dotąd Mulej. — Proszę nam ją pokazać, bo dziewczyna musi być bardzo zmartwiona nieszczęściem, które ją tak nagle spotkało, a kto wie, może i chora jest i tęskni do krewnych.

— Żal jej matki, to prawda — ale by do was tęskniła, to bardzo wątpię — odpowiedziała opiekunka Hadry.

— Każdy tęskni po śmierci swej matki — z udanym smutkiem powiedział Izmael. — Hadra utraciła swą matkę, więc też się smucić i tęsknić musi. — Zresztą, zabierając z sobą dziewczynę, pragniemy państwu oszczędzić niepotrzebnego kłopotu z utrzymywania obcego dziecka.

— A kto wam powiedział, że mamy kłopot z Hadrą? Czy wam się skarżyła?

Tu już dłużej stary Arab nie mógł zapanować nad sobą i wybuchnął gniewem.

— Hadra jest córką mojej siostry, więc ja zabiorę ją do namiotów naszego plemienia. Żaden z plemienia Tifelesów nigdy jeszcze nie był niewolnikiem giaurów! — zawołał Izmael, obrzucając panią Reynaud wzrokiem, pełnym pogardy i nienawiści.

— Hadra nie jest tu niewolnicą, owszem kocham ją, jak własną córkę, i, gdy sama oświadczy, że chce pójść z wami, zatrzymywać jej nie będę, ale nie dam jej, jeżeli objawi życzenie pozostania u nas. Zaraz ją tu zawołam, proszę poczekać przed domem.

To powiedziawszy, ani Reynaud zamknęła drzwi do sieni i zwróciła się do pokoju, w którem zostawiła Hadrę.

Hadra siedziała sama w pokoju, a serduszko pukało jej w piersi, jak spłoszony ptaszek w klatce. Nie miała już teraz żadnej wątpliwości, iż wuj i brat po nią przyszli, i z niepokojem oczekiwała wejścia swej

pani i oznajmienia jej przykrej tej wiadomości. Jakoż niebawem drzwi się otwarły, i w progu stanęła opiekunka dziewczynki.

— Nie omyliłaś się, Hadro, powiadając, że wuj i brat przybyli, by cię zabrać od nas. Istotnie, po to przyszli — rzekła pani Reynaud, patrząc na smutną twarzyczkę dziecka. — Cóż pójdziesz z nimi?

— Czy pani mnię wypędza? — zapytała cichym głosem Hadra, gdy w oczach zaszkliły się łzy.

— Ależ, dziecko ty moje kochane, jak możesz mówić i przypuszczać coś podobnego? Czy mi już nie wierzysz, że cię pokochałam, jak własną córkę?

— Jeżeli mnię pani kocha, to mnie nie odda mojemu wujowi — szepnęła Hadra i przytuliła się do swej opiekunki. — Proszę serdecznie pani, niech mnie pani nie daje, ja nie chcę iść do wuja — prosiła.

— Więc naprawdę nie chcesz pójść do krewnych i wolisz u nas pozostać?

— Tak, pani! Ja się boję mego wuja i pragnę tu pozostać, a jak nie... to ucieknę gdzie daleko, choćby na pustynię, albo w góry Atlasu, gdzie mnie nikt nie znajdzie.

— No, no, nie bój się, moja Hadro kochana, uciekać wcale nie potrzebujesz, gdyż wbrew twej woli wuj cię nie zabierze do siebie — na to nie pozwolę. Bądź więc spokojną, zresztą, i mnie byłoby tesknо za tobą. A i mężowi byłoby markotno bez ciebie; polubiliśmy cię wszyscy i dobrze nam z tobą, a myślę, że i tobie z nami, czy nie?

— O tak, prosze pani!

— Więc już nie obawiaj się niczego i chodź do wuja. Przywitasz się z bratem i powiesz wujowi, że chcesz u nas zostać.

Tu pani Reynaud wzięła dziewczynkę za rękę i wyprowadziła do sieni, przed którą niecierpliwie czekali krewni Hadry.

— Oto jest Hadra — rzekła pani Reynaud i stanęła z boku przy dziewczynce.

— Dzięki wielkiemu Allahowi, że widzę cię zdrową — powiedział stary Arab na widok dziewczynki. — Przyszliśmy cię zobaczyć i pocieszyć po śmierci twej matki, a zarazem i podziękować za opiekę, której doznałaś w tym domu.

— Wuju Izmaelu, dziękuję za odwiedziny, których wcale się nie spodziewałam i byłabym z nich bardzo rada, gdyby nie to, że moja pani powiedziała mi, iż przyszliście tutaj nietylko, by mnię zobaczyć, ale by mnię zabrać do siebie.

— Taka jest wola Allaha. Dopóki matka twa żyła, byłaś pod jej opieką, ale teraz po jej śmierci najstarszy twój brat ma czuwać nad tobą, czego nie może zrobić, jeżeli nie będziesz w namiotach twego plemienia. Więc ja, jako głowa całej naszej rodziny, zabiorę cię do siebie, bo nie przystoi, by córka plemienia Tifelesów była niewolnicą obcych.

— Wuju, Izmaelu, żałuję bardzo, że muszę ci sprawić przykrość tem, co powiem, ale inaczej nie może być. Najprzód, nie jestem niewolnicą państwa Reynaud, którzy i matkę moją kochali i mnie kochają, a ja też ich kocham, a potem — matka moja przed sa-

mą śmiercią prosiła mnię, bym już do was nigdy nie wróciła. Wolę ostatnią mojej ukochanej mamy spełnię i dlatego powiadam ci, wuju, że nie wrócę nigdy do namiotów mego plemienia, bo... chcę zostać i zostanę chrześcijanką!...

Gdyby piorun z jasnego nieba uderzył był u samych stóp starego Izmaela, nie byłby go tak przeraził i wprawił w takie zdumienie, jak go przeraziły i zdumiały ostatnie słowa małej Arabki. To też przez długą chwilę stał osłupiały i dzikim wzrokiem patrzał na Hadrę. Tylko broda siwa i długa trzęsła mu się na piersiach, a z sinych ust dolatywał cichy i niezrozumiały prawie szept:

— Allah! Allah! czy ja dobrze słyszałem?.... Ty chcesz zostać chrześcijanką?....

— Tak, wuju — spokojnym głosem odpowiedziała Hadra. — To było życzeniem zmarłej mej matki i to jest najgorętszem mojem pragnieniem, które dawnoby się było spełniło, gdyby nie śmierć ukochanej mej mamusi. I ona też pragnęła zostać chrześcijanką i z tem pragnieniem umarła.

— Słuchaj, ty wyrodna córko swego plemienia! — Wpierw ci życie z serca wydrę, niż zezwolę na taką hańbę! — wrzasnął cały trzęsący się z gniewu i nienawiści ku chrześcijanom stary Arab i z zaciśniętemi pięściami i wściekłością w oczach skoczył ku dziewczynce.

Lecz w tej samej chwili pani Reynaud stanęła przed Hadrą i mierząc surowym wzrokiem rozgniewanego Araba, spokojnie rzekła:

— Izmaelu Abdalahimie, pohamuj swój gniew i nie groź próżno dziewczynce, bo Hadra zrobi, to, co zechce. Słyszeliście, że do was nie chce wrócić i pragnie pozostać u nas, przez to zaś oddaje się pod opiekę rządu francuskiego. A sam wiesz bardzo dobrze, że ramię tego rządu jest potężne i potrafi obronić tych wszystkich, którzy pod jego osłonę się chronią.

Słowa te istotnie podziałały na starego Araba i na chwilę ostudziły jego gniew. Bał się Francuzów, choć jak on, tak i wszyscy jego współplemieńcy z całej duszy nienawidzili Francuzów, szczególniej od czasu zabrania Algieru, co stało się z następujących powodów:

Na pół dzicy potomkowie przed wiekami przybyłych ze Wschodu fanatycznych Arabów, którzy w zwycięskich walkach pokonali pierwotnych mieszkańców północnej Afryki, Berberów, i narzucili im swą religię, z czasem stali się zuchwałymi korsarzami, to jest rozbójnikami morskimi. Przez długie wieki Algierya, Tunis i Tripolis były siedliskiem największych rabusiów świata, plądrujących po Śródziemnem morzu, napadających na okręty, których załogi w nielitościwy i okrutny często sposób albo mordowali, albo do niewoli zabierali, z której dopiero za okupem wypuszczali pojmanych. Potęga tych dzikich korsarzy wzrosła z czasem do takiego stopnia, że państwa europejskie zmuszone były opłacać daninę korsarzom afrykańskim, od czego i Stany Zjednoczone nie były wolne. Liczne zaś wyprawy wojsk europejskich przeciw korsarzom nie odnosiły skutku z powodu niedostępności kraju i dopiero w roku 1815 Stany Zjednoczone postanowiły raz wreszcie skończyć z korsarzami i więcej już nie o-

płacać haraczu rozbójnikom. W tym celu wysłały swoją fregatę pod dowództwem dzielnego marynarza Decatura, który przywódcę rozbójników morskich, Dey'a, miał zawiadomić o tem, że Ameryka więcej już nie będzie opłacała daniny.

Dumny Arab z początku nie chciał ani słuchać o tem, lecz gdy Amerykanin zagroził bombardowaniem Algieru, musiał pogodzić się z losem i przyrzec, że korsarze nie będą już napadali na okręty, płynące pod flagą Stanów Zjednoczonych. W ślad za Ameryką wkrótce poszły inne państwa europejskie, najprzód Anglia, a potem Francya. Zatarg przywódcy korsarzy, Dey'a, z ostatnią kosztował go drogo, bo utratą całego kraju, Algieryi.

Gdy bowiem w czasie rozmowy z przedstawicielem Francyi rozłoszczony Arab, Dey, uderzył w twarz Francuza, Francya natychmiast wydała wojnę: wysłała swe wojska, które pobiły korsarzy i dzikie ich bandy rozbójnicze, i w roku 1839 przyłączyła całą Algieryę do swego kraju. A chociaż mężni berbejscy górale Atlasu i Arabowie często powstawali, jednak Francuzom udało się po zaciętych bojach nietylko utrzymać nowo zdobytą i nadzwyczaj bogatą prowincyę, ale wpływ swój zdołali rozszerzyć na południe, na krainy oaz pustynnych i na ościenny Tunis.

Gospodarka Francuzów wywarła bardzo dodatni wpływ na kraj i zaczęła go podnosić. Musieli oni jednak staczać ustawiczne walki i wszędzie utrzymywać wojskowe załogi, które z konieczności, ze względu na dzikość i fanatyczną nienawiść i okrucieństwa, popełniane często na Europejczykach przez pokonanych A-

rabów, ostro z nimi musiały się obchodzić, i, dla zaprowadzenia porządku i spokoju, jakoteż dla zapewnienia bezpieczeństwa wszystkim mieszkańcom, surowo przestępców karały.

Wiedział o tem bardzo dobrze stary Izmael, bo sam był naocznym świadkiem zapoczątkowanych rządów francuskich w kraju. Więc choć z całej duszy nienawidził przybyszów europejskich, jednak bał się ich, i dlatego słowa pani Reynaud ostudziły jego gniew. Przez kilka chwil stał milczący i tylko z oczu poznać można było, że w piersi jego wre, jak w kotle. Nagle, gdy brat Hadry chciał się do niej odezwać, ścisnął go za rękę, nakazując milczenie i rzuciwszy złowrogie i pełne nienawiści spojrzenie na panią Reynaud i na sierotę, przez zaciśnięte zęby wyszeptał:

— Poprzysięgam Allahowi, że prędzej ja i ty zginiemy, nim pozwolę na to, byś spełniła swój zamiar!..

I w tej samej chwili prędko, nie żegnając się, odeszli obaj.

Zawód.

Po odejściu rozgniewanych Arabów, pani Reynaud zamknęła sień i z Hadrą weszły do mieszkania. Obie były bardzo niespokojne, groźba starego Izmaela napełniła trwogą serce dobrej Francuzki. Wiedziała, że Arab w tym wypadku napewno dotrzyma słowa i spełni swoją klątwę. I na myśl o tem, serce ścisnęło się jej z żalu. Z niecierpliwością też wyczekiwała wieczoru i nadejścia męża, któremu jak najprędzej pragnęła opowiedzieć o zaszłem zdarzeniu i o tem, co może

czekać biedną Hadrę, a tymczasem sama starała się uspakajać dziewczynkę i dodawać jej ducha.

— Nie obawiaj się groźby wuja — mówiła do Hadry, tuląc ją do siebie i gładząc jej główkę. — Dopóki jesteś u nas, nic ci złego nie mogą zrobić, choćby chcieli, bo przecież gwałtem cię stąd nie wezmą. Tego nie uczyni wuj, to jestem pewna, bo się boi, ale musisz być ostrożną i nie wychodzić na ulicę, bo tam mógłby wuj z krewnymi czyhać i porwać cię.

— Ja się już nie boję groźby wuja — odrzekła dziewczynka. — Z początku zlękłam się, ale teraz już nic, a nic się nie boję, bo jeżeliby mnię zabili, to tem prędzej pójdę do nieba i spotkam tam moją ukochaną mamusię, prawda?

— Ja myślę, ale widzisz, kochanie, o tem na razie nie trzeba, żebyś myślała.

— Dlaczego nie? Ja tak bardzo kocham Pana Jezusa, że już nic mi nie żal zostawić na świecie i z radością oddam moje życie dla Niego.

— Nawet i mnie nie żałowałabyś? — zapytała z uśmiechem pani Reynaud, wpatrując się z prawdziwie macierzyńską czułością w czarne oczy Hadry. — Mnieby zaś było bardzo żal, i nie wiem, czy kiedykolwiek mogłabym cię zapomnieć i pocieszyć się po takiej stracie.

— O, i mnie też żalby było pani, ale ja Pana Jezusa w niebie bardzobym prosiła za panią i za pana, bo ja i panią i pana bardzo kocham, a że i Pana Jezusa też kocham, to Onby mnię wysłuchał i błogosławiłby państwu, z czego jabym się cieszyła bardzo.

— Dobre i poczciwe masz serduszko, moja ty pieszczotko. Ale o groźbie wuja więcej nie myśl, Pan Bóg da, że nie będzie mógł jej spełnić.

— Ach, żeby i on się mógł nawrócić i Mulej też razem z innymi moimi krewnemi! — westchnęła Hadra.

— U pana Boga wszystko jest możliwe, i Pan Bóg najtwardsze serca potrafi zmiękczyć i nawrócić ku Sobie, jak nawrócił największego Swego prześladowcę, Pawła, który potem stał się najgorliwszym krzewicielem wiary św. Więc i wuj twój razem z braćmi i siostrami też jeszcze mogą zostać chrześcijanami. Ufaj i módl się za nich!

— Ja to co dzień robię, proszę pani. Modlę się i za wuja, i za braci, i za siostry i za mamusię też, ale, jakoś Pan Jezus nie chce mnie wysłuchać! — odpowiedziała dziewczynka z żalem i smutkiem w głosie. — Może to dlatego, że nie jestem jeszcze ochrzczona?...

— Nie mów tak, Hadro, że cię Pan Jezus nie chce, wysłuchać! On wszystkich wysłuchuje i daje nam to, o co prosimy, jeśli to nam jest potrzebne dla zbawienia naszej duszy. Ale daje wtenczas, kiedy Jemu się podoba, a nie kiedy my żądamy. Miej więc, dziecino, niezachwianą wiarę i ufność w Bogu, a co do twego chrztu, to jeszcze dziś o tem z mężem pomówię, bo już sama widzę, że dłużej nie można zwlekać.

— Zrobi to pani?! — zawołała z radością Hadra i rzuciła się na szyję dobrej opiekunki. Ściskając panią Reynaud, szeptała:

— Proszę bardzo, niech pani będzie łaskawa i poprosi pana, by już dłużej nie odkładał mojego chrztu

Ach, ja tak bardzo, bardzo, pragnę dostąpić tego Sakramentu!... Za to jeszcze więcej będę kochała i panią i pana!....

— No, już wszystko będzie dobrze, pieszczotko moja. Pomówię z mężem i myślę, że w krótkim czasie pragnienie twoje będzie spełnione.

Po tych słowach pani Reynaud uścisnęła raz jeszcze ucieszoną Hadrę i odeszła do swoich zajęć, z niecierpliwością oczekując powrotu męża. Była pewną, że z największą łatwością potrafi u rządu wyjednać opiekę dla małej Arabki. Jakież atoli było jej rozczarowanie, gdy wieczorem, opowiedziawszy mężowi całe zdarzenie, dowiedziała się od niego, że w danym wypadku wcale na pomoc rządu francuskiego liczyć nie mogą, ani oni sami, ani tem więcej Hadra.

— Władze rządowe — mówił pan Reynaud — pragną utrzymać przyjazne stosunki z Arabami, więc dla jednej dziewczyny arabskiej nie zechcą zadzierać z dzikiem plemieniem Tifelesów. A nawet i co do chrztu zachodzi poważna trudność, bo bez pozwolenia krewnych, dziewczynka nie może zostać chrześcijanką. Lecz trudność, tę możemy ominąć. Dusza dziecka i jej zbawienie ważniejsze, niż wszystkie traktaty rządowe. Dziecko pozostaje u nas i pod nasza opieką, więc możemy i bez pozwolenia krewnych ochrzcić dziewczynkę, a im prędzej to zrobimy, tem lepiej będzie — zakończył pan Reynaud.

Hadra nie posiadała się z radości, gdy jej o tem powiedziano. Dzień chrztu naznaczono na Wielką Sobotę, miał on się odbyć w największej tajemnicy w domu państwa Reynaud.

Od tego dnia oddzielały dziewczynkę jeszcze całe dwa tygodnie, które wlokły się tak po woli, że zdało się Hadrze, iż chyba nigdy nie miną. Wreszcie nadszedł Wielki Tydzień i zbliżała się uroczysta dla dziecka chwila, na którą od tak dawna już z największem upragnieniem dziewczynka oczekiwała. To też nikt nie opisze z jak wielką radością Hadra powitała pierwsze brzaski wschodzącego słońca w Wielką Sobotę. Ze wzruszenia całą noc prawie oka nie zmrużyła, i, zanim jeszcze wszyscy domownicy powstawali, ona już zerwała się z posłania, ubrała, odmówiła poranne modlitwy, obejrzała śliczną białą sukienkę, pończoszki i atłasowe trzewiczki, specyalnie na dzisiejszą uroczystość sprawione przez panią Reynaud, a widząc, że wszyscy jeszcze śpią, cichutko, na paluszkach wybiegła z mieszkania do ogrodu, okalającego dom państwa Reynaudów.

Ranek tego dnia był prześliczny, dziewczynce zdało się, że to Pan Bóg umyślnie z przyczyny dzisiejszego jej chrztu, dał taki ładny dzionek, więc serdeczna wdzięczność ogarnęła duszę poczciwej Hadry.

— Jakiś ty dobry, mój Boże! — szepnęła, podnosząc wzrok ku jasnemu błękitowi nieba i usiadła pod rozłożystą palmą, zatapiając się w czytaniu żywota Pana Jezusa i skracając sobie tym sposobem czas czekania, zanim w domu powstawają.

Wkrótce też i w mieszkaniu państwa Reynaud wszczął się ruch. Nadeszła pora śniadania i murzynka, służąca, poczęła wołać Hadrę do stołu, lecz dziewczę nie zjawiało się. Zdziwiona tem niezwykłem zachowaniem się dziewczynki, murzynka, która bardzo polubiła

Hadrę, poczęła jej szukać po całym domu i ogrodzie, lecz na próżno: Hadry nigdzie nie było. Przerażona i, jakby tknięta jakimś złem przeczuciem, prędko wbiegła do jadalnego pokoju, gdzie już siedzieli przy stole państwo Reynaud, oczekując ze śniadaniem na dziewczynkę.

— Pani, Pani! Hadra zginęła! — zawołała, stanąwszy w progu.

— Co ty mówisz?! — zawołali razem państwo Reynaud.

— Hadra zginęła! Widziałam ją, jak wczaś rano wstała i poszła do ogrodu. Gdy ja zaś wstałam i wyjrzałam do ogrodu, widziałam, że dziewczynka siedziała pod palmą i czytała. Teraz zaś, choć wołałam, nie odezwała się wcale. Przeszukałam cały ogród, ale Hadry nie znalazłam nigdzie, tylko tę oto książkę znalazłam pod palmą, gdzie dziecko czytało.

Po tych słowach zdumienie i przerażenie ogarnęło opiekunów małej Arabki. Oboje państwo co żywo pobiegli do ogrodu, wołali i przeszukali każdy jego zakątek, ale nigdzie ani śladu dziewczynki. Pan Reynaud wybiegł na ulicę, przebiegł najbliższe domu i ogrodu ciasne uliczki, dopytując spotkanych, czy nie widzieli, Hadry, ale nikt jej nie widziałł, ani nie spotkał.

— Hadra zginęła! — rzekł zmartwiony, wszedłszy do pokoju, gdzie z obawą w sercu czekała go pani Reynaud.

Co się stało z Hadrą.

— Boże mój! co się z dzieckiem mogło stać? — rzekła z głębokim smutkiem w głosie pani Reynaud.

— Nie martw się — próbował pocieszać żonę — może dziewczynka pobiegła do swoich znajomych i niebawem wróci.

— Nie, nie, to nie może być. Hadra od czasu wizyty swego wuja i brata nigdzie poza dom nie wychodziła, więc i dziś, jestem pewna, tego nie zrobiła. Ją porwali! a my jesteśmy bezradni, bo od fanatycznego Izmaela żadna siła ludzka dziewczyny nie odbierze. Biedne, biedne dziecko! Bóg wie, co się z nią teraz stanie?...

— Może i to być, co mówisz, ale poczekajmy jeszcze, może dziecko wróci.

Ale Hadra nie wracała. Mijały godziny, nadeszło południe, a dziewczyna się nie zjawiła. Teraz już nie było żadnej wątpliwości, że dziewczynkę uprowadzono. I tak też istotnie było, a stało się to w następujący sposób.

Stary Izmael wraz z Marabutem, młodszym bratem Hadry, od kilku dni przebywał w Beniubie. Przybyli tu umyślnie na dwóch wielbłądach z góry ułożonym planem porwania dziewczynki i odwiezienia jej do swych namiotów. U znajomego sobie Araba, którego dom przytykał tuż do ogrodu państwa Reynaudów, zamieszkali obaj krewni i na przemian co dzień wypatrywali odpowiedniej chwili, kiedyby dziewczynka sama wyszła na ulicę, gdyż tylko w tym wypadku mogli ją porwać i uwieźć. O planie tym wiedział Arab, u którego zamieszkali, i też im pomagał, ile mógł.

Po trzech dniach próżnego wyczekiwania, stary Izmael już się począł niecierpliwić, bo przekonał się, że dziewczynka wcale na ulicy się nie pokazuje, więc chciał już wrócić do namiotów, gdy Marabut zdołał go nakłonić do dalszego czekania, przypuszczając, że jeżeli nie z ulicy, to z ogrodu uda im się porwać Hadrę. A gdy ją raz dostaną w swe ręce, to żadna siła giaurów już im dziewczyny nie odbierze. Czekali więc dalej niecierpliwie.

Nareszcie tego dnia, kiedy Hadra zginęła z ogrodu, nadzieje czekających spełniły się tak, jak przewidywał Marabut: dziewczynka sama wczesnym rankiem wyszła do ogrodu. Więc zaledwie spostrzegł ją Marabut, który tego dnia też wcześniej się obudził i właśnie spoglądał na dom znienawidzonych Francuzów, natychmiast co żywo podbiegł do leżącego na podwórku wuja i szepnął:

— Allah jest wielki! Nasza gazela jest sama w ogrodzie!

— Widziałeś!? — zawołał Izmael, zrywając się na równe nogi ze ziemi.

— Tak, wuju. Przed chwilą wyszła do ogrodu sama, w domu giaury widać śpią jeszcze, bo nikt się nie pokazuje. Nawet to czarne stworzenie jeszcze nie wyszło. Śpieszmy się!

Starego Araba nie trzeba było zachęcać do pośpiechu. Zerwawszy się z ziemi, zrzucił z siebie wełniany koc, którym przez noc był okryty, wyprostował zesztywniałe kości, wyszeptał krótkie podziękowanie Allahowi i prorokowi i rzekł:

— Spędź wielbłądy i przygotuj je do drogi. Ja idę po Hadrę. W którem miejscu ogrodu znajduje się dziewczyna?

— Ot, zaraz blisko muru, pod tą palmą siedzi i czyta. Nawet tej sztuki nauczyła się od giaurów — odpowiedział cicho brat Hadry i ręką wskazał na siedzącą dziewczynkę.

Stary Izmael spojrzał w kierunku wskazanem przez młodego Araba, i oczy zaiskrzyły mu się, jak u kota na widok myszy, której jest pewien.

— Allah jest wielki! — szepnął. — Śpiesz się i przygotuj wielbłądy — upomniał z kolei młodszego towarzysza.

— Natychmiast, wuju! — odrzekł Marabut. — Czy mam zbudzić gospodarza?

— Nie, nie potrzeba, on i tak będzie wiedział, cośmy zrobili.

Tu stary Izmael wyszedł z podwórku i skierował się w stronę ogrodu państwa Reynaudów. Do ogrodu nie potrzebował daleko iść, gdyż rozpoczynał się tuż obok domu, gdzie obaj z Marabutem zamieszkali. Ogród otoczony był tylko niskim murem, a raczej wałem z suszonego błota i kamieni. Wuj Hadry w jednej chwili przeskoczył ten wał i cichutko, delikatnie począł się zbliżać do dziewczyny.

Wzruszona zbliżająca się dla niej uroczystą chwilą i zaczytana, siedziała Hadra pod palmą, zapomniawszy o całym świecie. Gdy nagle tuż za sobą posłyszała szelest przyśpieszonych kroków. Jakiś lęk niewytłómaczony ukłuł ją w serduszko; podniosła nagle główkę i z przerażeniem ujrzała nad sobą żółtą

kościstą twarz, długą siwą brodę i ponuro patrzące, a roziskrzone źrenice wuja Izmaela.

Widok ten tak przeraził dziewczątko, iż ze strachu ani głosu wydobyć nie była w stanie. Szeroko otwartemi oczyma wpatrywała się przez kilka sekund w znajomą sobie twarz wuja, nie wiedząc, czy to rzeczywistość, czy też tylko sen. Ciało jej znów napadł paroksyzm febrycznego drżenia, krew zbiegła do serca które tak zaczęło kołatać, jak u zmęczonego gołąbka. Chciała powstać, ale nogi bezwładne odmówiły posłuszeństwa, chciała krzyknąć o pomoc, lecz głos zamarł w piersi i tylko zbielałe wargi nerwowo drgały, a z ust dolatywał zaledwie dosłyszalny i niezrozumiały szept. Nagle łzy się zaszkliły w oczach dziecka i z piersi wydobył się spazmatyczny, nerwowy płacz.

To bardzo rozgniewało starego Araba, gdyż obawiał się, że płacz Hadry może jej przywołać kogo na pomoc. Więc, jak tygrys na swą zdobycz, tak Izmael rzucił się ku dziecku: w mgnieniu oka dłonią prawej ręki zatkał usta Hadrze, a lewą objął wątłą jej postać i podniósł z ziemi, szepcąc przez zaciśnięte zęby:

— Milcz, ty niewdzięczna córko swego plemienia! Bo jeżeli krzyczeć będziesz, zduszę cię jak gadzinę.

I nim się dziewczyna spodziała, co się z nią stało, stary Arab w kilku susach, trzymając Hadrę na ręku, jak małe dziecko, dobiegł do muru, jednym skokiem przesadził go i za kilka sekund był już na podwórzu, gdzie Marabut czekał nań z osiodłanymi do podróży wielbłądami.

— Allah jest wielki! — szepnął do Marabuta — zamiary nasze spełnione: Oto mała gazela, na którą

tak długo polowaliśmy, teraz nam się nie wymknie. Siadaj na wielbłąda i weź ją przed siebie!

Marabut, nim spełnił rozkaz wuja, zbliżył się wpierw do niego i spojrzał na siostrę. Widok przerażonego dziecka, z szeroko otwartemi oczyma i cicho szlochającego wzruszył młodego Araba. Jakieś żywsze i serdeczniejsze uczucie ozwało się w jego sercu i żal mu się zrobiło siostry. Chcąc ją więc pocieszyć i uspokoić, rzekł półgłosem:

— Nie bój się, Hadro! Przecież my ci nic złego nie chcemy zrobić. Pragniemy cię tylko zabrać do domu, gdzie cię z upragnieniem oczekują towarzyszki

— Puście, puście mnię do mej pani! ja nie chcę jechać z wami. O Boże, mój Boże! ratuj mnię!... Proszę puście mnię!... — szeptało dziewczątko z płaczem.

— Głupiaś! — odpowiedział stary Arab. — Czy myślisz, że Izmael Abdalah na to stracił kilka dni i nocy, by upolowawszy zwierzynę, puścił ją nazad?.... Siadaj Marabucie, bierz Hadrę przed siebie i ruszamy.

W mgnieniu oka Marabut znalazł się na grzbiecie wielbłądzim, posadził przed sobą podaną mu przez wuja siostrę i niebawem wszyscy opuścili Beniubę, spiesząc w kierunku południowym, gdzie w chwili obecnej koczowało plemię Tifelesów.

Hadra, widząc, że ją naprawdę uwożą, chciała krzyczeć o pomoc, ale zaledwie otworzyła usta, w tej samej chwili dłoń Marabuta spoczęła na nich i okrzyk zamarł jej w piersi.

— Chcesz krzyczeć? — zły zawołał Izmael. — Owiń jej głowę derką, skoro wyjedziemy dalej za miasteczko, zdejmiemy sokolicy kapturek i niech sobie po-

tem rozdziera się po pustyni, ile jej się będzie podobało.

Marabut jednak nie spełnił tego polecenia wuja, żal mu było siostry, więc szepnął łagodnym, choć stanowczym głosem:

— Nie krzycz, Hadro, bo ci to nic nie pomoże. Psy niewierne, u których byłaś, śpią jeszcze, a Arabowie na twój krzyk nie będą zważali.

Hadra nic już nie odrzekła, tylko szlochanie rzewne i serdeczne szarpało jej pierś. Żegnając w duchu dobrych państwa Reynaudów, dziewczątko z każdą chwilą oddalało się od swych opiekunów i niebawem minęli ostatnie domy małej mieściny arabskiej, a gdy w domu państwa Reynaudów spostrzeżono nieobecność wychowanki, ona już była daleko od Beniuby.

Spotkanie.

Poranne słońce po woli dźwigało się coraz wyżej na niebie i coraz więcej przygrzewało. Izmael, otulony w białą burkę i gruby zawój, jakie mieszkańcy gorących tych krajów noszą na głowach dla zabezpieczenia się od palących promieni słonecznych, siedział sztywny i milczący na swym wielbłądzie, który długimi krokami zdążał przed siebie. Zaraz za nim postępował drugi wielbłąd, niosąc na swym grzbiecie Marabuta, trzymającego uprowadzoną Hadrę.

Miękka droga, którą szły wielbłądy, otoczona była z obu stron wałami ziemi, porośniętej nieprzejrzystymi płotami kolących krzewów, za którymi rozciągały się żyzne i bogate winnice, z których słynie Al-

gier. Między niemi widać było piękne ogrody, zasadzone drzewami południowych owoców, upajająco wonnych, o kolorze pomarańczowym, purpurą płonących smacznych i orzeźwiających granatów, gruszkowatych fig; dalej zaś rozpościerały się wielkie pola tytoniu, cynobru, pieprzu i ogromnych melonów. Gęsto też wystrzeliwały z tej zieleni wysokie, bronzowe pnie palm daktylowych, odcinając się wyraźnie na błękitnem tle jasnego nieba.

Między tą zielenią jadący często napotykali małe z gliny ulepione domki Berberów, którzy dawno już zajęci byli pracą, i na okół słychać było skrzypienie żórawi łańcuchowych studni, z których dobywano wodę i zraszano nią spragnioną ziemię. Od czasu do czasu spotkali też czarne namioty, pokryte tkaninami ręcznie zrobionemi z koziej sierści — były to obozowiska arabskich rodzin koczujących, które, zajmując się hodowlą owiec, wielbłądów, lub bydła, co trochę zmieniają swe koczowisko, szukając paszy dla dobytku. Przy tych koczowiskach widać było krzątające się kobiety, o bronzowych twarzach, których sobie wcale nie zakrywają welonami, jak: turczynki lub inne mahometanki.

Na drodze spotykali też licznych berberskich wieśniaków, spieszących z objuczonymi mułami, lub osłami do pobliskich miasteczek dla zbycia swych produktów. Spotykani pozdrawiali się wzajemnie, przykładając prawe dłonie do piersi, ust i do czoła i mijali się spokojnie. Jadący spotkali nawet większą z dalekiej pustyni idącą karawanę, którą skoro tylko dojrzał stary Izmael, natychmiast skierował swego wielbłąda na bok drogi, a za nim uczynił to samo Ma-

rabut i obaj przystanęli, czekając, aż minie ich nadchodząca karawana.

Niebawem też zbliżyła się. Złożoną ona była z blisko trzydziestu wielbłądów. Szare i brunatne zwierzęta o złośliwych i załzawionych oczach, kołysząc się wolno, objuczone workami z czarnej w białe pasy materyi, z siedzącymi na workach i kołyszącymi się beduinami, minęły spokojnie stojących na boku Arabów, którzy bezustanku wodzili rękami od czoła do piersi, oddając pozdrowienia przejeżdżającym.

Po przejściu karawany, Izmael i Marabut z Hadrą ruszyli w dalszą drogę. Nie ujechali jednak zbyt daleko, gdy tuż przed sobą nagle spotkali dwóch podróżnych; jeden z nich był ślepcem, drugi małym chłopcem. Chłopiec szedł pierwszy, na piersiach zawieszony niósł wielki bęben, a w prawej ręce trzymał długą laskę, której drugi koniec trzymał stary ślepiec i w ten sposób postępował za swym przewodnikiem.

Chłopiec, spostrzegłszy nadchodzące wielbłądy, prędko usunął się na bok i pociągnął za sobą starca. Za chwilę jadący zrównali się z stojącymi na boku przechodniami, i gdy Hadra rzuciła na nich okiem, cała drgnęła, a serduszko zabiło jej tak mocno, iż zdało się, że wyrwie się z piersi. Poznała w przechodniach wędrownych grajków, z którymi podzieliła się chlebem w pamiętnym dla niej na całe życie dniu, kiedy, napadnięta na ulicy i ograbiona przez Ahmeta, z płaczem wracała do matki i najniespodziewaniej spotkała panią Reynaud.

Spostrzegłszy znajomego sobie chłopca i nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zwróciła się prędko do stojących przy drodze i zawołała:

— Abdo, gdy przyjdziecie do Beniuby, idź do pani Reynaud i powiedz, że mnię Wuj Izmael porw....

Nie zdążyła już skończyć, gdyż Marabut położył jej dłoń na ustach i zły zawołał:

— Milcz, Hadro! Czy chcesz, bym ci głowę owiązał!

W tej chwili obejrzał się stary Izmael i spojrzawszy złośliwym wzrokiem na dziewczynkę, szyderczo ozwał się:

— Daj pokój, Marabucie. Niech sobie teraz krzyczy, ile jej się podoba. Giaury nic nam już nie zrobią.

Po tych słowach wyciągnął z sakwy kilka suchych daktyli, rzucił je pod nogi stojącym grajkom, wołając:

— Macie! posilcie się i spieszcie prędko do Beniuby. A gdy tam przyjdziecie, powiedzcie giaurom francuskim, że stary Izmael, wódz Tifelesów, zabrał im sarenkę, której już więcej nie ujrzą. Allah jest wielki!

Tu Arabowie pojechali dalej.

Wiadomość.

Mały przewodnik starego grajka ulicznego stał długą chwilę zdumiony i patrzał za oddalającymi się Arabami, uwożącymi Hadrę.

— Kto to był? — zapytał stary grajek, przerywając milczenie.

— Izmael — odrzekł chłopiec.

— A ten drugi, bo zdało mi się, że dwa wielbłądy nas minęły?

— To był jakiś młody Arab, którego nie znam. Trzymał przed sobą Hadrę.

— Kogo?

— Hadrę, dziewczynkę. Pamięta dziaduś, tę dziewczynkę, co nas razu jednego obdzieliła chlebem i daktylami, gdyśmy głodni przyszli do Beniuby.

— O, tak pamiętam to dziecko. I ją to wiózł stary Izmael?

— Nie. Izmael jechał sam, a dziewczynkę wiózł ten drugi — objaśniał chłopiec. — A ona płakała, widziałem.

— I coś wołała, — dodał grajek.

— Tak, wołała, żebym w Beniubie powiedział pani Reynaud, tej Francuzce, u której z matką była, że ją porwał Izmael. Chodźmy prędko dziadusiu!

I nie czekając na odpowiedź starca, chłopiec postąpił szybko na środek drogi i pociągnął za sobą towarzysza.

— Wolniej, wolniej, chłopcze! — upominał stary grajek. — Widzisz przecie, że ja ci nie zdołam nadążyć. Zresztą, poco się tak spieszyć, i tak na czas przybędziemy do Beniuby, a słońce zaczyna przypiekać.

Istotnie godzina już była blisko dziesiąta z rana, i słońce paliło, ale chłopiec nie zważał na to. We wdzięcznym jego sercu obudziła się głęboka litość dla biednej Hadry. Ze słów jej i starego Izmaela wywnioskował, że Arabowie siłą, wbrew woli dziewczynki, musieli ją porwać z domu Francuzów, boć inaczej nie płakałaby i nie kazałaby mu o tem zawiadomić panią Reynaud. Więc postanowił jak najprędzej przybyć do miasteczka i zawiadomić Francuzkę o spotkaniu. Nie zważając na gderania starego dziadka, ile mógł

przyspieszał kroku, a za nim, sapiąc i dysząc, zdążał i stary grajek.

— Postrzelona z ciebie pałka — mówił ostatni do chłopca. — Pędzisz, jak samun przez pustynię.

— Nic to, dziadusiu, odpoczniemy sobie potem. Jeszcze godzinę, a będziemy na miejscu. Niech dziaduś da mi nieść swój klarnet, to będzie lżej dziadusiowi.

— Obejdzie się, ale powiedz mi, czemu my tak lecimy na łeb i na szyję do tych giaurów francuskich?

— Musimy, dziadku! Hadra była bardzo dobra dla nas, i ta Francuzka często nas obdarzała jałmużną, a dziaduś wie, że nam więcej dawała, niż nasi bracia właśni, choć prorok nakazuje dawać jałmużnę ubogim. Musimy więc dopomódz Hadrze. Jak dziaduś nie może już iść, to niech sobie tu usiądzie w cieniu, a ja sam pobiegnę do Beniuby, zawiadomię Francuzkę i potem wrócę po dziadusia, dobrze?

— Hm, możeby to było i lepiej — odrzekł stary grajek i przystanął. Pić mi się chce. Czy nie widzisz tu gdzie studni?

Chłopiec obejrzał się.

— Zaraz dziadusiowi przyniosę wody — odpowiedział, dojrzawszy o kilkanaście kroków od drogi małą lepiankę Berbera.

Skoczył też co żywo ku niej i za chwilę wrócił i podał dziadkowi wodę w glinianym dzbanuszku.

— Ja myślę, dziadusiu, że zamiast siedzieć przy drodze, lepiej będzie, gdy dziaduś pójdzie tu do tego domu i tam na mnię poczeka. Dobrze?

— Cóż mam robić? Chodźmy!

Mały przewodnik, wziąwszy za rękę starca, wprowadził go na podwórko spotkanej zagrody, gdzie go ścinnie zostali przyjęci przez mieszkańców. Za kilka chwil, posilony chłopiec pędził w stronę Beniuby, co sił w nogach starczyło.

Zbliżało się już południe, gdy mały Abda zadyszany i spocony stanął przed bramą domu państwa Reynaudów i uderzył kilka razy kołatką.

Wieść o porwaniu Hadry bardzo szybko rozniosła się po małej mieścinie, wszyscy już o tem wiedzieli. Najpierwszy wiedział o tem Arab, u którego wuj i brat Hadry mieszkali, gdy bowiem spostrzegł nieobecność swoich gości i brak wielbłądów, a następnie zobaczył pana Reynauda szukającego dziewczynki, domyślił się natychmiast, co się stało, ale nic nikomu o tem nie powiedział. W duchu rad był, że giaurom sprawili Arabowie taką przykrą niespodziankę. Państwo Reynaud zaś daremnie całe dopołudnia poszukiwali zaginionej dziewczynki, o której żadnych wiadomości od nikogo zasięgnąć nie mogli; nieliczni bowiem chrześcijanie nic nie wiedzieli,a mahometanie,choć dorozumiewali się wszystkiego, tajemnicy nie zdradzali. To też przybycie Abdy z wiadomością o zaginionej wielką sprawiło ulgę pani Reynaud.

Na kołatanie chłopca zjawiła się murzynka, pytając, czegoby chciał.

— Chcę widzieć panią Reynaud, bo mam bardzo ważną dla niej wiadomość — odrzekł zadyszany chłopiec.

Za chwilkę zjawiła się zmartwiona pani Reynaud.

— Cóż to za wiadomość przyniosłeś, Abdo, czy może od Hadry? — zapytała, poznając chłopca.

— Tak, pani — odrzekł chłopiec, pozdrawiając Francuzkę obyczajem wschodnim.

— Na prawdę od Hadry!? Widziałeś ją i wiesz, gdzie jest? — rozradowana zapytała pani Reynaud, i nadzieja odzyskania dziewczynki wstąpiła jej do serca.

Chłopiec opowiedział wszystko, co się zdarzyło na drodze. Pani Reynaud wysłuchała opowiadania i, ucieszona, kazała najprzód, by murzynka przygotowała posiłek dla chłopca, a potem co duchu wysłała ją z otrzymaną wiadomością do męża, pracującego w biurze.

Chłopiec, odpocząwszy i szczodrze obdarzony przez panią Reynaud, pospieszył z powrotem do czekającego dziadka. Biegnąc wąską uliczką, nagle wpadł na drugiego chłopca, wybiegającego z poprzecznej uliczki. Chłopcy zderzyli się.

— Hej! zatracony Arabie, gdzie masz oczy!? — zawołał rozgniewany drugi chłopiec, przybrany po europejsku.

— Przepraszam, ale o to samo i ciebie mogę zapytać — odrzekł niezmieszany wcale Abda. — Małoś mi nosa nie utrącił!...

Chłopcy spojrzeli na siebie i roześmieli się. Poznali się.

— Słuchaj, Abda, ty włóczysz się po całej Afryce i bębnem swoim głuszysz ludzi, czy nie widziałeś gdzie Hadry? Szukamy jej całe półdnia, a nigdzie jej znajść nie możemy. Musieli ją Arabowie wykraść. Ach, żebym tylko wiedział kto?!...

Abda uśmiechnął się na tę groźbę Europejczyka, i rzekł:

— Idź do pani Reynaud, a dowiesz się wszystkiego, bo ja nie mam czasu, muszę biedz do dziadka. Do widzenia.

Z temi słowami chłopcy się rozbiegli: spotkany na ulicy przez Abdę Europejczyk -cożywo pobiegł do mieszkania państwa Reynaudów, a mały Arab kopnął się do dziadka.

Nowy Przyjaciel.

Spotkany przez Abdę chłopiec, co duchu pobiegł w stronę mieszkania pp. Reynaudów, by się dowiedzieć, co słychać z Hadrą. Poznał on ją i zaprzyjaźnił się z małą Arabką, bywając u jej opiekunów. To też szczerze się zmartwił, gdy się dowiedział, że dziewczynka zginęła i że najprawdopodobniej została uwiezioną przez Arabów. Od samego rana biegał po całej Beniubie, lecz poszukiwania jego były tak samo daremne, jak i pana Reynaud: dziewczynki nikt nie widział i nikt nie wiedział, co się z nią stać mogło. Dopiero Abda przyniósł do Beniuby pewną wiadomość o zaginionej. Więc chłopiec szybko biegł do mieszkania pp. Reynaudów i przed samym domem spotkał się z p. Reynaud.

— Proszę pana, czy Hadra wróciła? — zapytał pana Reynauda.

— Nie wiem, mój Wicusiu — odrzekł zapytany. — Właśnie służąca była u mnie i powiedziała, że żona ma jakieś wiadomości o dziewczynie, którą spotkał Abda. Śpieszę więc, by się dowiedzieć, co to są za wiadomości.

— I mnie też Abda o tem powiedział.

— Wejdźmy do domu, to zaraz się dowiemy wszystkiego — odpowiedział pan Reynaud i razem z chłopcem wszedł do mieszkania.

Zaledwie weszli do pokoju, zjawiła się natychmiast pani Reynaud i opowiedziała, co jej o spotkaniu z Hadrą mówił Abda.

Pan Reynaud spokojnie słuchał opowiadania żony, a gdy skończyła, ozwał się:

— No, dzięki Bogu, przynajmniej teraz wiemy napewno, co się stało z dziewczynką, i kto ją porwał.

— To też bardzo się z tej wiadomości ucieszyłam — odpowiedziała opiekunka Hadry. — Teraz łatwiej nam przyjdzie odzyskać dziecko.

— Nie chciałbym ci robić przykrości, moja droga, ale... bardzo wątpię, czy twe nadzieje odzyskania Hadry jakimkolwiek sposobem mogą się spełnić.

— Dlaczegóżby nie? — zapytała pani Reynaud, spoglądając zdziwionym i niepewnym wzrokiem na męża. — Przecież wiemy, kto ją porwał — dodała po chwili milczenia.

— Tak, ale możesz być pewną, że stary Izmael za nic w świecie nie odda dziewczęcia.

— A gdybyśmy go poprosili?... Dziewczyna wyraźnie mu powiedziała, że nie chce być u niego, więc możeby ją na nasze prośby odesłał?

— Nie, nie, zawzięty Arab tego nie zrobi, nie znasz Arabów i ich nienawiści do giaurów. Wuj Hadry musi być bardzo rad, że nam spłatał takiego figla.

— Więc co robić? — zapytała pani Reynaud. — Żal mi serdecznie dziewczynki!... Mój Boże, dziś właśnie miał być jej Chrzest, tyle się naprosiła o niego, a tu masz! wszystko się rozwiało, jak mgła!....

— Nie smuć się daremnie, bo myślę, że Hadrze ostatecznie źle tam nie będzie u krewnych, a że nie została ochrzczona, to może i szczęście dla dziecka, bo w przeciwnym razie nie ręczyłbym za jej życie — starał się pocieszać żonę pan Reynaud.

— Czy myślisz, że na prawdę krewni targnęliby się na jej życie?

— Gdyby była chrześcijanką — pewno wielkie groziłoby jej niebezpieczeństwo, zwłaszcza jeżeli byłaby stałą we wierze, ale, że nie jest jeszcze ochrzczona, więc myślę, że nic złego jej nie grozi, — przynajmniej nie jej życiu.

Przez chwilę małżonkowie pogrążyli się w zadumę, rozmyślając nad niepewnymi losami swej wychowanki. Wreszcie pierwsza ozwała się pani Reynaud, mówiąc:

— A gdyby tak poprosić komendanta, mógłby przecie wysłać kilkunastu żołnierzy, i ci odebraliby dziecko Arabom?...

— Tego nie możemy się wcale spodziewać, bo najprzód, komendant, bez wyraźnego pozwolenia i rozkazu swych przełożonych na taką wyprawę ruszyć nie może, a następnie, z góry jestem pewny, że pozwolenia nie dostanie. Rząd chce zgody z plemionami tutejszymi, więc dla jednej Arabki nie będzie z nimi zadzierał. Gdyby to była Europejka, to moglibyśmy się od rządu spodziewać jakiej pomocy, ale dla dziewczęcia arabskiego palcem w bucie nie ruszą.

— Tak, ale Arabowie nasz dom napadli i z ogrodu porwali dziecko — za to powinni być ukarani — powiedziała pani Reynaud.

— Na to, co mówisz, nie mamy dostatecznego dowodu, gdyż żadnego gwałtu się nie dopuścili, i stary Izmael może skłamać, mówiąc, że dziewczynkę spotkał na ulicy.

— Więc pokazuje się, że nie mamy sposobu odebrania Hadry z rąk Izmaela — z głębokim żalem w głosie powiedziała pani Reynaud.

— Przepraszam państwa — ozwał się dotąd w milczeniu przysłuchujący się rozmowie chłopiec — ja mam sposób odebrania Hadry Arabom.

— Mianowicie? — zapytał pan Reynaud.

— Pojadę, albo pójdę do koczowiska Arabów i wykradnę Hadrę!

— To niebezpieczne przedsięwzięcie, chłopcze — ozwał się pan domu.

— Nie mam nic do stracenia, jestem sam, jak palec, na świecie. Matka umarła mi we Francyi, ojciec zmarł od kuli arabskiej, więc nikt po mnie tęsknić nie będzie, chociażby mnię stary Izmael zabił. Zresztą, sądzę, że to się nie stanie, gdyż przebiorę się za Araba, i nikt mnie nie pozna; a może uda mi się namówić też i Abdę, to będzie pewniejsze.

Oboje jednak małżonkowie nie wzięli na seryo tego, co powiedział chłopiec.

— O tem i myśleć nie ma co — odrzekł pan Reynaud. — Poznają cię nawet i w przebraniu, i nietylko Hadrze nie pomożesz, ale i sam na wielkie niebezpieczeństwo możesz się narazić. Zresztą, jak już powiedziałem, Hadrze narazie nie grozi żadne niebezpieczeństwo, a jeżeli stałą będzie we wierze, Bóg jej dopomoże, zobaczysz!

Na tem zakończono rozmowę, i Wicuś, pożegnawszy państwo Reynaudów, opuścił ich dom.

Wyszedłszy na ulicę, skierował się do swego mieszkania, ale po kilkunastu krokach zawrócił i poszedł w stronę, gdzie widział biegnącego Abdę. Niebawem minął ostatnie lepianki miasteczka, a że czas był południowy i upał wielki, więc napotkawszy kilka przydrożnych palm, rozciągnął się w ich cieniu, postanawiając tu czekać na małego grajka. Leżąc pod palmą, chłopiec układał sobie w głowie różne plany, jakby najłatwiej mógł się dostać do koczowiska starego Izmaela i porwać Hadrę, słowa bowiem pana Reynauda wcale go nie przekonały, a przewidywane niebezpieczeństwa podniecały tylko jego wyobraźnię i umacniały go w powziętym zamiarze. Chodziło mu tylko o to, by mógł nakłonić małego Abdę, by i on poszedł z nim na ratunek dziewczęcia. Przypuszczał, że mały grajek nie będzie się drożył, zresztą za pomoc postanowił mu zapłacić, gdyby inaczej nie dał się namówić.

Na układaniu planów i rozmyślaniu nad ich wykonaniem przeszło chłopcu sporo czasu. Wreszcie powstał z ziemi, spojrzał w stronę, z której spodziewał się nadejścia grajków, a nie spostrzegłszy na drodze żywej duszy, mruknął do siebie:

— Może dziś już nie przyjdą do Beniuby, upał wielki, staremu grajkowi nie będzie się chciało wlec o tej porze i pewno siedzą gdzieś pod palmami, czekając, aż słońce się obniży. Nie warto więc czekać tu na nich. Zresztą, sami dadzą mi znać, kiedy przybędą do miasteczka, bo stary zacznie piszczeć na swym klarnecie, a Abda będzie huczał na bębnie.

To pomyślawszy, chłopiec raz jeszcze spojrzał na drogę, poczem wolnym krokiem skierował się ku miasteczku.

Narady.

Darmo jednak Wicuś oczekiwał nadejścia grajków, tego dnia wcale nie przybyli do Beniuby, dopiero następnego dnia, w Wielką Niedzielę, blisko południa do uszu jego doleciały piskliwe tony klarnetu i huczący głos bębna.

Zaledwie je dosłyszał chłopiec, porwał się prędko, wybiegł na ulicę i, co sił w nogach, popędził w stronę, skąd go dochodził głos klarnetu i bębna. Przebiegłszy kilka ulic, wpadł na mały plac. Na środku tego placu ujrzał stojącego ślepca z wydętemi policzkami, a obok niego z całych sił walącego w bęben Abdę. Około grających skupiła się mała gromadka dzieci, a dalej zaś, w cieniu domów i przy straganach z chlebem siedzieli na podwiniętych nogach Arabowie, przysłuchując się piskliwej i dzikiej muzyce. Wicuś dobiegł do grających i czekał skoro ukończą. Niebawem wędrowni muzykanci zaprzestali swych popisów, a wtej samej chwili zbliżył się Wicuś do Abdy i rzuciwszy mu do drewnianego naczyńka kilka miedziaków, szepnął:

— Abdo, chciałbym koniecznie z tobą pomówić, mam bowiem bardzo ważny interes.

Abda spojrzał na mówiącego, i odpowiedział:

— Dobrze, odprowadzę dziadka do siedzących przy kawiarni starych Arabów, niech sobie z nimi pogawędzi, a ja porozmawiam z tobą.

— Ale nie tutaj! — szepnął Wicuś. — Będę czekał na ciebie za miastem, tam, wiesz, pod trzema palmami.

Abda za całą odpowiedź kiwnął tylko głową i poprowadził dziadka przed kawiarnię, a Wicuś tymczasem biegł na umówione miejsce.

W kwadrans potem zjawił się też i mały grajek. Chłopcy usiedli na ziemi. Wicuś obejrzał się naokoło, czy niema gdzie w pobliżu jakiego Araba, a potem rzekł półgłosem:

— Słuchaj, Abda! Powiedz mi, czy ty jesteś Arabem?

— Nie, jestem Berberem — odrzekł zapytany i spojrzał na swego towarzysza, nie mogąc zrozumieć, czemu go o to pyta.

— To dobrze, że nie jesteś Arabem.

—Dlaczego dobrze?

— Bo, widzisz, gdybyś był Arabem, tobyś pewno nie chciał mi dopomódz w tem, co zamierzam zrobić.

Abda wytrzeszczył oczy na Europejczyka i po chwili milczenia, zapytał:

— Co ty chcesz zrobić, i w czem ja mam ci dopomódz?

— Powiedz najprzód, że mi dopomożesz i że.... mnie nie.... zdradzisz!

Mały Berber pomyślał chwilkę, poczem ozwał się.

— Czy będę ci mógł dopomódz, tego nie wiem, bo nie wiem, co chcesz zrobić, ale zdrady nie bój się. Tego Abda nigdy nie zrobi!—

— Więc nie zdradzisz?

— Allah mi świadkiem, że tego nie zrobię! Mów śmiało, a jeżeli mi nie wierzysz, to...

— Nie, nie, wierzę ci — prędko zapewnił Wicuś.

— Więc czego chcesz?

— Chcę, żebyś mi dopomógł do odebrania Hadry staremu Izmaelowi — szepnął Wicuś i spojrzał na towarzysza, chcąc się dowiedzieć, jakie wrażenie na chłopcu uczyniły te słowa.

Mały grajek z początku jakby zaniemówił, wytrzeszczył tylko zdumione oczy na Wicusia i przez chwilę wpatrywał się w niego, nie mogąc zdać sobie sprawy z tego, co usłyszał.

— Chcesz odebrać Hadrę Izmaelowi? — zapytał wreszcie.

— Tak i myślałem, że ty mi dopomożesz, ale jak się boisz, to sam to zrobię.

Małego Berbera ubodło przypuszczenie Wicusia więc prędko odpowiedział:

— Nie mówiłem, że się boję, bo tchórzem nie jestem, ale nie rozumiem, dlaczego ty chcesz odebrać Hadrę Izmaelowi? Przecież to jego krewniaczka, więc ma do niej prawo.

— Uważaj, Abdo, na to, co ci teraz powiem — odrzekł Wicuś.

— No?

— Hadra jest krewną Izmaela, to prawda, ale ona nie chce dłużej mieszkać u niego, bo...

Tu Wicuś zawahał się chwilę, nie wiedząc, czy ma powiedzieć, dlaczego Hadra nie chce być u krewnych, czy też zamilczeć o tem. Wiedział przecież, że Abda, choć Berber, jest mahometaninem — wiernym a fanatycznym wyznawcą koranu i proroka. Jeżeli

więc wyjawi mu prawdziwą przyczynę, to chłopiec może mu nie zechce pomagać w dokonaniu jego zamiaru. Więc się zawahał.

Wahanie to spostrzegł Abda i zapytał:

— Dlaczego Hadra nie chce mieszkać u swego wuja?

— Bo, najprzód, boi się Izmaela i nie lubi go, potem przywiązała się do państwa Reynaud, którzy dla niej i dla jej matki byli bardzo dobrymi i obie uratowali od śmierci głodowej, a wreszcie powiem ci otwarcie, Hadra w duszy jest już chrześcijanką!

Tu Wicuś znów spojrzał na Abdę, ciekawy, jakie wrażenie na towarzyszu wywarły ostatnie jego słowa. Przypuszczał, że Abda, jak każdy mahometanin rozgniewa się, lecz omylił się: wiadomość ta żadnego na Berberze nie wywarła wrażenia i przyjął ją bardzo spokojnie.

— Że Hadra wcześniej, czy później zostanie chrześcijanką, to ja już z góry o tem wiedziałem i wcale się nie dziwię. Za długo była u „Franków” — odpowiedział Wicusiowi.

— No, to dzięki Bogu! — z westchnieniem ulgi wyszeptał Wicuś. — Ja myślałem, że cię to bardzo rozgniewa, ale kiedy jest ci to obojętne, to możemy mówić dalej. Owóż musisz wiedzieć, że Hadra jeszcze nie została ochrzczona, miało się to stać wczoraj, ale Izmael przeszkodził: porwał dziewczynę i gdy się dowie, że ona pragnie zostać chrześcijanką i w zamiarze swoim będzie niezłomnie trwała, to stary Arab będzie się znęcał nad nią, a kto wie, czy wreszcie, rozgniewany uporem Hadry, nie targnie się na jej życie.... Ty przecie wiesz, że to bardzo możliwe...

Tu nastało dłuższe milczenie. W sumieniu małego mahometanina ozwały się różne skrupuły i wątpliwości. Zdało mu się bowiem, że, pomagając Europejczykowi do porwania Hadry, tem samem dopomaga do jej odstępstwa od wiary proroka, a to przecież wielką jest zbrodnią. Gdyby nie to, bez wahania pomagałby Wicusiowi, ale pomagać w tem, by „giaury” pozyskali jednego więcej chrześcijanina, na to mały Berber nie mógł się zgodzić. I otwarcie powiedział to Wicusiowi, który wysłuchawszy, tak się ozwał:

— Słuchaj, Abdo, powiedziałeś, że nie jesteś Arabem, tylko Berberem i wiesz o tem dobrze, że ani Berberzy nie zbyt lubią Arabów, ani ostatni pierwszych. Arabowie uważają was za ludzi niższych od siebie, i wiesz, że wszędzie musicie im ustępować, prawda?

— No, tak, bo Allah tak chce — odpowiedział Berber.

— Nie. Allah wcale tak nie chce, to tylko Arabowie w was tak wmówili przez całe wieki. Oni zawojowali wasz kraj, sami się zrobili panami waszymi, a wam kazali pracować dla siebie. Ale to jeszcze nie wszystko! Czy wiesz, że twoi pradziadowie byli chrześcijanami?....

Abda zdumiony spojrzał na Europejczyka.

— Temu nie wierzę! — zawołał.

— A jednak tak jest! — odrzekł stanowczo Wicuś. — Zanim bowiem Arabowie przybyli z Azyi, wyście byli już chrześcijanami; dopiero oni, gdy was zawojowali, wydarli wam waszą ziemię, zabrali wasze

kościoły, i uczynili was swymi sługami, niewolnikami i wyznawcami koranu i fałszywego proroka!

— Ja nigdy o tem nie słyszałem! — odpowiedział Berber.

— Ale teraz słyszałeś, a jeżeli mnie nie wierzysz, zapytaj się swego dziadka, a on ci to samo powie... Więc pomagając mi do odebrania Hadry Arabom, nic złego nie zrobisz.

— Słuchaj, Europejczyku, jeżeli to wszystko prawda, coś mi powiedział, to zaraz idę z tobą. Ale najprzód pobiegnę do dziadka i jego się o to zapytam. Czekaj tu na mnię!

Powiedziawszy te słowa, mały Berber prędko się zerwał z ziemi i co żywo pobiegł do miasta. Nie upłynęła jeszcze godzina czasu, a on już zadyszany usiadł przy Wicusiu i odsapnąwszy trochę, rzekł:

— Idziemy po Hadrę! Dziaduś to samo mi powiedział o Arabach, co i ty. Mówił tylko, że to już dawno, dawno się stało i on tego nie pamięta, ale to opowiadali starzy ludzie. Chciał mi mówić jeszcze wiele innych rzeczy, ale ja już nie słuchałem, bo spieszyłem się do ciebie. Musimy teraz obmyśleć, w jaki sposób urządzimy tę wyprawę, a przedewszystkiem, co ja zrobię z dziadkiem?...

Wicuś zastanowił się chwilę, a potem zapytał:

— Czy wiesz, gdzie teraz obozuje plemię Izmaela?

— Tak będzie to o jakie dwa dni drogi. Przechodziliśmy tamtędy z dziadkiem i łatwo tam trafimy.

— To dobrze — odpowiedział Wicuś. — Teraz słuchaj, co powiem! Dziadka zostawimy u mnie

w domu. Moja gospodyni z chęcią się zaopiekuje staruszkiem, będzie tam miał wszystkie wygody i lepiej mu będzie, niż gdyby łaził po ulicach ze swym klarnetem. Zresztą, nie potrwa to długo, bo za kilka dni będziemy z powrotem. Tylko czy dziadek cię puści?

— O to niema obawy. Powiem mu, że koniecznie muszę go obejść na kilka dni, to już nieraz się zdarzało, więc i tym razem napewno się zgodzi.

— Więc na wieczór przyprowadź dziadka do mnie, ja przedtem o wszystkiem uprzedzę moją gospodynię, przygotuję dla siebie ubranie arabskie i jutro z rana ruszymy w drogę.

— Nie, Wicusiu, za Araba nie możesz się przebrać, każdyby cię zaraz poznał, boś nic, a nic nie podobny do Araba. Opalony jesteś, to prawda, ale Arabem nie możesz być, przebierz się lepiej w zwykłe ubranie, jakie noszą pospolici Berberowie z gór, a lepiej będzie.

— To mi wszystko jedno, mogę zostać Berberem, kiedy ci się podoba — odrzekł Wicuś.

Tu chłopcy powstali i ruszyli ku miastu. Przed pierwszym domem zaraz się jednak rozdzielili: Abda pobiegł do dziadka, a Wicuś do swego mieszkania, gdzie zaraz o wszystkiem opowiedział swej gospodyni — Francuzce — i prosił ją, by się zaopiekowała przez kilka dni starym grajkiem. Dobra Francuzka z największą chęcią zgodziła się na życzenie chłopca, który natychmiast zajął się przygotowaniem do jutrzejszej wyprawy.

Wyprawa.

Zaledwie pierwsze promienie wschodzącego słońca ozłociły niebo, gdy na drodze poza Beniubą ukazało się dwóch berberskich chłopców, raźno zdążających w tym samym kierunku, w którym przed dwoma dniami jechali na wielbłądach stary Izmael, Marabut i Hadra. Dzień zapowiadał się piękny i gorący. Chłopcy wyciągali dobrze nogi, chcąc przed nadejściem gorącej pory dnia ujść jak najwięcej drogi. Każdy z nich niósł trochę prowiantów, składających się z chleba, sera, daktyli i fig. Podróżnymi tymi byli znajomi nam chłopcy: Wicuś i Abda.

Droga z początku pusta, wnet zaczęła się zaludniać, i chłopcy co trochę napotykali berberskich wieśniaków, wiozących swe produkta na osłach, lub na mułach do Beniuby, lub dalej; idąc, mało mówili do siebie i w milczeniu mijali spotykanych. Koło południa, gdy już uszli kilka mil, i gdy słońce zaczęło coraz więcej przypiekać, napotkawszy zwykłą lepiankę farmera berberskiego, postanowili tam posilić się i wypocząć, przeleżawszy w cieniu drzew najgorętsze godziny dnia.

Gdy wreszcie przeszła już największa gorączka i słońce nie piekło tak bardzo, chłopcy niebawem zaraz ruszyli w dalszą drogę.

— Dziś już nie dojdziemy do namiotów starego Izmaela — ozwał się Abda.

— Czy to daleko jeszcze? — zapytał Wicuś.

— Przynajmniej dwa razy tyle, cośmy uszli. Noc nas zaskoczy w drodze.

— Szkoda, żeśmy tyle czasu stracili.

— Inaczej nie można było zrobić. W takim upale, wnetbyśmy się pomęczyli i musielibyśmy odpoczywać. Ale powiedz mi, Wicusiu, jakim sposobem wykradniemy Hadrę, bo o tem wcaleśmy nie mówili.

— To będzie łatwo, przecież Arabowie chyba dziewczynki nie uwiązali w namiocie, więc będziemy się starali spotkać ją. Zna nas obu, to zaraz się domyśli, pocośmy przyszli. W nocy postara się cichutko wyjść z namiotu, a my wtenczas jazda z nią do Beniuby!

— A jak nas gonić będą, przed wielbłądem nie zdołamy uciec.

— To prawda, ani przed wielbłądami, ani przed koniem nie ucieckniemy, ale właśnie chodzi o to, żeby nas nie gonili. Dlatego w dzień nie możemy z Hadrą uciekać, tylko wnocy, gdy wszyscy spać będą. Gdy zaś rano spostrzegą, że Hadry niema, to my już będziemy blisko Beniuby, i niech sobie stary Izmael goni nas, jeżeli mu się będzie podobało.

Tak rozmawiając, chłopcy, pełni nadziei w udanie się przedsięwziętej wyprawy, wesoło i raźno postępowali przed siebie, ale i słońce też spieszyło ku zachodowi i wnet skryło się za wysokiemi górami Atlasu, widniejącemu na dalekim horyzoncie zachodniego nieba.

Chłopcy zatrzymali się przy pierwszej napotkanej osadzie ludzkiej na nocleg i z brzaskiem następnego dnia puścili się w dalszą drogę.

Okolica tu już była zupełnie inna, niż ta, przez którą przechodzili: mniej tu już było uprawnych ogrodów, choć winnice jeszcze się daleko rozciągały, ale

coraz częściej widać było, duże stada owiec, pasących się na obszernych pastwiskach, na których tu i owdzie bieliły namioty koczujących plemion.

— Daleko jeszcze do namiotów Izmaela? — zapytał Wicuś swego towarzysza.

— Nie, widzisz tam na wzgórzu kilkanaście namiotów? — to koczowisko plemienia Tifelesów. Za kwadrans będziemy tam — odrzekł towarzysz Europejczyka.

Jakoż chłopcy, przyspieszywszy kroku, zbliżyli się do obozowiska Arabów. Lecz ku niezmiernemu swemu zdziwieniu spostrzegli, że, oprócz starej i zgrzybiałej Arabki oraz małego chłopca, nikogo więcej nie było.

— Co to jest? — mruknął z niepokojem w głosie Wicuś do swego towarzysza.

— Nie rozumiem, co to może znaczyć, ale widzi mi się, że tu nietylko Hadry, ale i Arabów niema. Czyby poszli na pola? — cicho odrzekł Abda. — Zaraz się dowiemy, tylko musimy ostrożnie postępować.

W tej samej chwili pół nagi prawie Arabek spostrzegł ich i co żywo schował się do jednego z namiotów, skąd tylko wychylił rozczochraną swą głowę i z bojaźliwą ciekawością spoglądał na przybyłych.

Abda wyjął dwie figi, położył je na dłoni i pokazał chłopcu. Na widok fig małemu naguskowi zaświeciły się oczy i z początku nieśmiało, a potem coraz odważniej począł się wysuwać z namiotu, a gdy Abda począł go uspakajać i poprosił o wodę, chłopiec zbliżył się do przybyłych, wziął podane mu figi i zaprowadził ich do małego źródełka, znajdującego się w pośrodku obozowiska.

Zmęczeni drogą chłopcy, napili się wody i zaczęli się posilać swymi zapasami, którymi podzielili się też z małym Arabkiem i tym sposobem zupełnie zjednali sobie jego zaufanie. Po krótkiej rozmowie z chłopcem dowiedzieli się, że stary szeik wraz z kilku innymi Arabami wczoraj po południu na wielbłądach udał się gdzieś bardzo daleko w góry, uwożąc ze sobą przed kilku dniami z Beniuby przywiezioną Hadrę.

Usłyszawszy to, Wicuś zmartwiał. Takiej niespodzianki ani on, ani Abda zgoła nie oczekiwali, to też przez długą chwilę siedzieli oniemieli, nie wiedząc, co teraz począć.

— Allah! tego się nie spodziewałem — ozwał się pierwszy Abda.

— I ja też nie — odpowiedział Wicuś. — Co teraz zrobimy? — zapytał, patrząc na towarzysza.

— Musimy się dowiedzieć, dokąd i na jak długo wyjechał stary Izmael.

— Ten nam nic nie powie — ozwał się Wicuś. — Musimy popytać starej Arabki, ta będzie wiedziała, dokąd i na jak długo wyjechali Arabowie.

Chłopcy zbliżyli się do siedzącej w kuczki przy namiocie zgrzybiałej ze starości Arabki, pozdrowili ją grzecznie i zapytali o Izmaela. Stara z nieufnością spojrzała na nich szklącemi i załzawionemi oczyma, mruknęła coś pod nosem i niechętnie odwróciła się od pytających. Abda próbował jeszcze rozmowy z Arabką, lecz wszelkie jego wysiłki okazały się daremnemi; stara nietylko że nic im nie odpowiadała, ale po chwili powstała z ziemi i skryła się w namiocie.

— Zdechł pies! — rzekł Abda — stara ostrożna jest. Myślę, że nas nawet podejrzewa. Trzeba nam

gdzie indziej zasięgnąć potrzebnych wiadomości. Od tego małego koziołka możemy się dowiedzieć przynajmniej, w którą stronę Izmael pojechał.

To powiedziawszy, kiwnął palcem na stojącego przy źródle chłopczyka, pokazał mu dwie figi, a gdy mały morusek przybiegł do nich, zapytał:

— Powiedz nam, w którą stronę pojechał szeik?

Dziecko, porwawszy figi, wyciągnęło rękę w kierunku widniejącego w dali Atlasu. W tej samej chwili rozłoszczona stara Arabka wypadła z namiotu i, porwawszy małego naguska za czuprynę jedną ręką, drugą szczodrze obdarzyła go kilku szturchańcami i w końcu wepchnęła do namiotu.

Chłopcy spojrzeli na siebie i, mimo przykrego położenia swego, szczerze i serdecznie się roześmiali.

— Chodźmy stąd, bo i nam się coś podobnego może oberwać, — a poco mamy trudzić starą jędzę — zażartował Wicuś.

Chłopcy wolnym krokiem oddalili się od namiotów obozowiska, a zobaczywszy niedaleko drogi gęsty gaik palmowy, skierowali się ku niemu, postanawiając w cieniu drzew odpocząć trochę i naradzić się, co teraz zrobić mają; czy pójść dalej szukać Hadry, czy też lepiej dać pokój wszystkiemu i wrócić do Beniuby.

Wicuś i Abda postanawiają szukać Hadry.

— I cóż teraz zrobimy? — zapytał Wicuś, gdy chłopcy usiedli w cieniu drzew. — Gdybyśmy byli o dzień wcześniej przyszli, bylibyśmy jeszcze zastali Hadrę w koczowisku, a teraz nie wiadomo, gdzie stary szeik pojechał.

Abda nic nie odpowiedział i przez chwilę zamyślił się nad czemś głęboko.

— No, i co myślisz? — zapytał powtórnie Wicuś.

— Myślę, że nie wypada nam tchórzyć przed pierwszą napotkaną przeszkodą i w połowie porzucić rozpoczęte dzieło.

Wicuś spojrzał na towarzysza, a w oczach błysnęła mu radość i wielkie zadowolenie odbiło się na twarzy. Uścisnął rękę towarzysza i rzekł:

— Spodziewałem się tego po tobie, bo rzeczywiście, wstydby nam było, gdybyśmy wrócili do Beniuby bez Hadry, lub bez pewnej o niej wiadomości. Rozpoczęliśmy jej szukać, to nie przestaniemy, dopóki jej nie znajdziemy, choćby nam przyszło przejść całą Saharę! — powiedział z wielkim zapałem Wicuś.

— Masz słuszność — odrzekł mały Berber — szukać będziemy dziewczyny, a jestem pewny, że ją znajdziemy. Stary Izmael i jego karawana to nie ptaki, więc na ślady ich trafimy i za nimi dojdziemy do miejsca, gdzie szeik ukrył Hadrę. Na pustynię napewno oni nie pojechali, ale udali się w góry. Widocznie Izmael ma tam krewnych lub znajomych, do których odwiózł porwaną dziewczynkę. Więc najważniejszą i najpierwsza rzeczą dla nas będzie dowiedzieć się, gdzie pojechali.

—Tak, tak, ale to zda mi się najtrudniej nam przyjdzie — odrzekł Wicuś.

Zaledwie jednak skończył zdanie, gdy towarzysz jego zerwał się z ziemi i zawołał:

— Patrz, jakiś chłopiec tu się zbliża!... Czekajno, zda mi się, że go znam!... Tak, tak, to Ali Mo-

hamed, syn Muriego. Oni też tu niedaleko koczują. Kto wie, czy od niego nie dowiemy się co o Izmaelu?

Tu Abda postąpił kilka kroków ku drodze i stanąwszy na słońcu, zawołał:

— Ali, Ali! Chodź tu!

Idący przystanął, spojrzał na wołającego, a poznawszy go, z uśmiechem zbliżył się do Abdy. Chłopcy przywitali się i za chwilkę wszyscy trzej siedzieli pod drzewami, rozmawiając o różnych rzeczach. Abda bardzo zręcznie począł kierować rozmowę na plemię Tifelesów i na starego szeika, Izmaela, i, ku niezmiernej swej radości, chłopcy dowiedzieli się od przybyłego, że stary szeik wyjechał na dłuższy czas do El Dana, miejscowości leżącej w górach, odległej o kilka dni drogi.

Wicuś i Abda bardzo się uradowali z tej wiadomości, jednak, by się nie zdradzić, niczem nie okazali przybyłemu swego zadowolenia, nieznacznie tylko spojrzeli jeden na drugiego i uśmiechnęli się. Najtrudniejsze dla nich zadanie najniespodziewaniej pomyślnie im się rozwiązało. Wiedzieli już, gdzie pojechał stary szeik, i odnalezienie Hadry nie przedstawiało im żadnej trudności.

Toteż wkrótce po odejściu przybyłego Alego, chłopcy bez dłuższej straty czasu puścili się w dalszą drogę, nie zważając nawet na upał. Abda zapewnił, że zna dobrze drogę, więc wesoło rozmawiając, spieszyli ku widniejącym na horyzoncie górom.

Co się stało z Hadrą.

Po wyjeździe z Beniuby stary Izmael z Marabutem i z Hadrą raz tylko zatrzymał się na krótki wy-

poczynek w samo południe. Gdy atoli najgorętsza pora dnia minęła, zaraz ruszył w dalszą drogę i jeszcze przed zachodem słońca przybył do koczowiska.

Z jego przybycia i z przywiezienia dziewczynki wszyscy Arabowie bardzo się ucieszyli. Jedna tylko Hadra nie podzielała ogólnej radości i wcale się nie cieszyła z przybycia do krewnych. Z zaczerwienionemi oczyma od płaczu usiadła samotna na ziemi przed namiotem i oddała się smutnemu rozmyślaniu. Wspomnienie dobrych państwa Reynaudów, a przedewszystkiem samo porwanie i pozbawienie jej w dniu tym tak ważnej dla niej chwili, jaką miał być jej chrzest, co trochę wywoływały rzęsiste łzy i serdeczny płacz nieszczęśliwej dziewczynki.

Smutek jej atoli wcale nie wzruszał krewnych, którzy obojętnie patrzeli na płaczącą Hadrę. Zwłaszcza starą Arabkę, której w opiekę oddaną została Hadra, łzy te i płacz bardzo gniewały i złościły. I gdy Hadra coraz serdeczniej zaczęła płakać, rozgniewana Arabka zawołała:

— Przestań beczeć, głupia!

— Puście mnie do Beniuby!... Ja tu nie chcę z wami być... Ja chcę zostać chrześcijanką... — prosiła przerywanym od płaczu głosem biedna i nieszczęśliwa Hadra.

Ale prośby te jeszcze więcej gniewały starą Arabkę.

— Milcz głupia — wołała ostatnia. — Powiadam ci przestań beczeć, bo tych giaurów więcej już nie zobaczysz! — Rozumiesz?... Allah, cóż to za nieznośna dziewczyna!

— Boże mój, Boże, wyratuj mię... — szeptała z płaczem Hadra, ukrywszy zapłakaną twarzyczkę w dłoniach.

— Masz tu, jedz i cicho bądź! — wrzasnęła nad głowę dziewczęcia rozłoszczona nowa opiekunka Hadry i postawiła na ziemi przed siedzącą jakiś pokarm w glinianem naczyniu.

Hadra jednak nie tknęła jedzenia. Choć cały dzień nic jeszcze nie miała w ustach, oprócz wody, którą gasiła pragnienie ,jednak ze zmęczenia długą drogą i z głębokiego żalu i zmartwienia nie czuła najmniejszego głodu, więc nawet nie spojrzała na postawione przed nią jedzenie. Siedziała z głową schyloną i z twarzą ukrytą w dłoniach, modląc się po cichu i płacząc na przemian.

Stary Izmael, spostrzegłszy zachowanie się Hadry, dał znak Arabce, by dała pokój dziewczynce.

— Niech się wypłacze, to sama potem przestanie — powiedział.

Nowa opiekunka Hadry mruknęła coś niechętnie i weszła do namiotu, inni też przestali się zajmować dziewczyną, nawet małe dzieci, które początkowo natarczywie cisnęły się do niej, odeszły teraz i bawiły się opodal. Hadra pozostała sama.

Spostrzegła to dziewczynka i nagle, jak błyskawica, przemknęła jej myśl, by uciekać. Więc bez najmniejszego namysłu zerwała się z ziemi i, jak spłoszona i zraniona sarenka, puściła się pędem w stronę, skąd przed godziną zaledwie przywiózł ją wuj. Biedna, nie pomyślała o tem, że ucieczka w jasny dzień i w oczach wszystkich Arabów nie może się w żaden sposób udać.

Nie ubiegła też nawet dwudziestu kroków, gdy stara Arabka piskliwym głosem krzyknęła:

— Marabut, Hadra ucieka!

I w tej samej chwili zawołany, ujrzawszy uciekającą siostrę, puścił się za nią.

Gonitwa nie trwała zbyt długo, i Marabut wnet dopędził uciekającą, porwał ją na ręce i przyniósł nazad do obozowiska.

Próba ucieczki tak rozgniewała starą Arabkę, że ta, zaledwie Marabut postawił zmęczoną i dyszącą, jak małe kurczątko, Hadrę, podbiegła do niej, wymierzyła jej silny policzek i ze złością wepchnęła do namiotu.

Biedne dziecko, wyczerpane długą i uciążliwą na wielbłądzie podróżą, głodem i przejściami całego dnia, od tego pchnięcia zachwiało się na nogach i nieprzytomne upadło na ziemię.

Marabut broni Hadry.

Stara Arabka, spostrzegłszy upadającą Hadrę, chwilę przyglądała się złośliwym wzrokiem leżącej na ziemi bez ruchu i bladej, jak kreda, dziewczynie. Widząc zaś, że się nie podnosi, weszła do namiotu, stanęła nad leżącą i kopnąwszy ją, z gniewem zawołała:

— Wstawaj natychmiast! Czy myślisz, że ja cię jeszcze dźwigać będę?

Gdy jednak dziecko wcale się nie poruszyło, Arabka nachyliła się nad niem, kościstą swą ręką chwyciła Hadrę za ramię i silnie nią poczęła wstrząsać.

— Słyszałaś, co ci powiedziałam?! Wstawaj natychmiast! — wrzeszczała.

Lecz Hadra nie dawała żadnego znaku życia. To zastanowiło znęcającą się nad nią starą kobietę, i baczniej spojrzała na twarz leżącej. Zamknięte oczy, twarz blada, jakby kropli krwi w sobie nie miała, przeraziły Arabkę.

— Allah! — to znów co za komedye!? — szepnęła sama do siebie. — Czyby?... — pomyślała, lecz nie śmiała nawet dokończyć tej myśli, która błyskawicą przebiegła jej przez głowę. — Czyby ona umarła!.... — szepnęła po chwilce i twardą swą dłonią poczęła macać leżącą dziewczynkę po piersi, szukając uderzeń serca.

Były one jednak tak słabe, że Arabka nie mogła ich odczuć, więc żywo wybiegła przed namiot i piskliwym a przerażonym głosem zaczęła wołać:

— Izmael! Izmael! Marabut! prędko, prędko chodźcie tu!

Zawołani co duchu pospieszyli do namiotu, a za nimi zbiegli się i inni Arabowie i poczęli się tłoczyć w namiocie. Na wszystkich twarzach znać było wielkie źdźiwienie i przerażenie. Nikt z nich jeszcze nigdy nie widział omdlałego człowieka, więc byli przekonani, że Hadra umarła, i przez chwilę bezradnie stali nad dziewczynką. Wreszcie opamiętał się pierwszy Izmael, klęknął na ziemi, nachylił się nad twarzyczką omdlałej, roztworzył jej zamknięte powieki i spojrzawszy w oczy, zawołał:

—Ona nie umarła! Zemdlała tylko..... Dajcie prędko wody!

Jedna z młodszych Arabek podała Izmaelowy dzbanek wody, którą on skropił twarz Hadry i silnie począł jej nacierać skronie.

Niebawem krew zaczęła napływać do twarzy dziewczynki, która też po chwili otworzyła oczy i zdziwionym wzrokiem powiodła na około siebie, zgoła nie wiedząc, co się z nią stało, i dlaczego wszyscy jej krewni zgromadzili się przy niej w namiocie.

Wreszcie oprzytomniała zupełnie, usiadła na ziemi, przypomniała sobie nieudałą próbę ucieczki, zakryła twarz dłoniami i serdecznie się rozpłakała.

— Masz, napij się wody — ozwał się stary Izmael klęczący przy dziewczynce i podał jej kubek napełniony wodą.

Hadra bezwiednie wyciągnęła rękę, wzięła podany kubek i wypiła wodę. To ją orzeźwiło, lecz płakać nie przestała.

— Uspokój się, Hadro — ozwał się stary Izmael głosem, który starał się uczynić jak najłagodniejszym i czułym.

— Puście mnię do Beniuby, do pani Reynaud — odpowiedziała dziewczynka.

— Dlaczego z nami nie chcesz pozostać? Patrz, przecież to wszyscy twoi krewni, a tamci w Beniubie, to nasi wrogowie — giaury! — odrzekł wuj Hadry.

— Pozwól mi, wuju, wrócić do Francuzów. To dobrzy ludzie, i ja ich bardzo pokochałam; oni byli bardzo dobrzy dla mnie i dla mej mamy. Wuju, mój wuju, nie zatrzymuj mnie tutaj — prosiło dziewczątko przerywanym od płaczu głosem.

Staremu Arabowi zmiękło serce, i żal mu się zrobiło dziewczynki, ale jednocześnie wezbrała w nim straszna nienawiść i złość ku Francuzom za to, że potrafili sobie zjednać miłość dziecka, które więcej kochało obcych, niż własnych krewnych. Chwilę więc wpatrywał się w siedzącą Hadrę, potem powstał i hamując wewnętrzne wzburzenie, cierpko się ozwał:

— Więc ty ich kochasz więcej, niż własnych krewnych?

— Ja wszystkich was kocham, ale....

— Ale co? — zapytał Izmael, przeszywając stalowym wzrokiem dziewczynkę.

— Ale ja was się... boję! — wyszeptała Hadra i twarz ukryła w dłoniach.

— Allah! — zawołał Izmael. — Nas boisz się, a giaurów się nie boisz?

— Nie, bo oni byli bardzo dobrymi dla mnie. Nauczyli mnię kochać Pana Jezusa...

— Zostałaś chrześcijanką? — prędko zapytał Izmael, gdy inni z ciekawością i obawą jakąś spojrzeli na Hadrę.

— Chrztu jeszcze nie otrzymałam, ale w duszy dawno już jestem chrześcijanką i dla Pana Jezusa wyrzekłam się Mahometa — odrzekła głosem silnym i odważnie spojrzała, najprzód wujowi w oczy, a później na krewnych.

Po tem wyznaniu wśród zebranych Arabów zapanowało na chwilę grobowe milczenie. Odpowiedź Hadry zdała się wszystkim niesłychanem bluźnierstwem. Fanatyczni wyznawcy koranu nie mogli pojąć, jak mała dziewczynka, wychowana w wierze Mahometa, może się wyrzekać proroka i przyjmować

wiarę znienawidzonych giaurów. W zdumieniu więc wielkiem stali i wpatrywali się w małą wyznawczynię Chrystusa, wreszcie oprzytomnieli i z piersi wszystkich, wyrwał się jeden okrzyk oburzenia i fanatycznej nienawiści.

— Wyrodna! śmierć jej!... Udusić ją! — wrzeszczano.

Stara Arabka, opiekunka Hadry, z kurczowo zaciśniętemi pięściami, z dzikim ogniem w załzawionych i zaczerwienionych oczach poskoczyła ku dziewczynie, uchwyciła ją za włosy i poczęła w szale zapamiętania szarpać dzieckiem.

— Masz, masz! ty niewdzięczna córko plemienia Tifelesów!

Z ust dziewczęcia nie wybiegło ani jedno słówko skargi. Skulona, z twarzą ukrytą w dłoniach, modliła się po cichutku, czekając śmierci.

Rzeczywiście, Arabowie, z wyjątkiem starego szeika i brata jej, Marabuta, jak dzikie, rozwścieczone zwierzęta, poczęli się zbliżać ku Hadrze. Z rozognionych fanatyzmem oczu, szły im błyskawice gniewu, kurczowo zaciśnięte pięści, wygrażając, wyciągały się ku biednej i bezbronnej ofierze. Zdało się, że tylko moment jeszcze, a porwą ją i rozszarpią na drobne kawałeczki. Gdy nagle Marabut, który ze wszystkich krewnych najwięcej posiadał życzliwości dla siostry, bojąc się o jej życie, jednym susem skoczył ku niej, silnym ruchem ręki oderwał od dziewczyny pastwiącą się nad nią starą Arabkę i ciałem swojem zasłonił siostrę.

— Precz stara i wy wszyscy! — zawołał z gniewem. — Czy nie słyszeliście, że Hadra nie jest jesz-

cze chrześcijanką?!... Czemu się znęcasz nad nią, ty stara wiedźmo?

Odepchnięta z gniewem spojrzała na Marabuta i niewyraźnym wyszepleniła głosem:

— Bluźniła przeciw wierze ojców, wyrzekła się proroka!... Allah! czy to mało jeszcze?

— To ją nawrócimy do wiary proroka, ale znęcać się nad nią nikomu nie pozwolę, rozumiecie?! — zawołał Marabut i pałającym wzrokiem spojrzał na obecnych.

Niespodziewany jego postępek wstrzymał zbrodnicze zapędy Arabów i na chwilę odjął im mowę. Takiej obrony nikt się z nich nie spodziewał. Więc, dysząc tylko gniewnie, stali i patrzeli na starego szeika, wyczekując, co on powie. Znając jego nienawiść do chrześcijan, pewni byli, że każe im udusić dziecko.

Ale w starym szeiku zbudziło się sumienie. Pomyślał sobie, że Hadra to przecież córka jego siostry i nie z własnej winy dostała się między giaurów, którzy wpoili w jej serduszko miłość do Chrystusa, i że przecie tę miłość da się jeszcze stamtąd wyrugować, choć może nie natychmiast, to z czasem napewno się to zrobi. Więc stanął po stronie Marabuta, jednym giestem ręki wszystkim kazał się wynieść z namiotu, a starej Arabce przykazał dobrze się obchodzić z dziewczynką.

Złośliwej kobiecie nie bardzo się podobał ten rozkaz szeika, ale słuchać musiała.

— Daj teraz dziecku co zjeść, bo cały dzień nie jadła — przykazał Izmael i wyszedł z namiotu, nie spojrzawszy nawet na Hadrę.

Stara Arabka znów podsunęła to samo naczynie, które już poprzednio przed Hadrą postawiła.

— Masz, żrej! — mruknęła z niechęcią i wyszła z namiotu, w którym pozostała Hadra z Marabutem.

— Jedz, Hadro — ozwał się po chwili Marabut, gładząc siostrę po głowie. — Nie bój się, bo ja ci nie pozwolę zrobić krzywdy.

Hadra z wdzięcznością spojrzała na brata.

— Nie dasz mnię bić? — zapytała.

— Nie, nie, nie bój się. Palcem cię nie pozwolę nikomu dotknąć, ale posil się, bo przecież głodną musisz być.

— I będziesz mnię bronił przed starą Mariam? — pytała dziewczynka dalej, nie zważając na zachętę do jedzenia.

— Nietylko przed Mariam, ale przed szeikiem i przed wszystkimi cię obronię, tylko i ty musisz się troszkę zmienić.

— Kiedy ja już nie mogę — z płaczem odpowiedziała Hadra.

— No, no, to zobaczymy później. Przestań tylko płakać, a zacznij już jeść, dobrze?

— Kiedy mnie się wcale jeść nie chce — odparła dziewczynka.

— Spróbuj tylko choć troszkę — namawiał Marabut.

Wreszcie Hadra dała się nakłonić do jedzenia. Jedząc, opowiadała Marabutowi o państwu Reynaudach i o sposobie ich życia, jak również i o tem, co tam robiła, i jak ją pani Reynaud kochała.

Opowiedziała też o śmierci matki, o tem, o co w ostatniej chwili zmarła prosiła Hadrę i o wielu in-

nych rzeczach. Marabut słuchał i często sam zapytywał.

Rozmowa z bratem znacznie uspokoiła Hadrę. Spostrzegł to Marabut i ucieszył się, wreszcie wstał i ozwał się:

— Teraz, Hadro, połóż się i śpij spokojnie. Nie bój się niczego.

Tu Marabut opuścił namiot, pozostawiając w nim samą Hadrę.

Nocne widzenie

Po wyjściu Marabuta z namiotu, Hadra przez dłuższą chwilę pozostała sama. Posiłek, który przyjęła, a przedewszystkiem przyjazna rozmowa z bratem i życzliwość, jaką chłopak okazał znękanej siostrze, bardzo dodatnio wpłynęły na jej usposobienie. Dziewczątko znacznie się już uspokoiło i trzeźwiej zaczęło się zapatrywać na swoje położenie i na to, co, je w przyszłości może czekać. A że przyszłość ta nie zbyt różowo i ponętnie przedstawiała się Hadrze, o tem nie trzeba mówić. Z tego, co już doznała, wiedziała napewno, że wuj w żaden sposób nie pozwoli jej wrócić do państwa Reynaudów, i że tylko jedyny ratunek dla niej pozostaje w ucieczce od Arabów.

— Lecz jak tu uciekać? — pomyślała. — Przecież przed godziną zaledwie spróbowała uciekać i nie udało się. Teraz napewno będą ją pilnowali, więc ucieczka jeszcze więcej będzie utrudniona.

Tu Hadra pomyślała, że lepiej jednak było nie próbować zaraz ucieczki, a czekać odpowiedniejszej

chwili, bo pewno byłaby mniej strzeżoną, gdyż Arabowie myśleliby, że zgodziła się na swój los i nie pilnowaliby jej. Ale stało się, i odwrócić tego nie można — pomyślała dziewczynka. — Innej rady niema, jak spokojnie czekać odpowiedniej chwili. A Bóg wie, kiedy ona może nadejść!

— Ach, Boże! — westchnęła serdecznie — Ty jeden dopomódz i wyratować mnię możesz.

Tu Hadra przypomniała sobie, jakto Pan Bóg cudownym sposobem wyratował Daniela od pożarcia przez lwy, jak mu na obronę posłał Anioła, i tak gorąco i serdecznie poczęła się modlić, jak nigdy jeszcze się nie modliła. Klęcząc sama w namiocie, prosiła Pana Jezusa o pomoc dla siebie, o wytrwanie we wierze, by i ona mogła być tak mężną i odważną wyznawczynią Chrystusa, jaką była św. Cecylia, której żywot najwięcej lubiała czytać i której imię pragnęła otrzymać na Chrzcie św. W modlitwie swej nie zapomniała dzieweczka ani o dobrej pani Reynaud i jej mężu, ani o duszy zmarłej swej i ukochanej mamusi.

— Ach, biedna i ukochana moja mamusiu, szeptała, gdybyś ty żyła, nie byłabym tak nieszczęśliwą, jak teraz jestem. Ale ty, mamusiu, już jesteś u Pana Jezusa, a ja tu sama na ziemi. Poproś, mamusiu, Pana Jezusa, aby mnie wyratował od złego wuja i nie pozwolił mnię bić starej Mariam. Marabut obiecał mi, że nie pozwoli mnie bić, ale on może nie być w namiotach i Mariam będzie mnię biła... Oh, mamo, nie pozwól na to, tyś mnię nigdy nie biła i zawsze taką dobrą byłaś!... Poproś, mameczko, Pana Jezusa, za twą nieszczęśliwą córeczką... Ja wiem, mamusiu u-

kochana, że Pan Jezus może to zrobić, a ty przecie nie opuścisz mnię nieszczęśliwej! O mamo, mamusiu, jedyna i ukochana moja....

Wspomnienie zmarłej matki, która tak bardzo kochała Hadrę, rozczuliło biedną dziewczynkę, i żal serdeczny ścisnął jej serduszko, a łzy strumieniem polały się po twarzyczce.

Skulona, z twarzyczką zapłakaną i ukrytą w dłoniach klęcząc na ziemi, już bezwiednie prawie wśród łkania powtarzała tylko jeden i ten sam wyraz: mamo, mamusiu moja i wcale nie spostrzegła, jak w namiocie zjawiła się sucha i koścista postać starej Arabki, Mariam, trzymającej w prawej ręce zwykłą latarkę, w której kopciła się mdłym płomykiem łojówka.

Przybyła przez chwilkę stała cicho i w milczeniu przyglądała się Hadrze. Widząc, że dziewczynka znów płacze, ozwała się cierpkim i ostrym głosem:

— Hadro, kiedy będzie koniec tym szlochom!?

Na ten głos Hadra drgnęła, odjęła ręce od twarzy i załzawionemi oczyma ze strachem spojrzała na Mariam. Zlękła się, że Arabka znów ją bić będzie, więc całą siłą starała się powstrzymać łkanie i łzy. Mariam jednak, choć szczerze nienawidziła dziewczyny i z przyjemnością obdarzyłaby ją była kilku szturchańcami, tym razem jednak, pamiętając na rozkaz szeika, nie uderzyła dziecka, tylko suchą ręką wskazała w kącie namiotu posłanie i mruknęła:

— Tam się połóż i śpij. A spróbuj mi tylko beczeć, to zobaczysz! — zagroziła na końcu i sama zabierała się do spoczynku.

Hadra powstała z ziemi, podeszła do wskazanego jej miejsca i ułożyła się do snu.

Długo jednak zasnąć nie mogła, wreszcie sen skleił jej powieki i dziewczątko po tylu strasznych przejściach jednego tylko dnia usnęło.

Jak zwykle w takich wypadkach, sen nie bywa spokojny, więc też i Hadra przez większą część nocy spała bardzo niespokojnie. Trapiły ją różne senne widziadła. Wszystko, co przeżyła w ciągu tego dnia, powróciło znów w nocy we śnie. Śnił jej się uwożący ją wuj, potem zła Mariam, to znów widziała płaczącą panią Reynaud, do której wyrywała się i chciała biedz, ale drogę zastępował jej to Marabut, to wuj, to znów inni Arabowie. W końcu wszystko to zaczęło się mieszać, osoby zaczęły znikać, aż wreszcie ogarnęła ją ciemność i została sama. Bała się tej ciemności, gdy nagle w dali błysło jakieś niezwykłe światełko. Hadra wytężyła wzrok i z ciekawością wpatruje się w to dziwne światło, które staje się coraz większe, i większe i coraz bardziej zbliża się do niej. Hadra siada na posłaniu i rozszerzonemi źrenicami wpatruje się w jakieś kształty, wydobywające się z tego promiennego światła i coraz jaśniej i silniej zarysowujące się przed nią. Twarzyczka jej płonie, a serduszko tak bije, że chyba wyskoczy z piersi. Ach! co za radość ogarnia jej duszyczkę! Postać coraz bliższa i coraz wyraźniejsza... Już, już jest przy niej, wyciąga nad nią jasne i przejrzyste ręce, uśmiecha się tak mile....

— Mamo, mamusiu, to ty jesteś! — krzyknęła dziewczynka i, przebudzona z wyciągniętemi rękami zerwała się z posłania.

Lecz w tej samej chwili jasna postać znikła, a Hadrę ogarnęły nocne ciemności, i z drugiego kąta szałasu doleciał ją szorstki i gniewny głos Mariam:

— Będziesz ty spała! Allah, cóż to za kapryśna i nieznośna dziewczyna!

— O, mamusiu moja kochana, to ty byłaś i jesteś tutaj — szepce dziewczynka i kładzie się nazad na posłaniu. — Tak, to ty jesteś, przyszłaś do mnie... a takaś piękna, mamo!... I kochasz mnię... O, mamo, mamo moja... — powtarza i zasypia snem twardym i spokojnym.

U krewnych.

Po gorączkowym widzeniu nocnem, Hadra zapadła w sen głęboki, twardy, który dla strapionego i zmęczonego tylu nąjróżnorodniejszemi przejściami dziecka był prawdziwem dobrodziejstwem. Spała też bardzo długo, bo blisko południe, już było, gdy się przebudziła i zdziwionym naokoło siebie powiodła wzrokiem, nie mogąc przez krótką chwilę zdać sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje. Początkowo mniemała, że to sen, ale wnet zimna rzeczywistość przekonała ją, że nie śni. Posłanie, namiot, w którym była, wymownie świadczyły jej, że znajduje się w siedzibie Arabów. Przypomniała sobie wszystkie zdarzenia poprzedniego dnia, i żal serdeczny wraz z dziwną jakąś i niewytłómaczoną tęsknotą ogarnął całą jej duszę, tak, że dziewczynka znów o mało nie wybuchła głośnym płaczem. Byłoby to pewno nastąpiło, gdyby w tej samej chwili w namiocie nie zjawiła się pożółkła i sucha postać nowej jej opiekunki, Mariam.

Stara Arabka, nie mogąc doczekać się przebudzenia dziewczynki, weszła do namiotu z zamiarem obudzenia Hadry. Spostrzegłszy atoli siedzącą już na posłaniu dziewczynkę, ozwała się cierpkim i suchym głosem:

— No, wstałaś przecie. Wielka pani z ciebie. Widać, giaury pracowite życie prowadzą, kiedy cię nauczyli wylegiwać się tak długo. Ale to się skończy.

Na te szydercze słowa Hadra w jednej chwili zdusiła w sobie wzbierającą ją żałość. Przeżegnała się, westchnęła do Boga i prędko zerwała się z posłania.

— Przepraszam, że zaspałam, ale nie mogłam się przebudzić — odpowiedziała łagodnie i z wielkim spokojem w głosie.

Uprzejmy ton Hadry wcale nie udobruchał gniewnej Arabki, przeciwnie, wprawił ją w większą jeszcze złość. Sądziła bowiem, że dziewczynka znów zacznie płakać i narzekać, co dałoby jej powód do bicia, a przynajmniej do miotania wyzwisk na nią, a tymczasem zawiodła się. Więc spojrzała złośliwie na dziewczynkę i, mruknąwszy coś niezrozumiałego pod nosem, wyszła z namiotu.

Hadra tymczasem zapanowała już zupełnie nad sobą. Długi sen wielce ją wzmocnił na siłach. Przypomniała sobie też nocne widzenia, i w tej samej chwili owładnęła nią dziwna jakaś wewnętrzna radość, z którą i nadzieja wstąpiła do serca.

— Pan Jezus i duch mamusi czuwają nade mną! — szepnęła sama do siebie. — Teraz nie boję się nikogo, ani niczego.

To powiedziawszy, dziewczynka szybko zrobiła ranną toaletę, poczem w kąciku namiotu uklękła na ziemi i z wielką pobożnością odmówiła pacierz, na końcu którego z czułością ucałowała mały krzyżyk, który dostała w podarunku od pani Reynaud i który stale nosiła na sobie. Po odmówieniu pacierza, Hadra wyszła przed namiot.

W koczowisku pusto było prawie, gdyż starsi Arabowie byli w polu, tylko koło źródełka bawiło się kilkoro umorusanych dzieci. Hadra podeszła ku nim, napiła się wody i rozpoczęła rozmowę z dziećmi.

Małe moruski, pamiętając jeszcze wczorajszą wieczorną scenę w namiocie, z początku nieufnie spoglądały na Hadrę i niechętnie odpowiadały na jej pytania, lecz wkrótce nieufność i niechęć do dziewczęcia znikły i dzieci zupełnie się ośmieliły, a nawet zaprosiły Hadrę do wspólnej zabawy. Dziewczyna z chęcią przystała na prośbę malców i zaczęła się z niemi bawić. Nie trwało to długo, gdyż wnet rozległ się piskliwy głos starej Mariam:

— Patrzcie, jaka wielka dama! Śpi sobie do południa, a potem z dziećmi się chce bawić! Do roboty, moja paniusiu! Stara Mariam nie będzie na ciebie pracowała. Wymyj kocioł, napełnij go wodą i roznieć ognisko! Rozumiesz, ty wielka paniusiu!?

— Owszem, Mariam, zaraz to zrobię — odpowiedziała Hadra. — Byłabym to już przedtem zrobiła, gdybym....

— Stul gębę i słuchaj, co ja mówię! — wrzasnęła stara Arabka.

Hadra, nie odpowiedziała ani słówka złośliwej kobiecie, tylko do dzieci rzekła:

— Bawcie się same, później, gdy będę wolna od pracy, to znów razem się bawić będziemy, dobrze?

— Kiedy my chcemy, żebyś się teraz z nami bawiła.

— Widzicie, że teraz nie mogę, Mariam mnię woła. Trzeba jej pomódz w pracy.

— Oh, ta Mariam! Ona zawsze taka zła. My jej nie lubimy, a ciebie bardzo lubimy — ozwał się chłopiec, najstarszy z dzieci.

— I ja was też lubię, ale, widzicie, o starszych osobach nigdy nie trzeba tak mówić, jak teraz Ibrahimek powiedział o Mariam — łagodnie upominała dzieci, które ją obstąpiły i, zaprzestawszy zabawy, razem z nią szły ku wygasłemu ognisku, nad którem na trójnogu zwieszał się wielki i okopcony od dymu kocioł żelazny.

Hebanowe oczy Ibramka i innych dzieci ze zdziwieniem patrzały na Hadrę. Ani on, ani mali jego towarzysze nie mogli zrozumieć, dlaczego nie mają źle się wyrażać o starej Arabce, kiedy ona nigdy dla nich dobrą nie była.

— Dlaczego ja nie mam mówić o Mariam, że jest zła, i że jej nie lubię? — zapytał ździwionym głosem mały Ibramek. — Ona jest zła i często niewinnie nas bije. Sam szeik nazywa ją starą złośnicą.

— O to mniejsza, jak szeik nazywa Mariam, ale wy musicie wiedzieć, że dzieci powinny być grzeczne i nie powinny we wszystkiem naśladować starszych o-

sób. Pan Jezus przykazał nam kochać wszystkich ludzi, nawet i takich, co nam źle robią.

— Kto kazał kochać wszystkich ludzi? — zapytał znów chłopczyk.

— Pan Jezus — odpowiedziała Hadra.

— A kto to jest Pan Jezus? Czy to jaki szeik?

Tu dopiero Hadra spostrzegła, że rozmawia z małymi wyznawcami Mahometa, którzy przecie nic nie mogą wiedzieć o Chrystusie, więc nie odpowiadając wprost na zadane sobie pytanie chłopca, rzekła cicho:

— Gdy skończę pracę, to wam potem opowiem, kto to jest Pan Jezus, dobrze?

— Dobrze, ale ja myślę, że i tak starej Mariam nie pokocham, — odpowiedział Ibramek.

— No, to później zobaczymy — odrzekła ze śmiechem Hadra i zabrała się do wskazanej jej przez Mariam pracy.

Mali Arabkowie, jak i ile mogli, pomagali Hadrze w robocie, to też wnet kocioł był wymyty, i dziewczę, nalawszy doń wody, rozniecilo ogień, a stara Mariam zaczęła warzyć obiad, przykazawszy Hadrze czynić porządki w namiocie.

Dziewczęciu, które nic jeszcze tego dnia nie jadło, głód zaczął dokuczać, jednak bała się i nie śmiała prosić Mariam o pożywienie i w milczeniu odeszła do namiotu i poczęła go uprzątać.

Przez cały czas Mariam, choć zajęta była gotowaniem obiadu i niby nie zważała na Hadrę, jednak ukradkiem bardzo pilnie śledziła każdy jej ruch i nie pozwoliła dziewczynie ani na krok oddalić się od koczowiska. Przekonała się o tem Hadra, gdy, wyszedł-

szy z namiotu, postąpiła kilka kroków ku drodze i z tęsknotą spojrzała w stronę Beniuby, skąd ją wczoraj przywiózł Marabut. W tej samej chwili Mariam zawołała:

— Hadro, wracaj zaraz do namiotu! Jeżeli raz się jeszcze odważysz wyjść na drogę, dostaniesz takie bicie, że ci się na zawsze odechce ucieczki, rozumiesz!? A jak i to nie pomoże, uwiążę cię w namiocie, jak psa!

Hadra westchnąwszy ciężko, ze łzami w oczach wróciła do namiotu.

Nowa próba.

Nadeszło południe. Arabowie poczęli się schodzić do koczowiska. Przyszedł też i stary Izmael i zaraz zaczął dopytywać się o Hadrę. Mariam opowiedziała wszystko, co robiła dziewczynka, a w końcu dodała:

— Spokojna jest i nie płacze, ale ja jej nie wierzę, bo ona tylko tak udaje, a myśli, jakby najprędzej uciec. Była już na drodze!

— Uważaj na nią dobrze, ale jej nie dokuczaj — odpowiedział szeik i po chwilce zapytał:

— Jadła co?

— Nic jeszcze — mruknęła niechtęnie Mariam.

— Jakto, nic jeszcze jej nie dałaś jeść? — zdziwiony zapytał Izmael i ostro spojrzał na Mariam.

— Spała długo, a potem nic nie mówiła.

Szeik popatrzał na mówiącą gniewnym wzrokiem, poczem odwrócił się i, nie rzekłszy słowa, odszedł do namiotu zobaczyć Hadrę.

— No, nie płaczesz już? — zapytał, stanąwszy przed dziewczynką.

Na widok wuja Hadra drgnęła i zmieszała się. Zauważył to Arab, więc dla uspokojenia dziewczynki ozwał się łagodnie:

— Nie bój się, bo ci głowy nie urwę. Chce ci się jeść? Czemu nie poprosiłaś Mariam o jedzenie?

— Nie śmiałam i bałam się, — szepnęła cicho Hadra.

Szeik popatrzał na dziewczynkę, a potem rzekł:

— Chodź na obiad.

Hadra wyszła za wujem i wnet cała rodzina zasiadła do obiedniego posiłku.

Po obiedzie, z rozkazu Mariam, dziewczynka musiała pomyć i uprzątnąć naczynia. Skończywszy to zajęcie i nie otrzymawszy żadnego nowego rozkazu od Mariam, Hadra podbiegła do leżących w cieniu dzieci i usiadła między niemi.

— O, jaki ładny masz emulet! — powiedział Ibramek, spostrzegłszy wiszący na jedwabnej wstążeczce mały złoty krzyżyk, który Hadra miała na szyi, ukryty pod ubraniem, a który teraz wysunął się i zawisł na piersiach.

— To nie jest emulet — odpowiedziała i prędko chciała schować krzyżyk.

— Nie emulet? A co to jest takiego? — dopytywał mały Arabek.

— To jest krzyżyk.

— Krzyżyk? Pokaż mi, ja nigdy jeszcze nie widziałem krzyżyka — prosił Ibrahimek i wyciągnął rękę.

Hadra zawahała się. Bała się wypuścić z rąk krzyżyka, który uważała za największy i najdroższy skarb. Dzieci jednak tak prosiły, że w końcu uległa ich naleganiom i dała im go do obejrzenia. Gdy dzieci zaspokoiły swoją ciekawość, Hadra odebrała nazad krzyżyk i dopytującemu się Ibramkowi zaczęła tłómaczyć jego znaczenie i dlaczego nosi go na piersiach. Opowiadała więc o Panu Jezusie, jak się narodził w ubogiej stajence, jak żył na ziemi i jak dobrze wszystkim czynił. Potem opowiadała o męce Zbawiciela, o Jego śmierci na krzyżu, o zmartwychwstaniu, słowem, małym swoim słuchaczom starała się opowiedzieć wszystko, co sama wiedziała o Panu Jezusie.

Dzieci z wielkiem zajęciem słuchały opowiadania, gdy nagle stanęła przed niemi stara Mariam i trzęsącym się od gniewu głosem wrzasnęła:

— Ha, wyrodne dziecko! Nie dość, że sama zaraziłaś się wiarą giaurów, ale jeszcze, jak chora owca, zarażać będziesz dzieci?.... Oddaj mi zaraz ten krzyż!

Z temi słowami Mariam rzuciła się ku Hadrze i chciała jej wydrzeć krzyżyk.

Hadra jednak tak mocno ścisnęła w prawej ręce najdroższy skarb, że stara Arabka nie mogła roztworzyć zaciśniętych palców. Spostrzegłszy zaś zwieszającą się wstążkę, z całej siły szarpnęła nią, sądząc, że wyrwie z ręki krzyżyk, lecz wstążka zerwała się, a krzyżyk pozostał w zaciśniętej dłoni.

— Dasz mi ten emulet giaurów! — zawołała ze złością i uderzyła w twarz dziewczynkę.

W tej chwili przestraszone niespodziewaną napaścią dzieci porwały się z ziemi i wszystkie pouciekały.

Na ziemi siedziała tylko sama Hadra; z błyszczących oczu, z konfulsyjnie zaciśniętych ust i z całej jej postaci znać było, że wszystkiemi siłami postanowiła bronić swego skarbu i nie wypuścić go z ręki choćby nawet i za cenę życia. Spostrzegła to widać Mariam, gdyż nagle wpadła w prawdziwy szał złości, i jakby nieprzytomna, zaczęła bić dziewczynkę.

Wskutek hałasu sprawionego przez Mariam poczęli się zbiegać Arabowie na miejsce, gdzie pastwiła się nad Hadrą stara kobieta. Pierwszy dobiegł do nich Mulej, starszy brat Hadry i najzaciętszy wróg chrześcijan.

— Co się znów stało? — zapytał.

— Co? Ta wyrodna dziewczyna, jak parszywa owca, zaraża błędami giaurów nasze dzieci! — zawołała Mariam przerywanym od gniewu i wzburzenia głosem.

— Co robiła? — pytał dalej Mulej, nie zrozumiawszy, o co właściwie chodzi, i co takiego Hadra zrobiła.

— Oto — odpowiedziała Mariam —. usiadła sobie tutaj między dziećmi, wyjęła emulet giaurów i pokazując go dzieciom, poczęła je uczyć wiary chrześcijan. Sama to słyszałam, bo ciekawa, co też ona może opowiadać dzieciom, niespostrzeżenie podeszłam do nich i wszystko słyszałam. Patrz, w garści ściska krzyżyk, chciałam go odebrać, ale nie chce oddać. Weź go ty!

Fanatycznemu Mulejowi błysły oczy, jak u rysia, gotującego się skoczyć z zasadzki na upatrzoną ofiarę, twarz mu się skurczyła od wzbierającego gniewu, a z ust wybiegł suchy i twardy rozkaz:

— Hadro, oddaj ten emulet!

— Przepraszam cię, Muleju, ale to nie jest żaden emulet. To jest krzyż, który czczę i którego za nic w świecie nikomu z was nie dam — odrzekła Hadra głosem tak spokojnym, ale i stanowczym zarazem, że odpowiedzią swą w zdumienie wprowadziła obecnych.

— Albo mi dasz natychmiast ten krzyż, albo.... kark ci skręcę! — wrzasnął Mulej, gdy stara Mariam chrapliwym ze złości głosem wrzeszczała:

— Odbierz jej ten krzyż, Muleju, odbierz!

— Porzuć ten emulet, Hadro! — powiedział łagodnym głosem Marabut.

— Nigdy!

— Dostaniesz — zagroził szeik, Izmael.

— Możecie mnię bić, ile wam się podoba, możecie i.... zabić mnię, ale krzyżyka wam nie dam!

— Nie bądź głupią, Hadro! Odrzuć od siebie te zabobony giaurów i nie narażaj się na przykrości — perswadował Marabut.

Hadra nic nie odpowiedziała, mocniej tylko ścisnęła w ręce krzyżyk i powstała z ziemi, na której dotąd siedziała.

Nastała straszna chwila niepewności.

Dziewczątko, blade, jakby w twarzy kropli krwi już nie było, z dziwnym ogniem w oczach i z niesłychaną w tym wieku stanowczością stało w pośrodku swoich prześladowców i śmiało na nich patrzało. Tylko lekkie, zaledwie dostrzegalne drgnienia warg świadczyły o wewnętrznem wzruszeniu.

Śmiałość i odwaga małej wyznawczyni Chrystusa na chwilę zbiły z tropu jej prześladowców. Od całej bowiem postaci Hadry biła jakaś siła niepojęta, że za-

den z krewnych nie śmiał się zbliżyć do niej, więc dysząc tylko gniewnie, ze złością patrzeli na dziewczynkę.

Milczenie pierwszy przerwał stary szeik, mówiąc:

— Hadro, oddaj ten emulet, a odwiozę cię do Francuzów w Beniubie.

Mówiąc to, był przekonany, że dziewczynka nie oprze się takiej pokusie. Omylił się jednak, bo Hadra po chwili zastanowienia się odrzekła:

— Do Beniuby pojadę, ale razem z moim krzyżykiem.

— Ani z krzyżykiem, ani bez krzyżyka do Beniuby nie pojedziesz! — wrzasnął Mulej i skoczywszy, chwycił rękę siostry, ścisnął i wykręcił z taką siłą, że kość chrupła, a dziecko, rozwarłszy ściśniętą pięść, z rozdzierającym krzykiem od strasznego bólu padło na ziemię zemdlałe.

— Masz Beniubę i giaurów! — wrzasnął Mulej i kopnął najprzód omdlałą siostrę, a potem leżący na ziemi obok niej krzyżyk.

— Weź to stara i wyrzuć za obozowisko — mruknął do Mariam i odszedł.

Gdy Hadra wróciła do przytomności i otworzyła oczy, spostrzegła, że jest w namiocie na posłaniu, a obok niej siedzi w kuczki Marabut i z jedną z młodszych Arabek, opatruje jej rękę. Przy najmniejszem poruszeniu ręką, uczuwała okrótny ból, taki, że aż oczy mimowoli przymykała.

— Widzisz, Hadro, trzeba ci było tego! — ze współczuciem szepnął Marabut.

— Gdzie mój krzyżyk? — zapytała Hadra i chciała usiąść na posłaniu.

— E, głupstwo krzyżyk! Leż teraz spokojnie dopóki ręki nie obandażujemy. Czy cię bardzo boli?

— Oh, strasznie!

— Biedne ty dziecko moje — szepnęła Arabka. — Rękę masz złamaną, no, ale to się wnet zgoi.

— Dzięki Allahowi, że się tylko na tem skończyło. Mulej się wściekł naprawdę! — powiedział Marabut.

Wreszcie opatrzono złamaną rękę, i Hadra nie czuła już tak wielkiego bólu, o ile nią nie starała się poruszać.

— No, leż teraz spokojnie, a wnet będziesz zdrowa — pocieszał Marabut.

— Oddaj mi krzyżyk, Marabucie! — szepnęło dziewczątko i błagalnym wzrokiem spojrzało na brata.

Marabuta w pierwszej chwili rozgniewała ta prośba siostry, lecz spojrzawszy na znękaną jej twarzyczkę, na oczy pełne łez i błagalnie nań patrzące, wzruszył się, zmiękł zupełnie i, głaszcząc siostrę po głowie, ozwał się głosem czułym:

— Ja nie mam krzyżyka i nie wiem, co się z nim stało. Jeżeli go znajdę, to ci go oddam. Leż tylko spokojnie i nie ruszaj ręką.

Hadra z wdzięcznością spojrzała na brata.

— Tyś najlepszy z nich wszystkich, choć mnie porwałeś z Beniuby i nie pozwoliłeś mi wczoraj uciec — szepnęła dziewczynka.

— No, to trudno, wuj kazał mi z sobą jechać po ciebie, to musiałem słuchać. Co do mnie, to obojętnem mi było, gdzie i u kogo byłaś, byle ci tam dobrze było.

— A mnie dobrze było w Beniubie u państwa Reynaudów.

— Żebyś chciała, to i wśród nas dobrzeby ci było, ale ty nie chcesz!

— Bo nie mogę chcieć! Gdybyście zostali chrześcijanami, to jabym też na zawsze przy was została, ale....

— E, nie pleć głupstw — z niechęcią odrzekł Marabut.

— To nie głupstwa, ale najgorętsze moje życzenie i wiesz, Marabucie, to było ostatnią wolą naszej ukochanej mamusi. Przed samą śmiercią prosiła mnie, bym się starała nawrócić was. Ona, biedaczka, umarła bez Chrztu, ale pani Reynaud zapewniała mnię, że ona poszła do nieba, i ja też tak myślę, że jest w niebie, bo, bo... wiesz, ja ją tu w nocy widziałam... A taka była piękna, z taką miłością patrzała na mnie i ręce swe nade mną wyciągała...

— Kto, Hadro? Kogoś widziała? — zdumiony zapytał Marabut.

— Mamę naszą widziałam.

— Gdzie?

— No, tu, w namiocie.

— Allah, Hadro? Czy wiesz, do kogo mówisz?

— Rozumie się, do ciebie, Marabucie!

— A nie jest ci gorąco?

— Nie, ale czemu o to pytasz?

— Bo myślałem, że masz gorączkę i majaczysz.

— Nie, wcale nie majaczę. Ale mamę na prawdę widziałam.

— To ci się tylko śniło.

— Być może, ja nie wiem, ale pamiętam dobrze, że tu, ot, w tem miejscu, stała i ręce nade mną wyciągała.

Zabobonny, jak i wszyscy mahometanie, Marabut z przestrachem spojrzał na siostrę.

— Widziałaś matkę tu, w namiocie? — zapytał.

— Widziałam.

— I mówiłaś z nią?

— Nie, bo mi wnet zniknęła.

— A przed śmiercią o co cię prosiła?

— Żebym się starała nawrócić was. Żebyście porzucili proroka, a zostali chrześcijanami.

— Hm, ciekawe to było żądanie — mruknął chłopiec — ale o tem, Hadro, pomówimy kiedy indziej, jak będziesz już zdrową. Teraz muszę pójść do pracy. Czy nie potrzebujesz czego?

— Dziękuję, nic mi nie potrzeba, oprócz mego krzyżyka.

— Jeżeli go znajdę, to przyniosę.

Tu Marabut wyszedł z namiotu, w którym pozostała sama Hadra, gdyż i owa młoda Arabka, która opatrywała jej rękę, też już przedtem opuściła namiot. Hadra, leżąc na posłaniu ze skór wielbłądzich i owczych, rozmyślała nie nad swojem nieszczęściem, ale... nad nawróceniem Marabuta! Łagodne usposobienie chłopca, wielka przyjaźń, którą jej okazywał, budziły w sercu dziewczynki wszelką nadzieję, że jeżeli kogo z krewnych, to przedewszystkiem Marabuta uda jej się nawrócić. Ożywiona tą myślą, dzieweczka serdecznie się cieszyła, że i ona już będzie mogła pozyskać jedną duszę dla Pana Jezusa, i o pomoc do tej pracy gorąco poczęła się modlić, tak, że prawie zapomniała o bolącej ręce.

Tymczasem wszystkie te nadzieje Hadry okazały się zbyt przedwczesnemi, gdyż wieczorem stary szeik,

po naradzie z Mulejem, postanowił natychmiast, bez względu na złamaną rękę Hadry, wywieść ją dalej do krewnych w El Danie. Arabowie obawiali się, by Hadra nie uczyła dzieci wiary chrześcijańskiej, i by przypadkiem Francuzi z Beniuby nie przybyli po nią.

Zaraz też następnego dnia wsadzono dziewczynkę na muła, i stary szeik w towarzystwie Muleja i kilku innych Arabów puścił się w drogę. Gdy zaś Wicuś i Abda przybyli do koczowiska Arabów, Izmael, uwożący Hadrę, był już daleko od tego miejsca.

Jaskiniowi mieszkańcy.

Dziesiątego dnia, po południu, przed oczyma znużonych długą i uciążliwą drogę zamajaczyła w dali na jasnym błękicie olbrzymia kupa gruzów, jakby jakiegoś starego zamczyska, samotnie sterczącego na pustem i odosobnionem wzgórzu, na którem z rzadka, tu i owdzie, wśród skał i kamieni rosły krzaki cierni i karłowate drzewa oliwkowe

— To El Dana — mruknął na przodzie jadący Izmael.

— Smutna miejscowość — odpowiedział jadąc za nim Mulej. — Nie chciałbym tu mieszkać za nic w świecie — dodał po chwili, rozglądając się po okolicy.

Istotnie, cała okolica, pozbawiona prawie wszelkiej roślinności, z wyjątkiem cierniowych krzaków, rzadkich drzew oliwnych i spalonej słońcem trawy, martwotą swoja robiła bardzo smutne i przygnębiające wrażenie na Arabach, przywykłych do widoków bujnej roślinności na północnych stokach Atlasu.

Wreszcie mała karawana Izmaela zbliżyła się do miasteczka i powitaną została ujadaniem licznych psów.

Hadra ze zdziwieniem przyglądała się tej nowej miejscowości. A miała rzeczywiście czemu się dziwić, gdyż czegoś podobnego nigdy jeszcze nie widziała. Jadąc do El Dany, sądziła, że jedzie do takiego samego miasteczka, jakiem była Beniuba, lub inne, które widziała po drodze, tymczasem El Dana przedstawiła się dziewczynce zupełnie inaczej. Zamiast bowiem zwykłych z niepalonej cegły domów lub szałasów, Hadra ujrzała w skałach góry ciemne otwory, powykuwane jedne obok drugich i jedne nad drugimi. Przed niektórymi z nich były podmurowania albo z kamieni, albo też z niepalonej cegły.

Na hałas sprawiony szczekaniem psów, tu i owdzie wychyliła się głowa z czarnych tych otworów i ciekawie spoglądała na przejeżdżających.

— Czy tu ludzie mieszkają w tych dziurach? — szepnęła Hadra, nieśmiało zwracając pytający wzrok na wuja.

— Tak, to ich mieszkania — odparł zagadnięty.

— A jak oni dostają się do tych jaskiń, wykutych wysoko nad ziemią? Nie widać tu ani drabinki, ani schodów żadnych? — pytała dalej dziewczynka.

— Wdrapują się po wystających kamieniach. Nie trudno im to przychodzi, bo tego zwyczajni od maleńkości — odpowiedział Izmael.

Wtem jadący minęli mały meczet, skręcili na prawo i wjechali na obszerniejszy plac, gdzie kręciło się kilkudziesięciu mieszkańców, i stało kilka najzwyklejszych szałasów, służących za stragany dla przekup-

niów. Izmael pozdrowił spotkanych i zajechał przed dosyć wysoki mur z kamieni i zwykłej cegły niepalonej. Poza tym murem Hadra dojrzała obszerne podwórze i kilka otworów w skale. Jedne wprost były wykute w kamieniu, inne zaś były obmurowane, a wszystkie lepiej były utrzymane, niż inne, co wskazywało, że musi to być mieszkanie kogoś, co ma znaczenie w mieście. Rzeczywiście było to mieszkanie samego kadiego, zwanego Sidi Hadżi, gdyż jako gorliwy wyznawca proroka, już dwa razy odbył daleką podróż do grobu Mahometa w Mece. Z tego też powodu nosił zielony zawój na głowie i cieszył się wielkim szacunkiem swoich podwładnych.

Zaledwie przybyli stanęli przed murem, gdy z jednego otworu w skale wyjrzała niewiasta i przypatrzywszy się pilnie, z radością w głosie zawołała:

— Ach, to ty, Izmaelu!

I zręcznie w mgnieniu oka spuściła się na ziemię i stanęła przed Izmaelem. Była to starsza siostra Izmaela, ciotka Hadry, Halima, a żona kadiego.

— Dawno cię już nie widziałam, a to widzę i Mulej przyjechał i dziewczynka też... Bardzo mnie to cieszy, żeście jeszcze o mnie nie zapomnieli, i Hadżi też będzie wam rad. A pewno dłużej tu zabawicie? — mówiła Halima.

— Owszem, kilka dni zabawimy, a dziewczynka może tu i pozostanie, jeżeli Hadżi nie będzie się sprzeciwiał — odpowiedział Izmael dość obojętnie.

— Dziewczynka tu zostanie! a kto ona jest? — zapytała Halima, wpatrując się w siedzącą jeszcze na ośle Hadrę. — Nie poznaję jej!

— Toć to Hadra, najmłodsza córka zmarłej naszej siostry.

— O Hadra! Jak się masz, dziecko! — zawołała Halima i podeszła bliżej ku dziewczynie.

— Nie poznałam cię, bo gdy cię widziałam ostatni raz, byłaś jeszcze malutką, niemowlęciem, a dziś ładna z ciebie gazelka. No zejdź z osła! O, a to co? Ręka cię boli, czy co? — zapytała, spostrzegłszy owiniętą rękę Hadry.

Hadra z ciekawością przyglądała się ciotce, której nie znała, ale o której słyszała od matki. Z rysów twarzy Halima bardzo jej przypominała zmarłą matkę, była tylko daleko starszą i szczuplejszą. Chciała jej odpowiedzieć na powitanie, ale nie zdążyła, bo w tej samej chwili zbliżył się do niej wuj i zsadził ją z osła, mówiąc:

— Hadra ma rękę złamaną, sama sobie winna. Za kilka dni będzie już zdrową i pewno nabędzie rozumu i przestanie być uporną.

Na te słowa wuja łzy zaszkliły się w oczach dziewczęcia, wargi zaczęły się trząść i o mało nie wybuchła płaczem. Zmogła się jednak i swobodnie przywitała się z ciotką, która, niezadowolona z odpowiedzi Izmaela, znów zaczęła się dopytywać o przyczynę złamania ręki. Hadra, nie chcąc oskarżać Muleja o to okrucieństwo, nie odpowiedziała wprost, lecz zapewniała ciotkę, że ręka ją już wcale nie boli, i że myśli, iż się już zrosła zupełnie. Stary zaś szeik, aby przerwać dopytywania się Halimy, ozwał się głosem suchym i cierpkim:

— Nie bądź tak ciekawą, Halimo, bo tem nic Hadrze nie pomożesz. Zaprowadź ją lepiej do izby, i niech

sobie dziewczyna wypocznie po drodze, a mnie powiedz, czy Hadżi jest w domu?

— Hadżiego niema w domu, pojechał na polowanie, ale myślę, że wnet wróci, bo wieczór się zbliża — odpowiedziała Halina.

— To dobrze, poczekamy na niego — odpowiedział szeik. Poczem z Mulejem rozkulbaczyli zwierzęta i odeszli na rynek, gdzie przyłączyli się do siedzących kilku znajomych starych Arabów i poczęli z nimi rozmawiać.

U ciotki.

Tymczasem zaś Halima zabrała Hadrę, wprowadziła je za mur na podwórze i rzekła:

— Nie wiem, moje dziecko, jak się wdrapiesz do izby. Żeby nie boląca ręka, nie byłoby to trudno, ale ze złamaną ręką, to nie wiem, jak ci to pójdzie.

Rzeczywiście, wdrapanie się do mieszkania ciotki dla Hadry było zadaniem nielada. Gdyby przynajmniej były jakie takie schody, lub drabina, byłoby jeszcze pół biedy, ale do groty trzeba się było drapać, czepiając się kilku wystających kamieni w murze. To też zakłopotana dziewczynka stała i bezradnie spoglądała to na grotę, to na ciotkę.

— Nie wiem, ciociu, jak się tam wdrapię, ale będę próbowała — powiedziała po chwili milczenia.

— Czekaj! już wiem, jak to zrobimy! — zawołała ciotka. — Ja wejdę pierwsza, podam ci rękę i wciągnę cię. Tak, tak, to będzie najlepszy sposób.

I nim się Hadra spostrzegła, ciotka jej w jednej chwili wdrapała się do swojej groty i kucnąwszy na jej brzegu, wyciągnęła rękę ku Hadrze, mówiąc:

— No, stań na tym kamieniu, co wystaje z muru, podaj mi lewą rękę i hajda! w górę!

Dziewczyna zrobiła, jak poradziła ciotka, i za chwilkę stanęła w grocie obok niej.

— Widzisz, że to nie tak trudno — rzekła ze śmiechem ciotka. — Za kilka dni będziesz skakała po tych kamieniach lepiej, niż koza.

Hadra uśmiechnęła się i spojrzała na swą rękę.

— Boli cię, uraziłaś się? — zapytała ciotka z wielką troskliwości w głosie, widząc to spojrzenie Hadry.

— Nie, ciociu, wcale mnie nie boli.

— Myślałam, że się uraziłaś. Chodźmy teraz dalej do izby.

Tu ciotka wprowadziła Hadrę do obszernej groty. Mroczno w niej było, gdyż światło dochodziło do wnętrza jednym tylko otworem, służącym i za drzwi i za okna. Po krótkiej jednak chwili wzrok Hadry przyzwyczaił się do mroku, i dziewczyna zaczęła się rozglądać po niej.

Hadra przyzwyczajona była do ubóstwa, ale mieszkanie ciotki wydało się jej bardzo ubogiem. Nie było w niem prawie żadnych sprzętów. W jednym kącie spostrzegła małe wzniesienie, nakryte kocem, a które najwidoczniej służyło za łóżko, obok leżało kilka jakichś szmat, których Hadra dobrze rozpoznać nie mogła, przy ścianie zaś stało kilka naczyń glinianych i dzbanek. Na podłodze rozesłana była plecionka zwykła i to wszystko.

— Cóż, podoba ci się moje mieszkanie? — zapytała ciotka.

— Nigdy jeszcze takiego nie widziałam i wcale nie myślałam, żeby ludzie mogli mieszkać w takich grotach! — odrzekła Hadra.

— A jednak mieszkania te są bardzo wygodne: w lecie chłodno w nich, a w zimie cieplutko — mówiła ciotka.

Rzeczywiście, w grocie panował bardzo miły i przyjemny chłód.

Ciotka pomogła Hadrze zdjąć zwierzchnie okrycie, podała jej wody ze sokiem i usiadłszy obok dziewczynki, poczęła pytać o zmarłą matkę Hadry, o tem co robiła i gdzie była po śmierci matki. Hadra opowiadała wszystko, aż w końcu ze łzami w oczach opowiedziała ostatnie swoje przejścia po porwaniu z domu państwa Ręynaudów. W końcu dziecko uchwyciło rękę starej ciotki, przycisnęło ją do ust i tuląc się do ciotki, cicho szeptało:

— Ciociu moja ukochana, broń mnię przed wujem Izmaelem i Mulejem... Ja ich się bardzo boję, a nie wiem, po co oni mnię tu przywieźli.

— I ja nie wiem, dziecko, po co cię Izmael przywiózł?.... Być może, że się obawiał, by Francuzi nie odebrali cię nazad, bo namioty jego blisko są Beniuby, i Francuzi łatwo tam mogliby przyjść po ciebie, gdy zaś tu, w górach, nikt jeszcze Francuzów nie widział. Być też może, że inne ma jakie zamiary, których odgadnąć nie potrafię, w każdym jednak razie krzywdy ci nie pozwolę zrobić — odpowiedziała ciotka i serdecznie i czule uścisnęła Hadrę.

— Dziękuję cioci — ozwała się Hadra i już raźniejszym dalej mówiła głosem: — Przedtem bronił mnię Marabut i on mi rękę opatrywał, ale on został w namiotach, i gdyby mnie ciocia nie broniła,.... to nie wiem, co zrobię!... Ach, ja się tak boję tego bicia!

— Nie obawiaj się, nikt cię tu bić nie będzie. Sidi Hadżi to dobry człowiek i bardzo lubi dzieci, więc jestem pewna, że nie pozwoli cię bić ani Izmaelowi, ani Mulejowi.

— A jak się dowie, że jestem chrześcijanką, czy też nie pozwoli bić mnie?

— Przecież nie jesteś ochrzczona, więc nie jesteś jeszcze chrześcijanką.

— Tak, nie zostałam ochrzczona, bo mnię wuj porwał z rana tego dnia, w którym miałam przyjąć chrzest, ale to nic, w duszy jestem już chrześcijanką.

— Słuchaj, Hadro dziecko moje, daj ty sobie spokój z całem tem twojem niby chrześcijaństwem. Widzisz, tyle już wycierpiałeś różnych przykrości, pocóż masz się jeszcze więcej narażać na nie?.. Daj pokój, dziecko, daj pokój! — doradzała ciotka.

Hadra zaś, po krótkiej chwili milczenia, łagodnym, ale stanowczym odrzekła głosem:

— Nie, droga ciociu, Chrystusa ja już nigdy nie opuszczę, choćby mnię nawet zabili. Jeżeli ciocia mnie nie chce bronić, to Pan Jezus mnię obroni.

— Allach, co ty, dziecko moje, wygadujesz! Nie powiedziałam, że cię nie będę broniła, ale widzisz, co ja sama, biedna kobieta, wobec gniewu szeika mogę zrobić? Może mnię, jak wiesz, wyrzucić na śmieci i bę-

dę musiała ostatnie dni życia spędzić na tułaczce, na żebraninie.

— Ciociu, jakby cię kadi wyrzucił z domu, to ja cię zaprowadzę do państwa Reynaudów, ładnie ich poproszę, a oni cię przyjmą, jak przyjęli mamę i mnie — zawołała prędko Hadra i lewą ręką objęła szyję ciotki i przytuliła się do niej. — Nie bój się, ciociu, chrześcijanie to bardzo dobrzy ludzie i kobiet swoich nie wypędzają na starość z domu, ale je bardzo szanują.

Słowa Hadry niezmiernie ujęły i rozczuliły ciotkę.

— Dobre masz serduszko, moje dziecko — odpowiedziała, ale będzie to, co Allah chce, żeby się stało, i niema potrzeby przedwcześnie się martwić. Połóż się teraz na posłaniu, wypocznij sobie, a ja pójdę przygotować wieczerzę, bo kadi lada chwilę może powrócić. Zagadałyśmy się, a tu słońce zachodzi!

Po tych słowach Halima opuściła Hadrę i, spuściwszy się ze swej pieczary, zajęła się przygotowaniem wieczerzy dla domowników i dla przybyłych gości.

Kadi El Dany.

Słońce już zachodziło, gdy Hadżi z kilku innymi towarzyszami zjawił się wreszcie w El Danie. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, noszący długą i siwiejącą już brodę, zielony turban na głowie, jako znak, że odbył pielgrzymkę do Mekki. Na twarzy jego malowała się wielka powaga, ale obok niej przebijały też dobroć i łagodność, które rzadko można było spotkać u szeików dzikich tych plemion górskich, nawykłych do rabunków, walk i różnych okrucieństw.

Izmael z daleka już spostrzegł przybywającego Hadżego, więc nie czekając, aż ostatni przybędzie na rynek, razem z Mulejem powstał z ziemi i wolnym krokiem począł iść naprzeciw jadącego na dzielnym arabskim rumaku kadiego. Niebawem jadący zbliżyli się, i Hadżi poznawszy starego szeika, prędko zeskoczył ze swego wierzchowca i podszedł do Izmaela.

Obaj Arabowie przywitali się serdecznie i skierowali się ku mieszkaniu kadiego.

— Allah niech będzie błogosławiony, że cię natchnął, byś odwiedził starego pustelnika — mówił kadi. — Dawno tu nie byłeś, Izmaelu.

— Powiem ci szczerze, że nie byłbym w tych górach, gdyby nie kłopot, który mnię tu zapędził — odpowiedział Izmael.

— Coż takiego? — zapytał Hadżi. — Czy giaury, Francuzi, wleźli ci za skórę?

— Po części tak, bo z ich przyczyny Hadra gwałtem chce zostać chrześcijanką.

Tu idący zbliżyli się do mieszkania kadiego, który zaprosił Izmaela do swej groty, gdzie też ostatni opowiedział Hadżemu o znanych już wypadkach z Hadrą.

— Po namyśle więc — kończył opowiadanie Izmael — postanowiłem odwieść dziewczynę do was, przypuszczając, że tu łatwiej będzie wybić jej z głowy te niedorzeczne myśli i zamiary.

Sidi Hadżi w milczeniu słuchał opowiadania szeika, a gdy ten wreszcie skończył, zastanowił się chwilkę i potem rzekł:

— Zobaczymy, co da się zrobić. Szkoda jednak,

że z dziewczyną źle się obchodziliście, nie trzeba jej było bić. Przez to zraziliście dziecko, łagodnością bylibyście je pociągnęli i przywiązali do siebie. No, ale stało się i darmo teraz rozmyślać nad tem, czego już odrobić nie można. Gdzież jest dziewczyna?

— Halima wzięła ją pod swą opiekę i pewno zaprowadziła do swej izby — odpowiedział szeik, Izmael. nie zbyt zadowolony z nagany Hadżego.

W tej samej chwili Halima dała znać, że wieczerza już gotowa, więc kadi zaprosił przybyłych do stołu.

Halima i inne kobiety nie brały udziały przy stole mężczyzn, jadły one w osobnej grocie.

Po wieczerzy kobiet, Halima zaprowadziła Hadrę do kadiego, który z ojcowską prawie życzliwością powitał dziewczynkę. Pogłaskał ją po głowie, dobrotliwie dopytywał się, czy ją ręka boli, i czy bardzo jest zmęczona długą drogą. W końcu zapewnił ją, by się niczego nie obawiała, i oddał ją pod opiekę ciotki, Halimy.

Życzliwe to obejście się kadiego wielce uspokoiło Hadrę. Dziewczyna nabrała nowej otuchy i była przekonana, że nie grozi jej już żadne niebezpieczeństwo, a że kadi wcale nie zapytywał o to, czy jest chrześcijanką, więc była pewna, że bez przeszkody pozwoli jej wyznawać Chrystusa. Uradowana, ściskając swą ciotkę, szeptała jej do ucha:

— Ciocia prawdę mówiłą: kadi jest bardzo dobry, lepszy, niż wuj Izmael, a nawet lepszy, niż własny brat, Mulej! Ja też kadiego szczerze pokochałam i będę się modliła za niego.

— Oby Allah sprawił, by ta dobroć kadiego jak

najdłużej trwała — szepnęła Halima i rozebrawszy dziewczynkę i opatrzywszy jej rękę, ułożyła ją do snu.

Nowe niebezpieczeństwo.

Dwa tygodnie już mijały, jak Hadra bawiła w El Danie. Sidi Hadżi zawsze był dla niej bardzo dobry i życzliwy, za co dziewczynka szczerze mu była wdzięczna, szczególniej rada była z tego, że ani razu nie zapytał jej, czy ma zamiar jeszcze zostać chrześcijanką. Hadżi o to zgoła nie pytał, a takie postępowanie kadiego utrwaliło Hadrę coraz więcej w mniemaniu, że ani kadi, ani tem więcej wuj i inni krewni nie będą jej przeszkadzali w wykonaniu dawno powziętego zamiaru zostania chrześcijanką. Więc dzieweczka co dzień serdecznie dziękowała Panu Jezusowi za to, że jej dał tak dobrych opiekunów: ciotkę i jej męża, i nawet w głębi serduszka zbudziła się nadzieja... nawrócenia tych krewnych, o co w tajemnicy nawet przed pełną dla niej życzliwości ciotką zaczęła się modlić. Tymczasem, gdy Hadra rozmyślała o nawróceniu starego kadiego, ten mahometanin zupełnie o czem innem myślał i przygotowywał jej taką niespodziankę, o jakiej Hadra nigdy jeszcze nie pomyślała.

Gdy bowiem po dwu tygodniach pobytu w El Danie, znudzony bezczynnem życiem, Izmael zapowiedział swój odjazd z El Dany, Sidi Hadżi ozwał się spokojnie:

— Słuchaj Izmaelu, choć radbym cię zatrzymał i cały miesiąc, ale nie zrobię tego, bo wiem, że ci pil-

no z powrotem do domu. Jednak z tydzień jeszcze możecie tu pozostać, bo wiesz, co mi przyszło na myśl?

— No? — zapytał Izmael.

— Oto, zdaje mi się, że bardzo łatwym sposobem możemy się zbyć kłopotu pilnowania Hadry.

— Co z nią chcesz zrobić?

— Wydajmy ją za mąż! Dziewczyna ma już dwanaście lat, a wiesz przecie, że według naszych zwyczajów dziewczęta w tym wieku powinny mieć swoje ogniska domowe. Nie widzę przyczyny, dlaczegoby i nasza gazelka nie miała iść w ślady swych rówieśnic, tem bardziej, że tobie i mnie spadnie z głowy kłopot pilnowania i utrzymywania dziewczyny. Gdy będzie miała męża, to już jego będzie rzeczą, by Hadrze wybić z głowy niedorzeczne zamiary powrotu do giaurów francuzkich i przyjęcia ich religii. Cóż, jak ci się podoba ten projekt?

— Ależ doskonały! — zawołał uradowany Izmael, i złośliwy ognik błysnął mu w szarych jego oczach. — Doskonały projekt — mówił dalej — i dziwię się, że on mnie pierwszemu nie przyszedł do głowy, gdyż dawno już byłbym skończył z uporną dziewczyną. Tak, tak, to będzie najlepszą rzeczą, niech idzie za mąż!.... Ale za kogo ją wydamy?

— I o tem już pomyślałem. Mam dla niej dobrego męża! — odpowiedział kadi.

A gdy Izmael z ciekawością spojrzał w twarz Hadżego, ten tak mówił dalej;

— Alli Ahmet, syn Mahomeda Ben-Azara, będzie mężem Hadry. Z Mohamedem już mówiłem o tem, z radością zgodził się na tę propozycyę i zaraz przyszle swatów, skoro tylko będzie pewien twojej zgody.

— A ile da za Hadrę? — zapytał Izmael.

— Młody Alli nie jest zbyt bogaty, ale ojciec jego obiecał dać pięć kóz starych, i trzy młode, dziesięć owiec z dwoma jagniętami, czterdzieści kwart oliwy, i dziewiędziesiąt piastrów (około $30). Myślę, że ci to wystarczy?

Stary szeik zamyślił się. Rad był, że będzie mógł pozbyć się dziewczyny, ale wydając ją za mąż, chciał więcej zarobić na niej. Więc po chwili milczenia ozwał się?

— Mało!

— Wątpię, żeby dał więcej.

— Niech da pół tuzina starych kóz i tuzin owiec i niech bierze dziewczynę.

— O tem można będzie jeszcze pomówić, choć, Izmaelu, ofiarowana przez Mohameda Ben-Azara suma wydaje mi się zupełnie wystarczająca. Wszak ty dziewczyny nie chowałeś, nic na jej życie nie wydawałeś, więc dlaczego chcesz na niej zarobić? Drożyćby o nią mogła się tylko jej matka, a ta już nie żyje. Bierz, co dają i koniec!

Uwaga ta Sidi Hadżego rozgniewała Izmaela. Wstyd mu się zrobiło, że kadi odkrył jego chciwość, zapanował jednak nad gniewem i po chwili milczenia spokojnym głosem odrzekł:

— Niech i tak będzie, jak powiadasz. Niech Alli Achmet zapłaci to, co obiecał i niech sobie zabierze dziewczynę.

— Dobrze więc! Zaraz poszlę po Mohameda Ben-Azara — odpowiedział kadi i przywoławszy małego wyrostka, posłał go do mieszkania Mohameda.

Wnet potem zjawił się Mohamed Ben-Azar, i trzej Arabowie wkrótce zgodnie załatwili całą sprawę. Ponieważ ręka Hadry już się prawie zgoiła, a staremu szeikowi śpieszyło się do namiotów, więc ceremonie ślubne naznaczono na drugi dzień wieczorem. Część umówionej zapłaty za Hadrę Ben-Azar obiecał tego dnia wieczorem jeszcze wypłacić Izmaelowi, a resztę zaś po weselu, przy wyjeździe szeika z El Dany. Pozostało tylko teraz uwiadomić Hadrę o przeznaczonym jej losie. Zadanie to wziął na siebie sam Izmael. Oporu ze strony dziewczynki nie przypuszczał żadnego, zresztą, i takby on się na nic nie zdał, gdyż, zwyczajem arabskim, rodzice, lub opiekunowie dzieci rozporządzają ich losami.

Straszna wiadomość.

Izmael nie zwlekał z zawiadomieniem dziewczyny o przeznaczonem dla niej losie. Zaraz po wyjściu Ben-Azara kazał przywołać Hadrę do mieszkania kadiego i tam wobec ostatniego i Muleja oznajmił jej, co przed chwilą było przez starszych postanowiono.

— Jutro wieczorem, Hadro, będziesz żona Allego! — rzekł do dziewczynki.

Hadra struchlała, takiej wiadomości nigdy, a nigdy nie spodziewała się usłyszeć. Przez chwilę osłupiałym wzrokiem z przerażenia patrzała na obecnych, i zdało się, jakby nie rozumiała dobrze, czego oni od niej chcą.

— I cóż tak patrzysz na nas? — ozwał się Izmael. — Powiedziałem ci, że jutro wyjdziesz za mąż: Alli

Achmet bierze cię za żonę. Spodziewam się, że jesteś z tego bardzo zadowolona, bo tak uboga dziewczyna bogatszego i lepszego męża nie mogła dostać. Pewny też jestem, że grzecznie podziękujesz kadiemu, bo to on pomyślał o tym mężu dla ciebie.

— Tak, dziecko, to ja namówiłem Allego. Znam go, chłopiec jest bardzo dobry, dzielny myśliwy, odważny, jak lew. Będzie ci dobrze w jego domu — mówił kadi głosem łagodnym i powstawszy z ziemi, zbliżył się do Hadry i chciał ją pogłaskać po głowie, gdy nagle oczy dziewczęcia błysły dziwnym ogniem, a z ust wyleciały twarde i stanowcze słowa:

— Ja nigdy, a nigdy nie zostanę żoną Allego!

— E, głupia z ciebie gąska! — odpowiedział Mulej.

Hadra atoli nie słyszała już tych uszczypliwych słów brata, bo, oznajmiwszy Arabom swoje postanowienie, pędem natychmiast wybiegła z groty. Na podwórzu spotkała ciotkę, której jednak nie zauważyła, tak była wzruszoną i wzburzoną usłyszaną wiadomością. Bystre atoli oko starej Arabki wnet dostrzegło dziwną zmianę w biegnącej dziewczynie; zrozumiała, że coś nadzwyczajnego musiało się Hadrze przydarzyć, więc zawołała:

— Zmiłuj się, Hadro, co się z tobą dzieje? Biegniesz, jakbyś zmysły pogubiła. Co się stało?

Hadra przystanęła, spojrzała na ciotkę, wyciągnęła ręce ku niej i z płaczem podbiegła do Halimy.

— Ach, ciociu, ciociu! — szlochała dziewczynka, tuląc się do Arabki.

— O, wielki Allahu! co tobie jest? — zawołała przerażona ciotka, przytulając dziewczynkę do siebie i z czułością patrząc na nią.

— Ciociu moja kochana, broń mnię, ratuj mnię! — szeptała Hadra głosem błagalnym.

— Uspokój się, dziecino, i powiedz, co się stało?.... Czy cię kto wybił?....

— Nie, ciociu, nikt mnię nie bił, ale....

— Więc dlaczego tak płaczesz i tak jesteś przestraszona?

— Bo, bo.... okropną, straszną usłyszałam nowinę!

— Coż takiego? — Czy Izmael chce cię zabrać z powrotem do swych namiotów?

— Nie, nie, tylko.... Ach, Boże. Ja się tego okropnie boję i ani wymówić nie mogę....

— Ale przynajmniej mnie nie potrzebujesz się obawiać, więc powiedz śmiało, coś takiego usłyszała, żeś się tak przeraziła?.... Drżysz, jak we febrze.... Mówże już przecie!....

— Wuj Izmael powiedział, że.... że, oh!.... to okropne, co on powiedział!....

— Coż Izmael powiedział?

— Że mnię wyda za mąż!.... wykrztusiła wreszcie Hadra i jeszcze mocniej przytuliła się do ciotki, szepcąc:

— Ratuj mnię, ciociu! ratuj!

Usłyszawszy to, Halima stała przez chwilę, jakby oniemiała. Takiej wiadomości i ona wcale się nie spodziewała. Przez myśl jej nie przeszło nawet, by stary szeik w ten sposób postanowił pozbyć się dziewczynki, i na myśl o tem ogarnęła ją złość na brata.

— Izmael chce cię wydać za mąż? — zapytała, ochłonąwszy z pierwszego zdziwienia.

— Tak, przed chwilą zawołali mnię do groty kadiego, i wuj mi to powiedział. Mówił, że to sam kadi pierwszy o tem pomyślał i on wyszukał dla mnię męża.

— Co?.... Sam kadi pierwszy o tem myślał? — zapytała zdziwiona Halima.

— Tak, ciociu, on sam mi powiedział, że namówił Allego.... Powiedział, że Alli jest dobrym chłopcem i dzielnym myśliwem, i że mam się z tego cieszyć!...

— A ty coś odpowiedziała?

— Ja powiedziałam, że nigdy nie zostanę żoną Allego, ani nikogo!... Ja nie chcę, nie chcę i nie pójdę nigdy za mąż! — zawołała Hadra z płaczem i z taką stanowczością w głosie, że aż ciotka się zdumiała.

I przez chwilę starej Arabce w głowie nie mogło się pomieścić, skąd w dziecku taka stanowczość się bierze. Przywykła do uległości i prawie niewolnictwa, nie mogła pojąć, jak można opierać się woli wszechwładnego kadiego. To też gdyby tylko brat jej, Izmael, zamierzał wydać Hadrę za mąż, byłaby stanęła w jej obronie, ale, gdy usłyszała, że o tem pomyślał sam kadi i że on pierwszy podał Izmaelowi tę myśl, stara Arabka zlękła się i po chwili rozwagi przyszła do przekonania, że ostatecznie wyjście za mąż dla dziewczęcia nie jest znów tak straszną rzeczą, bo przecie czy wcześniej, czy później ten los ją spotka, więc dla uspokojenia dziecka rzekła:

— No, to nie jest znów tak wielkiem nieszczęściem, moja Hadro.... Masz już dwanaście lat przecie....

— Choćbym miała i sto lat, to za mąż nie chcę iść i nie pójdę! — wybuchła dziewczynka i błyszczącemi oczyma spojrzała na ciotkę.

— Jednak, Hadro, zastanów się tylko dobrze: kadi....

— Kadi, wuj i Mulej mogą sobie myśleć i robić, co im się podoba, ale mnie nie zmuszą!

— Biedne dziecko, sama nie wiesz, co mówisz! Kadi jest wszechwładnym panem, co chce, to zrobi, i nikt mu się nie śmie sprzeciwić — powiedziała smutnym głosem Halima i poczęła głaskać główkę dziewczęcia.

Hadra jednak usunęła się od tych pieszczot ciotki i patrząc na nią, rzekła z wyrzutem:

— Ja myślałam, że ciocia będzie mnię broniła, ale widzę, że się omyliłam.

— Owszem, dziecino, z całej duszy radabym ci dopomódz, ale w tym wypadku nie widzę, cobym mogła zrobić?... Gdyby tylko sam Izmael chciał cię wydać za Allego, to może byłabym zdołała wpłynąć na kadiego, by stanął w twojej obronie, ale gdy sam kadi pierwszy tę myśl podał, to już trudno!... On nie ustąpi!...

— Więc ciocia nic, a nic mi nie pomoże?

Halima nie chcąc martwić dziewczęcia, nie odpowiedziała wprost na pytanie, lecz wymijająco rzekła:

— Rozmówię się z kadim i z Izmaelem, a może uda mi się odwieść ich od powziętego zamiaru. Więc nie martw się przedwcześnie.

— Dziękuję cioci, niech ciocia pomówi z nimi i niech im raz jeszcze powie, że ja nigdy, a nigdy nie

zostanę żoną Allego... Prędzej umrę, niż spełnię ich wolę!... Zresztą, ja już wiem, co zrobię.

Halima spojrzała pytająco na dziewczynkę.

— Co chcesz zrobić?

— Ucieknę!

— Gdzie i do kogo?

— Do Beniuby, do pani Reynaud.

— Hadro kochana, sama nie wiesz, co mówisz! Do Beniuby to przecież droga daleka, zabłądzisz i zginiesz.

— Nie, nie zabłądzę i nie zginę. Pan Jezus mi dopomoże — odpowiedziała Hadra z głębokiem przekonaniem i wiarą w tę pomoc.

— Na to ja nie mogę pozwolić. Gdyby to było blisko, to co innego... Samabym ci dopomogła, bez względu na to, coby mnię potem spotkało, ale stąd — to nie sposób. Nie, nie, to nie może być, zresztą, czekaj, aż pomówię z kadiem, może da się odwieść od swego zamiaru. Allah! co to za kłopot! — westchnęła.

— Niech ciocia mówi z nimi, ale ja nie dziś, to jutro ucieknę!

— Spróbuj tylko, a zobaczysz, co cię spotka! — ozwał się tuż za Hadrą ostry i suchy głos Muleja, który wyszedł z groty kadiego i niespodzianie zbliżył się do rozmawiających i usłyszał ostatnie słowa siostry.

— Już raz uciekałaś — mówił dalej — i pewno nie zapomniałaś jeszcze, co cię za to spotkało? Chcesz raz jeszcze próbować?... Próbuj! — zawołał z groźbą i zawrócił ku mieszkaniu szeika, by staremu Izmaelowi i kadiemu powiedzieć, co słyszał.

Hadra nie odpowiedziała ani słówka na tę groźbę

brata, otarła zapłakane oczy i wolnym krokiem odeszła pod mur, gdzie usiadła na kamieniu. Ciotka zaś poszła rozmówić się z Arabami.

Bez nadziei.

Po wyjściu Muleja z groty, Kadi swobodnie rozmawiał z Izmaelem, układając program jutrzejszego wesela. Arab bardzo polubił dziewczynkę i dlatego wieczorem tego dnia postanowił urządzić dla niej ucztę zaręczynową, a nazajutrz sute wesele. Izmael nie sprzeciwiał się wcale, wszak to go nic nie kosztowało.

— Kiedy dla głupiej dziewczyny Kadi chce wyprawiać wesele, to niech sobie wyprawia — myślał w duchu, gdy Sidi Hadżi opowiadał, co chce zrobić.

Wtem do groty wszedł Mulej i rzekł:

— Wiecie, co Hadra postanowiła zrobić?

— No? — zapytali obaj Arabowie, utkwiwszy wzrok w Muleja.

— Chce uciekać! — powiedział ostatni z ironią w głosie.

— E, głupstwo — odrzekł Izmael.

— Dokąd chce uciec? — zapytał kadi.

— Tego nie wiem, ale przypuszczam, że do Francuzów, do Beniuby. Raz to już próbowała zrobić, zaraz po przywiezieniu jej. Ucieczka jednak nie udała się, więc chce drugi raz próbować. Niech próbuje!

— Głupia dziewczyna, myśli, że do Beniuby to wnet zaleci. Niech próbuje! Co nam to szkodzi? — powiedział stary Izmael, wzruszając ramionami.

— Że, głupstwo, to nie przeczę — ozwał się kadi. — Jednak na to głupstwo pozwolić nie możemy. Nie idzie o to, żeby dziewczyna uciekła, bo tego zrobić nie potrafi — Beniuba i Francuzi za daleko od nas, ale może nam narobić niepotrzebnego kłopotu. Zabłądzi gdzie, i trzeba jej będzie szukać. Zaraz zawołam Halimy i powiem jej, by jej z oka nie spuszczała i nie pozwoliła jej oddalać się od domu. Idź, Muleju, przywołaj Halimę!

Mulej atoli nie zdążył nawet obrócić się, gdy wtej samej chwili do groty weszła Halima.

— Właśnie, chciałem posłać Muleja po ciebie, Halimo, — rzekł kadi, ujrzawszy żonę. — Gdzie Hadra? — zapytał.

— Na podwórku, przed moją grotą — odrzekła zapytana.

— Mulej powiedział, że dziewczynka chce uciekać. Pilnuj jej dobrze, bo na prawdę gotowa zrobić to głupstwo — powiedział kadi do żony.

— I mnie to samo powiedziała — odrzekła Halima.

— No.to tem bardziej uważaj na nią.

— Dobrze, ale dlaczego dziewczynę chcecie zmusić wbrew jej woli do poślubienia Allego? — zapytała Halima trochę drżącym i niepewnym głosem. — Ja myślę....

— Co ty, Halimo, myślisz, to jest twoją rzeczą, i oto cię nikt z nas nie pyta — przerwał żonie suchym głosem kadi. — Jesteś kobietą, to wiesz dobrze o tem, że twych rad nie potrzebujemy. Izmael jest głową rodziny i co postanowi, to być musi. Poradziłem mu,

by Hadrę wydał za mąż, bo to najlepiej będzie dla niej i dla wszystkich; Izmael zgodził się i zawarł już umowę z Ben-Azarem. Kobiecych rad nam tu nie potrzeba!.... Idź, czuwaj nad dziewczyną i przygotuj, co możesz na obrzęd ślubny, który odbędzie się jutro wieczorem.

Halima, jak i wszystkie muzułmanki, przyzwyczajona do uważania swego męża za wszechwładnego pana, nie odważyła się już więcej odezwać ani słówkiem. Wiedziała, że byłoby to na próżno, i kadi wcaleby jej nie słuchał, więc smutna i zmartwiona wyszła z mieszkania Hadżego. Na podwórzu zobaczyła siedzącą na kamieniu Hadrę. Podeszła w milczeniu do dziewczynki. Hadra podniosła głowę i spojrzała na smutną twarz ciotki.

Dziewczynka zbladła, serduszko poczęło uderzać gwałtownie, wargi zadrżały i w przerażonych oczach łzy się zaszkliły. Zrozumiała, że ciotka nic nie zyskała u swego męża.

— Dziękuję cioci! — wyszeptała po chwili zbielałemi wargami. — Ja już z góry wiedziałam, że tak będzie.

— Nawet mówić mi nie pozwolili — odpowiedziała Halima i patrząc na dziewczynkę, której istotnie w tej chwili serdecznie żałowała, dodała:

— Kadi nietylko słuchać nie chciał, ale mi jeszcze przykazał, bym cię dobrze pilnowała, żebyś nie uciekła! Mulej bowiem powiedział Kadiemu i Izmaelowi, że chcesz uciec, ale ja myślę, że tego szaleństwa nie zrobisz, prawda?....

Hadra nic nie odpowiedziała. Pomyślała sobie, że lepiej będzie nie wyjawiać swego zamiaru nawet

i przed ciotką, która rzeczywiście mogła jej przeszkodzić w ucieczce. Mogła ją zamknąć w grocie, albo w jakiem innem miejscu i w ten sposób udaremnić wykonanie zamiaru. Poprzednie doświadczenie nauczyło ją ostrożności. Więc za całą odpowiedź westchnęła tylko głęboko. Ciotka zaś westchnienie to wzięła za twierdzącą odpowiedź i uspokojona rzekła:

— Ja zaraz myślałam, że ci to tylko w pierwszej chwili taka niedorzeczna myśl przyszła do główki, ale, po bliższem zastanowieniu się, sama widzisz, że byłoby szaleństwem uciekać do Beniuby. Z bolącą ręką, bez znajomości drogi, leciałabyś na własną zgubę. — Allah jest wielki! bądź spokojną, dziecko moje, będzie to, co Allah postanowił — westchnęła w końcu ciotka i przytuliła Hadrę do siebie.

W tej samej chwili trzej mężczyźni wyszli z pieczary. Przybrani byli do drogi i uzbrojeni. Kadi, idący z długą strzelbą, przewieszoną przez ramię, przystanął i spojrzawszy w stronę Hadry i ciotki, rzekł łagodnie:

— Słyszałem, Hadro, że chcesz uciekać, myślę jednak, że tego głupstwa nie zrobisz. Do Beniuby daleko, zanimbyś tam doszła, sto razy szakale cię zjedzą po drodze. Pełno ich wszędzie. Jak chcesz płakać, to płacz, nikt ci tego nie broni, ale o ucieczce nie myśl, bo to na próżno.

Zwróciwszy się zaś do Halimy, powiedział:

— Halimo, jedziemy na polowanie, wrócimy pod wieczór. Postaraj się przygotować lepszą wieczerzę. Wyprawimy choć małe zrękowiny tej płochliwej gazelce, nie zapomnij i do widzenia!

— Allah wielki niech wam szczęści! — odpowiedziała Halima.

— A uważaj dobrze na Hadrę, żeby nam nie narobiła jakiego kłopotu. Dziewczyna rezolutna i uparta — na wszystko gotowa. Nie spuszczaj jej z oka! — przestrzegał stary Izmael.

Tu trzej mężczyźni: Kadi, Izmael i Mulej, uzbrojeni w długie strzelby, osiodłali konie i za chwilę znikli z oczu Halimy i Hadry. W domu zostały same kobiety i dzieci. Ciotka Hadry zaraz przywołała niewiasty i wspólnie z niemi zajęła się przygotowaniami do wieczornej uczty zaręczynowej.

Praca jednak nie szła raźno. Halima i wszystkie niewiasty były smutne i przygnębione. Zdało się, że nie ucztę zaręczynową, ale stypę pogrzebową przygotowują. Żal im było dziewczynki, która samotnie w zamyśleniu siedziała pod ścianą na kamieniu i w niczem udziału nie brała. Blada, jak kreda i jakby bez życia, Hadra szklanem wzrokiem patrzała na kręcące się niewiasty i w duszy modliła się o pomoc do Boga, gdyż od ludzi, nawet od ciotki, żadnej pomocy spdziewać się nie mogła. Ciotka bowiem, choć jej serdecznie żal było dziewczynki, bała się swego męża i w niczem jej dopomódz nie mogła, owszem pilnować jej musiała. Pilnowała też i na krok poza ogrodzenie Hadrze nie pozwalała się oddalać.

Ucieczka.

Tak minął cały dzień. Słońce już skłaniało się ku zachodowi, wieczór się zbliżał, a z nim straszna dla Hadry uczta zaręczynowa. Dziewczynka ledwie już

żyła i straciła wszelką nadzieję, by mogła niespostrzeżona wymknąć się i uciec. Tęsknym i smutnym patrzała wzrokiem na zachodzące słońce. Żal serdeczny ścisnął jej serduszko, a z oczu po bladych policzkach strumieniem polały się łzy i głuche łkanie wyrwało się z piersi. Hadrze zdało się, że wraz z zachodzącem słońcem ucieka z niej i życie, a zbliża się ciemna bez końca noc. Teraz już ani modlić się, ani myśleć nie mogła. Stała się, jak posąg z marmuru, zimna i obojętna na wszystko.

W tem drgnęła. Ktoś dotknął ją ręką. Podniosła głowę i załzawionemi oczyma spojrzała przed siebie. Obok niej stała ciotka, Halima, na ramieniu trzymała jedną ręką duży gliniany dzbanek.

— Idę po wodę, może pójdziesz ze mną? — rzekła łagodnym głosem Halima, a wpatrując się chwilę w znękaną i bladą twarzyczkę dziecka z czułością dodała:

— Chodź, chodź, moje dziecko! Cały dzień przesiedziałaś na tym kamieniu, przejdziesz się trochę i rozerwiesz.

Hadra, machinalnie, bez słowa odpowiedzi, wstała i poszła w milczeniu za ciotką ku źródłu, z którego mieszkańcy El Dany czerpali wodę. Źródło to było u stóp wzgórza, a oddalone było o jaki kwadrans drogi od ostatniej pieczary. Zwykle pod wieczór każdego dnia niewiasty z El Dany z glinianymi dzbankami na głowach przychodziły do źródła, gawędziły ze sobą, a nabrawszy wody, wracały do swych mieszkań.

Tego dnia Halima, będąc zajęta przygotowywaniami do wieczornej uczty, znacznie się spóźniła.

Wszystkie niewiasty wracały już do domu z wodą, gdy ona z Hadrą szła ku źródłu. Idąc, rozmawiała z dziewczynką i starała ją się pocieszyć.

Przy źródle zastały one jeszcze dwie inne Arabki. Halima porozmawiała chwilę z niemi, napełniła dzbanek wodą, a widząc, że słońce już do połowy ukryło się za widnokręgiem, śpiesznie zwróciła się ku mieszkaniu. Razem z nią powracały też i owe dwie niewiasty. Wszystkie trzy kobiety rozmawiały ze sobą i prawie żadnej uwagi nie zwracały na Hadrę, postępującą za niemi. Tylko ciotka, od czasu do czasu odwróciła się, by zobaczyć, czy dziewczynka idzie za niemi i rozmawiała dalej spokojnie.

W ten sposób kobiety przeszły już połowę drogi, gdy nagle Hadrze, jak błyskawica, przemknęła myśl, by uciekać. Zrozumiała, że, jeżeli kiedy, to teraz najodpowiedniejsza chwila do ucieczki, bo później może już nie nadarzy się taka sposobność. Nie myśląc wiele, poczęła zwalniać kroku. W ten sposób kobiety oddaliły się trochę od dziewczyny, która, przystanąwszy na chwilkę, z bijącem sercem, z rumieńcem na twarzy iskrzącym wzrokiem patrzała za niemi, czy która się nie obejrzy. Ale nie, Arabki bez oglądania się szły spokojne naprzód. Dziewczynka nie ociągała się już dłużej: w mgnieniu oka obróciła się i z chyżością strzały, jak zraniona sarenka, zaczęła uciekać, najprzód, w stronę źródła, a potem skierowała się w bok — spostrzegłszy daleko przed sobą większe krzaki, za którymi w dali przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca, widać było mały lasek, zarośnięty krzakami i drzewami oliwnemi.

Lasek ten wydał się Hadrze jedynym ratunkiem i zbawieniem. Biegła więc, co sił starczyło, skacząc, jak zając, przez krzaki i ciernie. Nie zważała, że bose nogi już w kilku miejscach były zranione, i krew ciekła, i że ostre ciernie krzaków szarpały jej odzież i raniły ciało. Dziewczynka uciekała, jakby na skrzydłach była niesiona, ledwie dotykając ziemi.

— Ach, Boże, dopomóż mi! — szeptała i uciekała.

Wreszcie zbiegła z pagórka, przeleciała małą przestrzeń, na której, oprócz suchej i spalonej trawy, nie rosły żadne krzewy — i wpadła między większe krzaki. Ledwie już dysząc ze zmęczenia, przystanęła, obejrzała się i spojrzała w stronę El Dany. Słońce już zaszło i mrok zapadał, o ile więc dojrzeć mogła, nigdzie ani ciotki, ani kobiet, ani żadnego człowieka nie było widać. To ją bardzo uspokoiło, więc zadyszana i bez życia prawie usiadła pod krzakiem na ziemi, postanawiając wypocząć trochę i opatrzeć poranione i pokrwawione nogi. Nie mając pod ręką ani chusteczki, ani żadnego płatka, udarła wązkie skrawki ze spodniczki i nimi obwiązała okaleczone palce i stopy u nóg.

Pogoń.

Odpocząwszy chwilę, Hadra ostrożnie podniosła się z ziemi i spojrzała w stronę El Dany. Dreszcz zimny przebiegł jej po całem ciele.

— Boże mój, gonią mnię! — szepnęła i natychmiast znów przysiadła na ziemi.

Rzeczywiście, od strony El Dany trzech mężczyzn na złamanie karku pędziło z góry na koniach

w stronę źródełka. Byli to Kadi, Izmael i Mulej. Właśnie wrócili z polowania i mieli zsiadać z koni, gdy przerażona ciotka Hadry dobiegła do mieszkania, wołając, że dziewczyna uciekła gdzieś w stronę źródła. Arabowie niezwłocznie ruszyli we wskazanym kierunku.

Wyjechawszy za osadę, przystanęli na chwilę i wszyscy trzej poczęli rozpatrywać się po okolicy, czy gdzie nie dojrzą uciekającej. Ale, na szczęście, Hadra w tej właśnie chwili, odpoczywała i opatrywała sobie nogi, a była dość daleko, by goniący mogli ją dojrzeć.

— Nigdzie jej nie widać, musiała się gdzieś schować pod krzakiem — ozwał się pierwszy Hadżi.

— Jedźmy, to może natkniemy na nią — odpowiedział Izmael. — Zbyt daleko nie mogła uciec. Spieszmy się, bo mrok zapada — dodał i ruszył naprzód, a za nim Kadi i Mulej.

I gdy oni szybko zjeżdżali w stronę źródełka, tymczasem Hadra skulona, dobywając ostatnich sił, przedzierała się między krzkami i biegła w kierunku czerniejącego przed nią lasu. Po kilku minutach biedne dziewczę podrapane, z poszarpaną prawie na strzępy odzieżą dotarło do zbawczego lasu i ukryło się w gęstwinie przed okiem prześladowców.

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego! Ratuj mnię, mój Jezu, przed nimi!—szepnęła drżącemi wargami i posunęła się, jak mogła najdalej pomiędzy leśne krzewy i upadła na ziemię.

Siłą ją opuściły zupełnie i kroku już dalej zrobić nie mogła.

Tymczasem goniący dojechali do źródła, a nie napotkawszy nigdzie dziewczynki, za poradą Muleja, rozdzielili się i pojedyńczo zaczęli jej szukać, głośno przy tem nawołując, by się ozwała, przyrzekając jej, że nic złego jej nie zrobią. Ale Hadra nie myślała odezwać się i zdradzić swojej kryjówki.

— Ona pewno uciekła do lasku! — zawołał wreszcie Mulej. — Jedźmy tam, a znajdziemy ją!

— Jedźmy! — odpowiedział Kadi i skierował konia ku lasu.

Jechali teraz razem i wolno, bo krzaki tamowały bieg koni. Jadąc, pilnie wypatrywali, czy gdzie pod krzakiem nie dojrzą ukrytej dziewczynki. Wreszcie dojechali do lasu i zapuścili się weń, głośno nawołując Hadry. Tak upłynęło blisko godzinę czasu, i noc ciemna, jak zwykle w tych okolicach, nagle zapadła i udaremniła dalsze poszukiwania. Chcąc, nie chcąc, Arabowie musieli zaniechać szukanie i musieli wrócić do domu. Jadąc z powrotem, tak bardzo zbliżyli się do krzaku, pod którym biedna Hadra się znajdowała, że dziewczynce ze strachu, by jej nie dostrzegli, ledwie serce w piersi nie zamarło. Ale konie przeszły spokojnie obok, i Hadra z ulgą odetchnęła. Nie przestraszyły ją nawet gniewne słowa brata:

— Ha, kości jej połamię za to, gdy ją jutro złapimy!

Nowe niebezpieczeństwo.

Długo, długo siedziała Hadra w swem ukryciu, bojąc się poruszyć, a nawet odetchnąć i tylko w głębi serca polecając się gorąco opiece Bożej. Oddawna już

ucichło echo kopyt końskich i głosów rozmawiających krewnych, a głęboka, niczem nie przerwana cisza zapanowała dokoła. Na niebie migotały gwiazdy i zdawały się mrugać przyjaźnie ku nieszczęśliwej sierotce, leżącej na ziemi.

Wiele dzieci obawiałoby się takiej samotności w pośród ciemnej nocy, ale odważna Hadra nie bała się. Wierzyła mocno w Opatrzność Bożą i była przekonana, że duch zmarłej matki czuwa też nad nią. Gdy więc wypoczęła zupełnie, i gdy była pewna, że prześladowcy jej dawno już muszą być w domu, nie zawahała się opuścić swego schronienia i dalej uciekać. Wiedziała, że z rana następnego dnia wszyscy mieszkańcy El Dany będą jej szukali, i jeżeli tu pozostanie, to napewno ją znajdą; postanowiła zatem uciec, jak można, najdalej od El Dany.

Powstała z ziemi i obejrzała się. Wszędzie ciemność i cisza panowały, w dali tylko błyszczało kilka małych światełek.

— Tam El Dana — pomyślało dziecko. — Muszę uciekać w tę stronę — szepnęła do siebie i wyszedłszy z lasku, skręciła na lewo. Obeszła las bokiem, a później skierowała się w prawą stronę i odważnie ruszyła przed siebie.

Z początku droga była trudna i ciężka, bo wszędzie pełno było krzaków, przez które Hadra musiała się przedzierać. Po półgodzinnej jednak wędrówce, krzaki się przerwały i przed oczyma dziewczęcia rozwarła się pagórkowata okolica pokryta z rzadka małymi krzaczkami i spaloną trawą. Hadra raz się jesz-

cze obejrzała w stronę El Dany, ale światełek już nie zobaczyła. To ją ucieszyło.

— Teraz już mnie nie złapią! — szepnęła sama do siebie i poczęła biedz.

Noc była chłodną, i Hadra, choć z bolącemi i poranionemi nogami, dość prędko biegła. Nadzieja, że przecie zdoła uciec i wrócić do Beniuby, dodawała jej nowych sił. Chwilami tylko odpoczywając, biegła nieustannie, to wdrapując się na małe wzgórza, to zbiegając z nich.

W ten sposób minęło już sporo czasu i dziewczynka daleko była od swoich prześladowców, ale też i siły jej coraz bardziej się wyczerpywały, i Hadra słabła coraz więcej. W końcu ogarnęło ją tak wielkie zmęczenie, że prawie kroku zrobić nie mogła. Ostatnim atoli wysiłkiem wdrapała się na jedno jeszcze wzgórze i usiadła, postanawiając tu sobie dłużej wypocząć.

Nie minęło wszakże nawet pięciu minut, jak dziewczynka usiadła na ziemi, gdy nagle wśród nocnej ciszy rozległo się jakieś przeciągłe, piskliwe szczekania. Hadra struchlała.

— Oh, co to jest? — szepnęła, dygocąc z przerażenia i poczęła nasłuchiwać.

Krótkie i piskliwe te szczekania słychać coraz bliżej i bliżej, Hadra z natężeniem wpatruje się w stronę, skąd dolatują te głosy, z każdą chwilą wyraźniejsze. Niebawem uszu jej doleciał przytłumiony tętent, i o kilkadziesiąt kroków pod wzgórzem, dojrzała mnóstwo małych, zielonkowato błyszczących i ruchomych punkcików, które szybko poczęły się zbliżać do niej.

Na ten widok zimny pot wystąpił na czoło dziewczęcia.

— Boże mój, to stado szakali! — wrzasnęła przeraźliwym głosem i zerwawszy się z ziemi w największym przestrachu i przerażeniu poczęła zbiegać ze wzgórza.

Istotnie, Hadra nie omyliła się: stado bowiem szakali zwietrzyło zdobycz i z głośnem wyciem puściło się za uciekającą i nieszczęśliwą dziewczynką. Rozpoczęła się straszna gonitwa.

Hadra z początku pędziła, jakby na skrzydłach była niesiona, a za nią chmara wstrętnych i krwiożerczych zwierząt ze skomleniem sadziła długimi skokami z wywieszonymi czerwonymi ozorami i z rozwartemi paszczami, gotowa każdej chwili rzucić się na swą ofiarę. Siły nieszczęśliwej już, już się wyczerpują. Jeszcze chwilkę, a szakale dościgną dziecko i na drobne kawałeczki rozszarpią. Już dziewczę zaczyna spostrzegać przed sobą prześcigające ją zwierzęta, widzi błyszczące i rozpalone ich ślepie, słyszy chrapliwy i przyśpieszony ich oddech. Po chwii dwoje zwierząt dotarło do Hadry, która uczuła na plecach gorący ich oddech; ogon jednego dotknął jej bosych nóg, drugi uchwycił zębami za sukienkę. W tej samej chwili ciszę nocną rozdarł przeraźliwy krzyk.

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego! Boże mój, ratuj mię!

I Hadra, potknąwszy się, jak długa runęła bez czucia na ziemię. Głucha cisza zapanowała na okół. Na niebie w tej chwili ukazał się srebrny księżyc i bladem światłem rozwidnił całą okolicę.

Spotkanie.

Zaledwie pierwsze promienie wschodzącego słońca ukazały się na niebie, gdy z leżących na ziemi dwóch ludzkich postaci jedna poruszyła się, dźwignęła, usiadła i przeżegnawszy się, spojrzał najprzód na leżącą obok drugą postać, potem rzuciła przelotnem wzrokiem po całej okolicy i raźno zerwała się na nogi.

Był to Wicuś, którego towarzysz Abda spał jeszcze.

Wicuś, stanąwszy na nogach, raz jeszcze spojrzał na śpiącego towarzysza i zawołał:

— Hej, śpiochu, wstawaj!

Na te słowa leżący na ziemi poruszył się, otworzył oczy, spojrzał na wołającego i, przeciągając się, odpowiedział:

— Spałbym jeszcze!

— Będziesz spał w południe. Teraz musimy ruszać w drogę. I tak już dużo czasu straciliśmy. Zepewniłeś, że znasz drogę do El Dany, a pokazało się, że nie wiele co wiesz o tej miejscowości. Nakołowaliśmy i nabłądziliśmy, jak zaginione owce. Szczęście, żeśmy spotkali wczoraj tę karawanę, bo kto wie, gdziebyśmy byli zaszli. Wstawaj, wstawaj i jazda w drogę.

Abda nic nie odpowiedział na tę wymówkę towarzysza, gdyż istotnie z jego to winy pobłądzili w drodze do El Dany. I długo byliby jeszcze może błądzili po nieznanej okolicy, gdyby ludzie ze spotkanej przypadkowo karawany nie byli im wskazali właściwej drogi.

— Cóż robić? — Koń ma cztery nogi, a też się potyka, dawno nie byłem w tej miejscowości, to i dro-

gę zapomniałem. Dziś jednak tam będziemy, to niedaleko. Masz wodę? Pić mi się chce!

— Masz, ale nie wypij wszystkiej, bo nie wiadomo, czy jakie źródło będzie na drodze — odpowiedział Wicuś i podał mały skórzany worek, do połowy napełniony wodą.

Abda napił się, potem wstał i Machometan obyczajem klęknął na ziemi, zwrócony twarzą na wschód słońca, modlił się. Wreszcie chłopcy posilili się i niebawem ruszyli w dalszą drogę ku El Danie.

Po godzinie drogi, nagle Abda zatrzymał się i wskazując ręką przed siebie, rzekł:

— Patrz, jakiś postrzelony Arab, czy kto inny pędzi na koniu, jak waryat. Czyby uciekał przed kim?

Istotnie, naprzeciw chłopcom, co koń wyskoczy, gnał jakiś jeździec. Kto to jednak mógł być, idący nie mogli rozpoznać, zbyt jeszcze daleko od nich się znajdował.

Lecz i on spostrzegł chłopców, bo w jednej chwili skierował konia ku nim.

— Do nas jedzie! — powiedział Wicuś. — Czego on chce?

— Zobaczymy! — odrzekł Abda.

Chłopcy stanęli. Jadący szybko się zbliżał i za chwilę stanął przed nimi i ściągnął tak raptownie rumaka, że ten, aż zarył się w ziemię zadnimi kopytami.

— Allah niech będzie pochwalony i niech wam da wszystko dobre! — rzekł jeździec.

Abda odpowiedział na powitanie, a spojrzawszy na niego, drgnął.

— Dawno już idziecie? — zapytał jeździec.

— Od wschodu słońca — odpowiedzieli obaj chłopcy.

— Nie spotkaliście na swej drodze jakiej dziewczyny? — pytał jeździec.

— Nikogośmy jeszcze nie spotkali, ani nie widzieli.

Jadący Arab nie pytał dalej, ale natychmiast spiął konia i ruszył galopem w dalszą drogę. Jadąc, co trochę oglądał się na około, jakby badał całą okolicę. Chłopcy patrzeli za nim, a gdy już był dość daleko od nich, Abda spojrzał na towarzysza i przyciszonym głosem, rzekł:

— Wiesz, kto to jest?

— Arab jakiś — odrzekł zagadnięty.

— To jest Mulej, brat Hadry!

— Kto?! — zawołał zdumiony Wicuś.

— Mulej, powiadam. Hadra, widać, uciekła im, i goni ją.

— Czy jesteś pewien, że to Mulej? — z niedowierzaniem zapytał Wicuś.

— Znam go przecież bardzo dobrze. Hadra im uciekła i szukają jej. Co teraz zrobimy?

Nastała chwila milczenia, którą wreszcie przerwał Wicuś, mówiąc:

— Jeżeli to prawda, że to był Mulej, jak powiadasz, to istotnie Hadra musiała im uciec. Dla nas to będzie nową biedą, bo nie wiadomo, gdzie jej szukać. Musimy iść do El Dany i tam ostrożnie wybadać, kiedy dziewczyna uciekła i w którą stronę, a potem pójdziemy za nią i może ją gdzie zdybiemy.

— Wiesz co? Ja myślę, że ona tej nocy, albo z wieczora uciekła i pewno w tę stronę, kiedy jej w tym kierunku szukają. Kto wie, czy tu gdzie nie ukrywa się. Chodźmy i uważajmy na okolicę, a może Allah da, że ją spotkamy.

Chłopcy spojrzeli raz jeszcze za jadącym Mulejem, który wnet zniknął im z oczu za wzgórzem, i śpiesznie ruszyli na przód. Niebawem wszedłszy na małe wzgórze i spojrzawszy na dół, chłopcy zatrzymali się, jak wryci.

— Widzisz? — szepnął Wicuś, i wskazał ręką na jakąś postać ludzkę, leżącą w małem zagłębieniu w ziemi, które zrobiła spadająca woda deszczowa z pagórka.

— Tak, to Hadra! — szepnął Abda.

— Czyby spała?

— Pewno!

— Chodźmy, zobaczymy! — powiedział Wicuś.

Chłopcy obejrzeli się ostrożnie po całej okolicy, czy niema gdzie jakich ludzi, a nie dojrzawszy ani żywej duszy, prędko zbiegli na dół i stanęli nad leżącą Hadrą.

— Boże mój! jak ona wygląda! Nogi poranione, sukienka poszarpana — szepnął Wicuś i spojrzał na towarzysza.

Obaj przez chwilę przyglądali się biednej dziewczynie, nie widząc czy żywa jeszcze, czy umarła.

— Hadro! Hadro! — szepnął łagodnym głosem Wicuś, nachylając się nad dziewczynką. — Hadro, obudź się!

Na ten głos ciało sierotki drgnęło, poczem powieki się otwarły, i dziewczynka przez chwilę, jakby nieprzytomna, spoglądała na chłopców. Lecz nagle krzyknęła przerażona, zerwała się prędko z ziemi i chciała uciekać. W tej samej jednak chwili Abda przytrzymał ją za rękę i szepnął uspokajającym i łagodnym głosem:

— Cicho, nie krzycz, Hadro! — Nie bój się nas!

— Hadro, czy mnie nie poznajesz? — zapytał Wicuś. — Myśmy z Beniuby przyszli po ciebie... Nie bój się!

Hadra, dygocąc ze strachu, spojrzała na mówiącego, i nagle oczy jej zabłysły niewymowną radością: w przebranym chłopcu poznała znajomego sobie Wicusia!

— Wicuś! — szepnęła, ale w tej samej chwili twarz jej powlokła się śmiertelną bladością, nogi się ugięły w kolanach i biedne, nieszczęśliwe dziewczę. osłabione i głodem i nocnemi przejściami, bezwładnie usunęło się na ziemię.

— Wody, daj prędko wody! — zawołał Wicuś do towarzysza i klęknął nad zemdlałą.

Abda co duchu zdjął z ramienia worek z wodą, odwiązał go i nachyliwszy się, począł lać wodę na ręce Wicusia, który nacierał nią skronie omdlałej dziewczynki.

Po krótkiej chwili omdlenia Hadra otworzyła oczy, a Abda przytknął jej do ust otwór worka.

— Pij! — szepnął.

Biedna dziewczynka piła z wielką chciwością.

— Dziękuję, powiedziała wreszcie słabym głosem — teraz mi lepiej.

I z wdzięcznością spojrzała na swych wybawców.

— Ja już nie spodziewałam się żadnej pomocy i tu chciałam już umrzeć...

— My cię oddawna szukamy — odpowiedział Wicuś.

— Zbłądziliśmy w drodze i dlatego tak późno przyszliśmy w okolicę El Dany — objaśnił Abda.

Hadra spojrzała bacznie na niego i uśmiechnęła się: poznała w nim grajka ulicznego.

— Dziękuję wam obu, żeście o mnie nie zapomnieli. Ja myślałam, że wszyscy zapomnieli o biednej sierocie...

— Nie, nie — żywo zaprzeczył Wicuś. — Nikt nie zapomniał o tobie, i wszyscyśmy się bardzo zmartwili, gdy cię Arabowie porwali, a już najwięcej martwi się pani Reynaud, ale też ucieszy się, gdy z tobą wrócimy do Beniuby.

— Byleśmy tylko zdołali uniknąć pogoni — zauważył Abda.

— Kiedyś uciekła? — zapytał Wicuś.

— Wczoraj wieczorem, gdym z ciotką poszła po wodę. Ach, Boże, co ja wyżyłam strachu! Szukali mnię i o mało nie najechali na mnię, gdym siedziała ukryta pod krzakiem, ale ciemno było, więc mnie nie dojrzeli. Potem uciekałam długo w nocy... Goniły mnię szakale i okropnie się bałam... Jeden już złapał mnię za sukienkę, zlękłam się bardzo, bo myślałam, że mnie już pożrą. Krzyknęłam i bez przytomności upadłam na ziemię. Gdym potem oprzytomniała.

tych brzydkich zwierząt nigdzie już nie było, widocznie przestraszyły się czegoś i uciekły. Chciałam iść dalej, ale nogi mnie bolały i tak byłam zmęczona, że ruszyć się z miejsca nie mogłam. Pomyślałam sobie, że pewno tu już umrę. Pić i jeść mi się też bardzo chciało. cały dzień prawie nie jadłam....

Na te słowa biednej sierotki chłopcy spojrzeli na siebie i na gwałt zaczęli rozwiązywać swe węzełki z zapasami spożywczymi.

— Masz, jedz! — rzekł Wicuś i podał dziewczynce kawał chleba, gdy zaś Abda położył przed nią ser owczy i kilka świeżych fig.

Hadra ze smakiem zaczęła jeść. Skończywszy posiłek, uczuła się znacznie silniejszą.

— Teraz już mogę pójść w dalszą drogę do Beniuby, do pani Reynaud — rzekła, i twarzyczka jej zapłonęła z radości.

Narady.

Chłopcy spojrzeli najprzód na poranione nogi dziewczynki, a potem na siebie. Wątpili, czy Hadra z tak bolącemi nogami będzie mogła zaraz puścić się w dalszą drogę.

— Czy cię bardzo bolą nogi? — zapytał Wicuś.

— Nie, nic, a nic mnie nie bolą. Nawet złamana ręka, widzicie, jest już zdrowa. Śmiało możemy iść dalej.

— Słuchajcie, co ja wam powiem — ozwał się Berber.

Dzieci spojrzały na Abdę, a ten tak mówił:

— Ja myślę, że teraz nie możemy uciekać wcale, a przynajmniej nie w kierunku Beniuby, to jest, w tę stronę, gdzie przed niedawnym czasem pojechał Mulej, bo mógłby nas spotkać, gdy będzie wracał.

— Czy widzieliście Muleja? — z trwogą zapytała Hadra i zbladła.

— Tak, spotkaliśmy go z rana. I dziwię się, że on cię tu leżącej nie zobaczył, niedaleko tędy jechał — odpowiedział Wicuś.

— Nie zobaczył jej, bo pędził, jak waryat, a ona spała. Mulej myślał, że ucieka, więc gonił ją — mówił Abda. — Ale idąc w tym samym kierunku, gdzie on pojechał, napewno nas spotka, więc w tamtę stronę nie możemy uciekać. Nie możemy też i tu pozostać, bo albo sam Mulej może tędy przejeżdżać, albo też mogą inni poszukujący Hadry tu nadejść, a wtenczas wszystkoby przepadło. Trzeba nam się ukryć gdzieindziej aż do nocy. W nocy dopiero pójdziemy dalej.

Istotnie, rada była bardzo roztropna i Wicuś natychmiast się na nią zgodził.

— Wejdź na pagórek i zobacz, czy niema gdzie jakich ludzi, ja zaś przez ten czas pozawiązuję nasze manatki i zaraz pójdziemy poszukać kryjówki — powiedział Wicuś i począł zawiązywać węzełki z zapasami i kubłak z resztą wody, gdy zaś Abda chyłkiem pobiegł na szczyt pagórka.

Dobiegając szczytu, położył się na ziemi i ostrożnie się czołgając, dopełzł do wierzchu i bystrym wzrokiem obejrzał całą okolicę, jak tylko daleko wzrok jego mógł sięgnąć. Pusto wszędzie było. W dali z bo-

ku spostrzegł tylko wysokie skały, pokryte krzewami i karłowatemi drzewami oliwkowemi.

— Tam pójdziemy — szepnął do siebie i obejrzawszy raz jeszcze całą okolicę, szybko zbiegł z pagórka do towarzyszy, którzy czekali na niego.

— Nie widziałeś kogo? — zapytał Wicuś.

— Ani żywej duszy, wszędzie pusto, ale za to znalazłem dobrą kryjówkę — odpowiedział Berber.

— Gdzie? — zapytał jego towarzysz, gdy Hadra utkwiła ciekawy wzrok w mówiącym.

— Tam, na prawo, widać wysokie zalesione skały, w nich się skryjemy.

— Daleko stąd?

— Z pół godziny drogi, może i nie tyle. Chodźmy, bo szkoda czasu!

Niebezpieczna przeprawa.

Dzieci, zabrawszy węzełki, ruszyły wąwozem w kierunku, który wskazał Abda. Z początku Hadra, mimo poprzedniego zapewnienia, że może iść dalej, z wielkim trudem postępowała, ale powoli siły jej wracały i po kwadransie drogi szła już dobrze.

Było to prawdziwem szczęściem dla idących, gdyż nagle wąwóz się skończył i przed uciekającymi rozwarła się dość szeroka i pusta dolina, na końcu której dopiero, widać było skały, porośnięte drzewami i krzakami. Dzieci więc koniecznie musiały przejść tę dolinę, jeżeli chciały dostać się do upatrzonej kryjówki.

Była to jednak bardzo niebezpieczna przeprawa, gdyż na nieosłonionej żadnymi krzewami płaszczyźnie zbiegowie z łatwością mogli być dostrzeżeni z okolicznych pagórków.

— Byle nas nikt teraz nie zobaczył, to w tych skałach będziemy bezpieczni — ozwał się Wicuś.

— Allah jest wielki! — odpowiedział Abda. — Zresztą, choćby też i ujrzeli nas, to mogą się nie spostrzedz, że to Hadra ucieka. Jest nas troje, a oni myślą, że Hadra jest tylko sama jedna; gdyby więc nawet dojrzeli nas, to będą myśleli, że to zupełnie inni ludzie.

— I to prawda! — przywtórzył Wicuś, ale po chwili dodał z bojaźnią: — A nuż zaczną nas gonić, aby się od nas dowiedzieć, czyśmy nie widzieli Hadry, jak to zrobił Mulej rano?

— W takim razie będziemy musieli uciekać, bo innej rady nie będzie. Na razie jednak nie potrzebujemy się obawiać, bo nigdzie żadnych ludzi nie widać, a skały już przed nami.

Zaledwie Abda dokończył ostatnie słowo, gdy dzieci nagle dojrzały jeźdzca na jednym z bocznych pagórków. Zjawił on się tak niespodzianie, że zdało się, jakby z ziemi wyrósł.

— Mulej wraca! — szepnął Abda. — Ciekawym, czy nas widzi?

— Pewno, bo stanął i patrzy ku nam — odszepnął Wicuś, spozierając ukośnie ku stojącemu na wzgórzu Mulejowi, gdyż on to był istotnie.

Hadra też spojrzała i struchlała. Co będzie teraz jeżeli ją pozna?... Czy zdołają dobiedz do skał i u-

kryć się w nich bezpiecznie, zanim on ich dogoni?... Takie myśli przebiegały błyskawicą przez głowe biednej dzieweczki, a zimny pot począł występować na skronie.

— Nie oglądajcie się! — przestrzegł Abda. — Chodźmy, jak przedtem i udajmy, że go nie spostrzegliśmy. Gdybyśmy teraz uciekali, wzbudzilibyśmy podejrzenie, a tak może sobie pojedzie dalej. Skały blisko!...

Mali zbiegowie z zapartym oddechem, z duszą na ramieniu od strachu po woli zmierzali ku skałom, oddalonym o kilkaset kroków.

Mulej widział ich doskonale, nie przypuszczał jednakże, by między nimi była uciekająca Hadra. Odległość bowiem, która ich dzieliła zbyt była duża, aby mógł poznać siostrę, zresztą był mocno przekonany, że Hadra musi być sama jedna, a tam wyraźnie przecie widzi troje ludzi. To też, po krótkiej chwili przystanku, stępą ruszył przed siebie.

Spostrzegłszy to dzieci, i westchnienie ulgi wydarło się z trzech piersi.

— Dzięki Bogu, nie poznał nas! — szepnął pierwszy Wicuś i z zadowoleniem spojrzał na Hadrę i na Abdę.

W kryjówce.

Tym czasem uciekający zapuszczali się co raz dalej wśród skały i pokrywające je gęste krzaki jałowcowe, szukając odpowiedniego miejsca do ukrycia się przed okiem prześladowców Hadry. Nagle idący na

przodzie Wicuś stanął i, wskazując sterczące o kilkanaście kroków urwisko skalne, powiedział:

— To będzie doskonałą kryjówką. Ze skały będziemy mieli widok na całą okolicę, i gdyby kto nadchodził, ujrzymy go z daleka i będziemy mogli albo uciec dalej, albo się gdzieindziej schować. Chodźmy na skałę!

Rzeczywiście, lepszego i dogodniejszego do obserwacyi miejsca dzieci nie mogły znaleźć. Ujrzawszy z jednego boku choć dość stromą, ale przystępną drogę, dzieci zaraz poczęły jedno za drugiem wdrapywać się na prostopadle przed niemi sterczącą skałę. Po kilku minutach zbiegowie znaleźli się na szczycie skały i swobodnie odetchnęli.

Teraz już nie obawiali się Arabów. Kryjówka była doskonała, i mogli w niej siedzieć, jak długo im się podobało. W jednem bowiem miejscu znaleźli dość obszerną grotę, która na wypadek deszczu wybornie mogła im służyć za schronienie, gdy zaś obok niej rosnące drzewo oliwne i dęby korkowe dawały im cień i doskonale zabezpieczały przed gorącymi promieniami słońca. Obejrzawszy to wszystko, dzieci niezmiernie się ucieszyły, i gdy Wicuś z Hadrą rozkładali swe manatki pod drzewami, Abda z ciekawością poszedł na brzeg skały, a wyszukawszy takie miejsce, gdzieby go kamienie zasłoniły, jak mur, ostrożnie spojrzał na dolinę, którą tylko co przebyli i na której tyle strachu doznali.

Skała górowała ponad wszystkie okoliczne wzgórza i wskutek tego można z niej było widzieć nawet najmniejszy przedmiot bardzo daleko, bo górskie czyste powietrze wybornie ku temu sprzyjało.

— Idealne miejsce — ozwał się po chwili do Wicusia i Hadry. — Patrzcie — mówił — cała okolica jakby na dłoni; żeby nie tamte wysokie pagórki, to nawet widzielibyśmy El Danę, a w niej ze złości gryzącego brodę wuja Hadry.

Na te słowa Abdy, Hadra i Wicuś zbliżyli się do niego i też zaczęli się rozglądać po okolicy.

— O, Mulej! Widzicie! — rzekła nagle Hadra i wskazała ręką, gdzie na dalekim od nich wzgórzu znów ukazał się Mulej i niebawem zjechał z niego i zniknął im z oczu.

— Szczęśliwej drogi, panie Muleju! — zażartował Wicuś.

— W każdy razie wolałbym, żeby sobie raz już pojechał do domu i nie kręcił się po tych wzgórzach, jak wilk koło stada owiec. — Może mu nawet przyjść ochota złożyć nam wizytę, takich zaś odwiedzin wcale sobie nie życzymy i nie pragniemy ich, czy nie?

— Rozumie się! Wcale go tu nie pragniemy — odpowiedziała Hadra i zaraz dodała: — A cobyśmy zrobili, gdyby tu przyjechał?

— O, nic, damy drapaka i basta! — odpowiedział Wicuś. — Zresztą, zanimby, on do nas dojechał, to my przedtem dziesięć razy potrafimy uciec i dlatego, zamiast tu piec się na słońcu, chodźmy do cienia. Wystarczy nam, gdy od czasu do czasu przejrzymy stąd okolicę. Jak spostrzeżemy niebezpieczeństwo, to będziemy uciekali.

Dzieci uspokoiły się zupełnie i wróciły na swe miejsca pod drzewami. Przez chwilę panowało między niemi milczenie, które przerwał Wicuś, mówiąc:

—Teraz przedewszystkiem musimy pomyśleć, co nam dalej robić należy: gdzie i jak uciekać.

— Przecie nie gdzieindziej, tylko do Beniuby musimy uciekać — odpowiedziała Hadra i zdziwionym wzrokiem powiodła po chłopcach.

Chłopcy rozśmiali się.

— Rozumie się, że do Beniuby musimy uciekać, a nie gdzieindziej — odpowiedział Abda. — Chodzi nam tylko o drogę, bo tą samą drogą, którąś przyjechała, nie możemy wracać.

— A dlaczego nie? — zapytała znów dziewczynka.

— Bo Izmael złapałby nas. Jestem bowiem pewny że gdy cię dziś do wieczora krewni twoi nie znajdą, wuj zaraz jutro wyjedzie z El Dany do swych namiotów. Oni wszyscy będą myśleli, że przed nimi uciekasz, i szeik będzie rozpytywał ludzi po drodze. Gdybyśmy szli przed nim, wnetby nas dogonił i pochwycił, bo jedzie na wielbłądach, a my musimy na własnych nogach drałować. Dlatego więc nie możemy wracać tą samą drogą, tylko zupełnie inną.

— A czy znasz ją? — zapytał Wicuś.

— Znać — nie znam, ale od czego mamy języki? Będziemy pytali!

— Byleśmy znów tylko nie pobłądzili!... — zauważył Wicuś, a po chwili tak mówił dalej: — Ostatecznie, nie potrzebujemy zbyt daleko odchodzić od właściwej drogi, będziemy się pilnowali tylko, by się nie spotkać z szeikiem. A nawet możemy go puścić naprzód, może mu się spieszy, to niech jedzie pierwszy?

— Może i tak być — zgodził się Abda.

— Będzie to nawet i lepiej dla nas, bo łatwiej nam

przyjdzie dostać żywności od ludzi, ta bowiem, co jeszcze mamy, nie na długo nam wystarczy.

Tu chłopiec zastanowił się chwilkę, poczem, jakby mu przyszła ważna myśl do głowy, spojrzał na Berbera i na Hadrę i rzekł:

— Zostańcie tutaj, a ja pójdę zwiedzić tę górę.

To powiedziawszy, podniósł się z ziemi i żwawo zapuścił się między krzewy i drzewa, znikając niebawem z oczu patrzącym za nim towarzyszom. Nie minęło atoli nawet kwadrans czasu, gdy znów prawie nagle zjawił się przed Hadrą i małym Berberem. Z rozpromienionej jego twarzy dzieci natychmiast poznały, że znalazł coś niezwykłego. Jakóż nie myliły się, bo chłopiec stanąwszy przed nimi z wesołą miną rzekł:

— Zgadnijcie, co znalazłem, albo odkryłem?

— Muła, wielbłąda, albo szakala! — zażartował Abda.

— Ani muła, ani wielbłąda, ani żadnego czworonożnego bydlęcia, choć każde z nich, z wyjątkiem tylko szakala, bardzoby nam się przydało. Wiecie, co znalazłem?... Źródło i figi!

— Na prawdę? — zawołały dzieci.

— A jakże! Kolumb odkrył Amerykę, a ja wodę i figi, co w danym wypadku dla nas tak samo jest ważnem odkryciem, jak dla Kolumba Ameryka. Chodźcie, to niedaleko stąd!

To odkrycie chłopca niezmiernie ucieszyło wszystkich. Weseli i rozbawieni, co żywo pobiegli do odnalezionego źródełka. Nie było ono zbyt daleko, więc niebawem dzieci znalazły się przy niem. Czyściutka, jak kryształ i chłodna woda sączyła się z pod skały, porośniętej mchami i paprociami; w pobliżu zaś rosło

kilka dzikich fig, których owoce prawie były już dojrzałe. Na gałęziach drzew siedziały ptaszki i wesoło ćwierkały. Ustronie to bardzo miłe i przyjemne zrobiło wrażenie na dzieciach.

Zaraz też napiły się wody, a dziewczynka umyła sobie twarz i poranione nogi; częściowa ta kąpiel nadzwyczaj ją orzeźwiła i wzmocniła. To samo potem zrobili i chłopcy. Wreszcie dzieci zerwały kilka fig i wróciły na poprzednie swe miejsce, ponieważ stamtąd mogły obserwować całą okolicę, gdy zaś bawiąc przy źródełku, nie mogłyby tego czynić, leżało ono bowiem znacznie niżej i zasłonięte było skałami i drzewami.

Skoro wróciły, Wicuś natychmiast podbiegł do skały i przejrzał okolicę, ciekawy, czy gdzie nie zobaczy Arabów, poszukujących zbiegłej dziewczynki. Pusto jednak wszędzie było i naokół, gdzie tylko wzrokiem mógł sięgnąć, nie dojrzał nietylko człowieka, ale żadnego zwierzęcia. Uspokojony zupełnie, wrócił do Hadry i Abdy, siedzących pod drzewami, i dzieci poczęły rozmawiać, opowiadając sobie wzajemnie przygody, których doznały.

Tak minęło sporo czasu i nastawała gorąca pora dnia; głucha cisza zapanowała w lesie, gdyż i ptaszki poukrywały się pod gęstymi liśćmi i zaprzestały swego ćwierkania, a nawet brzęczące owady pozaszywały się przed gorącymi promieniami słońca w mchy i pod kamienie. Tylko tu i owdzie na rozpalonych skałach wygrzewały się zielone i różnokolorowe, mieniące się w słońce jaszczurki i za lada szmerem zwinnie i z błyskawiczną szybkością znikające między kamieniami i mchem.

Ogólna ta cisza i spokój w przyrodzie podziałały też i na dzieci, które coraz częściej przerywały rozmowę i milkły zupełnie, jakby je znużenie opanowywało.

— Wiecie, co wam powiem? — ozwał się po dłuższem milczeniu Wicuś.

Dziewczynka i drugi chłopiec spojrzeli na niego pytającym wzrokiem.

— Prześpijmy się teraz — mówił dalej. — W nocy będziemy musieli iść w dalszą drogę, trzeba nam więc dobrze wypocząć. Śpijcie wy teraz oboje, a ja będę czuwał, żeby nas niespodzianie kto nie naszedł, dobrze?

— Mnie się nie chce spać — odrzekła dziewczynka.

— I mnie też nie! — dodał Abda.

— W każdym razie ty, Hadro, musisz dobrze wypocząć. Połóż się więc i staraj się zasnąć. Obudzimy cię potem — zachęcał Wicuś.

Dziewczynka nie upierała się dłużej; ułożywszy się wygodnie pod drzewem, zamknęła oczy i, choć przed chwilką zapewniała, że jej się nie chce spać, wnet twardo zasnęła. Chłopcy zaś cicho szeptali ze sobą i od czasu do czasu, któryś z nich podbiegał ku skale i przeglądał okolice.

Tak minęło kilka godzin czasu. Dziewczynka wciąż spała.

— Śpi, biedactwo, jak zabite! — szepnął ze współczuciem Wicuś, wskazując wzrokiem na leżącą pod drzewem Hadrę.

— Dzielna i odważna z niej dziewczyna! Doskonale się spisała... Wiesz, że chciałbym teraz widzieć minę starego szeika. Ze złości chyba sobie brodę wyrwie — śmiał się Abda.

— Że tam się Arabowie złoszczą, to rzecz pewna, bo im dziewczynka doskonałego figla spłatała. Dziś miało być jej wesele, stary szeik myślał, że zarobi na niej, a tu figa z makiem!

— Ten dopiero musi zgrzytać zębami!

— A, niech sobie zgrzyta, a my tymczasem spokojnie pójdziemy do Beniuby.

— Ja myślę, Wicusiu, że trzeba nam się już gotować do drogi. Patrz, słońce nad górami, za jakie trzy godziny zajdzie i będzie ciemno. Zostań tu, a ja pójdę narwać trochę fig, które nam się mogą przydać w drodze. Zapasów mamy mało, a odnowić ich w El Danie nie możemy, jak zamierzaliśmy.

To powiedziawszy, Abda powstał, odwiązał z siebie długi szal, którym był przepasany i odszedł w kierunku źródełka. Po półgodziny wrócił i na ziemi złożył owinięte w szalu figi. W tej samej chwili przebudziła się też dziewczynka i przecierając oczy, usiadła na ziemi.

— Wyspałaś się? — zagadnął Wicuś.

— Doskonale! Dawno tak spokojnie nie spałam, jak teraz — odrzekła, a patrząc na swych małych opiekunów, zapytała:

— Prędko pójdziemy?

— Niedługo — odrzekł Wicuś.

— Najprzód musimy choć trochę zjeść — dodał Abda.

— Masz racyę! — przywtórzył towarzysz jego.

— A ja najprzód pobiegnę do źródełka, bo mi się pić chce — odezwała się dziewczynka i, powstawszy z ziemi, skierowała się ku wodzie, skąd przed chwilą wrócił mały Berber z figami.

— A nie boisz się iść sama? — zawołali za nią chłopcy.

— O, czego się mam bać?—odpowiedziała dziewczynka i żwawo pobiegła przed siebie.

Przygoda z okularnikiem.

Nie upłynęło jednak ani kilka minut, gdy do uszu chłopców doleciał nagle przeraźliwy i rozpaczliwy krzyk, który na chwilę zmroził im krew w żyłach.

— Co to znaczy?!... Co jej się stało?! — zawołali razem i zerwawszy się z ziemi pędem pobiegli za dziewczynką.

Niebawem, na połowie prawie drogi do źródełka, ujrzeli stojącą i jakby skamieniałą ze strachu Hadrę.

— Co ci się stało? — zapytali.

— Korba, korba! — wyszeptała dziewczynka zbielałemi ustami.

Chłopcy spojrzeli przed siebie i o kilkanaście stóp od dziewczęcia ujrzeli do połowy prawie podniesionego z łukowato wygiętą i nadętą szyją okularnika, jednego z najjadowitszych gadów na ziemi, którego ukąszenie powoduje rychłą i straszną śmierć.

Widocznie gad, których pełno w całej Afryce, w ciągu dnia wygrzewał się gdzieś w pobliżu na słońcu, a teraz, gdy już cień począł zapadać, wracał do swej kryjówki, i na drodze spotkała go dziewczynka. Spotkanie to musiało bardzo rozgniewać węża, syczał bowiem i chwiał łbem, wodząc roziskrzonym wzrokiem za każdem poruszeniem się dzieci.

Chłopcy też przez chwilę stali przestraszeni, nie mając bowiem nawet małego kija w ręku, nie śmieli

zbliżyć się do okularnika i nie wiedzieli, co robić. Oprzytomniawszy z pierwszego strachu, jakby natchnieni jedną myślą, nagle razem schylili się i, porwawszy po kamieniu, zamierzyli się cisnąć nimi w gadzinę. W tej samej atoli chwili, wąż, jakby odgadł ich zamiary i, uprzedzając je, trysnął na nich z paszczy dwa cieniutkie strumyki białej jadowitej cieczy. Był to więc wąż z gatunku plujących, które napastowane przez wroga, podnoszą się i wypuszczają nań jadowitą swą ciecz. Tego rodzaju węże nazwano plującymi, są one bardzo niebezpieczne, a jad ich może dosięgnąć człowieka nawet do dziesięciu stóp oddalonego od gadziny. Wyrzucając jad, węże tak kierują paszczą, by strumienie oblały twarz, a zwłaszcza oczy napastnika. W ten sam sposób postąpił i okularnik, spotkany przez Hadrę. Szczęściem jednak, odległość była za duża, i jad nie dosięgnął dziewczynki, a zanim wąż mógł wypuścić jad po raz drugi, celnie rzucone kamienie przez obu chłopców ugodziły go w łeb. Gad zachwiał się, upadł na ziemię i począł szybko uciekać. Nie zdążył jednak schować się, gdyż w tej samej chwili jeden z chłopców porwał olbrzymi kamień i z taką siłą cisnął go na węża, że długie cielsko gadziny w samym środku najzupełniej zostało zmiażdżone. Poczem obaj chłopcy dotłukli wijącego się gada.

Załatwiwszy się tym sposobem z tak niebezpiecznym wrogiem i ochłonąwszy ze strachu, razem już wszyscy troje poszli do źródełka, bacząc pilnie, by znów nie najść na drugiego okularnika.

Nowe niebezpieczeństwo.

Powróciwszy na skałę, mali zbiegowie zabrali się do posiłku. Przygoda z wężem, która im tyle strachu napędziła, teraz zaczęła ich bawić, i żartowali sobie, powiadając, że korba chciała zjeść Hadrę. Dziewczynka jednak na prawdę była bardzo wdzięczną obu chłopcom i szczerze podziwiała ich odwagę.

— Teraz już niczego się nie boję, bo mnię obronicie — mówiła do nich, a zaufanie to dziewczynki bardzo pochlebiało chłopcom.

— Byle nas tylko wszystkich jaka korba nie zażarła, ale będziemy się bronili — odpowiedzieli obaj, a mały Berber dodał:

— Na wszelki wypadek trzeba nam się przynajmniej w kije zaopatrzyć.

— To prawda, kij nam się przyda — potwierdził Wicuś i wstawszy z ziemi, począł się rozglądać, gdzieby mógł użnąć nożem odpowiednie kije.

Atoli małe, karłowate krzaki wcale się na to nie nadawały. Nie pozostało nic innego, tylko wdrapać się na drzewo i tam użnąć cieńsze gałęzie, co też niebawem Wicuś uczynił. Załatwił się już z dwiema, które Abda zaraz obżynał z gałązek, i zabierał się do trzeciej dla Hadry, gdy nagle, spojrzawszy z drzewa na okolicę, drgnął i zbladł.

— Około dwudziestu jakichś ludzi jedzie na koniach w tę stronę, szepnął z góry. Zdaje mi się, że to Arabowie, nie mogę dobrze dojrzeć, bo gałęzie i liście mi zasłaniają — dodał.

— Gdzie? — zapytał Abda.

I nie czekając na odpowiedź, skoczył ku skale i z za kamienia wyjrzał na okolicę. Rzeczywiście, w tem

samem miejscu, gdzie rano spotkali dziewczynkę, teraz zobaczył kilku konnych Arabów, gdy inni zaś, szeroko rozstawieni wolno jechali ku skałom. Z zachowania się jadących Abda w jednej chwili wywnioskował, że to są Arabowie, szukający zbiegłej dziewczynki. Odwrócił się więc ku towarzyszom i stłumionym głosem powiedział:

— Tak, to Arabowie, Hadry szukają!

I znów odwrócił się, ale to właśnie musiało zwrócić uwagę jednego z Arabów, który sam jechał na przodzie i był najbliżej do skał i kryjówki dzieci. Abda bowiem, patrząc teraz, zauważył, że odosobniony ten jeździec nagle zatrzymał konia, prędko zdjął długą swą strzelbę z ramienia i wycelował ja ku skałom. Za chwilkę oczom jego ukazał się siwy obłoczek dymu, a po kilku sekundach słabe echo strzału odbiło się o skały i doleciało do uszu dzieci.

Arabowie, widać było, zatrzymali się chwilkę, poczem galopem podjechali wszyscy ku strzelającemu i niebawem, co koń wyskoczy, pędzili ku skałom.

— Abdo! kubłak do ręki i biegnij do źródełka, napełnij worek wodą i zaczekaj na nas. Zaraz tam będziemy. Niema chwili do stracenia. Arabowie za kwadrans najdalej już tu będą, musimy uciekać i ukryć się gdzieindziej! — zawołał przytłumionym głosem Wicuś.

Nie skończył jeszcze ostatnich słów, gdy mały Berber zniknął w krzakach z workiem, pędząc ile sił w nogach, ku źródełku. Tymczasem Wicuś na gwałt począł z Hadrą zbierać ich węzełki i wnet potem oboje uciekali za towarzyszem. Zanim dobiegli do źródła, Berber już napełnił worek wodą, więc bez straty czasu pobiegli dalej we troje.

Po kilku minutach nagle stanęli nad długim i o stromych a skalistych brzegach wąwozem, z drugiej strony, którego rozpoczynało się inne wzgórze, porośnięte zaledwie tu i owdzie małymi krzewami, a dalej znów sterczały nagie skały, za którymi widać dopiero było większe drzewa i gąszcze. Na przebieżenie atoli tej przestrzeni nie mogli się odważyć, gdyż łatwo mogli być dostrzeżeni przez goniących Arabów. To też biegnący na przodzie Wicuś w jednej chwili zrozumiał grożące niebezpieczeństwo i, zamiast spuścić się do wąwozu, skręcił w bok, a ubiegłszy jeszcze kilkanaście kroków, raptem stanął i schował się w krzakach, to samo zrobili biegnący za nim Hadra i Abda.

— Tu się musimy ukryć, bo dalej niebezpiecznie uciekać. Może nas nie znajdą — szepnął.

— Oby to Bóg dał! — westchnęła dziewczynka i w duchu zaczęła się gorąco modlić.

Poszukiwania.

Tymczasem Arabowie dojechali pod skałę, i kilku z nich z Mulejem na czele, natychmiast wjechało na górę, zaś inni pozostali na dole.

— Zdało ci się tylko, Muleju, żeś tu widział człowieka — ozwał się jeden z tych, co z Mulejem wjechali do góry.

— Mam dobry wzrok i nie mylę się. Między tymi skałami widziałem ruszającą się głowę — odpowiedział szorstko, a po chwili z radością w głosie zawołał.

— Że się nie omyliłem, to patrzcie!

Tu Mulej z tryumfem i z zadowoleniem wskazał na jakiś przedmiot leżący na ziemi pod jednem z drzew.

Towarzyszący Mulejowi Arabowie spojrzeli na ziemię i ku niemałego swemu zdumieniu zobaczyli nóż Abdy, który w pośpiechu, zamiast do kieszeni, rzucił go na ziemię, czego Wicuś, ani Hadra wcale nie zauważyli.

— No, cóż?... Teraz wierzycie, że tu ktoś był?.. — z ironią w głosie zapytał Mulej, a wskazując świeże sęki na drzewie i obeżnięte gałązki na ziemi, dodał: — A te gałęzie, czy same się odeżnęły?...

Obecni w milczeniu przez długą chwilę przypatrywali się tym śladom, których dzieci nie miały już czasu zatrzeć. Wreszcie jeden z nich rzekł:

— Że tu ktoś był przed nami, to rzecz jasna, ale nie była to Hadra.

— Dlaczego nie mogła to być Hadra? — zapytał Mulej.

— Bo, najprzód, takiego noża wcale nie miała, a potem, nie właziłaby na drzewo. Najpewniej siedzieli tu owi trzej chłopcy, których z rana widział Mulej, jak sam o tem mówił. Głupstwo tylko zrobił, że nie podjechał do nich i nie przekonał się, co to za jedni byli. Siedzieli tu, widać, cały dzień, a gdy Mulej strzelił, zlękli się i uciekli. Dlatego nie traćmy próżno czasu, bo w tę stronę dziewczyna nie mogła uciekać. Jestem pewien, że uciekła tą samą drogą, którą ją przywieźli do El Dany, bo gdzieżby mogła uciekać?...

— To byłbym ją spotkał rano — szorstko odpowiedział Mulej.

— Że jej nie spotkałeś, to wcale nie dowodzi, żeby tamtędy nie uciekała — odrzekł pierwszy głos i zaraz dodał: — Mogła się gdzie przyczaić, i minąłeś.

— To prawda! — przywtórzyli inni.

— Nie chcę się z wami spierać, ale kiedy tu już jesteśmy, to przeszukajmy te skały — ozwał się Mulej.

— Owszem, możemy przeszukać, choć będzie to próżna strata czasu — niechętnie odpowiedzieli Arabowie i zaczęli jeździć między skałami.

Kilku z nich zwróciło się ku wodzie. Jadąc, natrafili na zabitego przez chłopców węża.

— Patrzcie, korbę zatłukli! — z podziwieniem zawołał jeden.

— Rzeczywiście, zatłukli gadzinę! — odpowiedzieli inni, przypatrując się rozmiażdżonemu cielsku węża.

— To właśnie dowód, że tu Hadra nie była, tylko owi trzej chłopcy. — Wracajmy! — zawołali naraz wszyscy i w tej chwili zawrócili konie i zjechali do reszty Arabów, czekających pod skałą. Gdy się oba oddziały połączyły, Arabowie postali jeszcze chwilkę pod skałami i wreszcie wolno odjechali w kierunku skąd przybyli.

Mali zbiegowie byli ocaleni! Arabowie bowiem, po nieudałem całodziennem poszukiwaniu Hadry, stracili już wszelką nadzieję odnalezienia dziewczynki i posępni w milczeniu wracali do domu.

Na zwiady.

Tymczasem mali zbiegowie, ukryci w krzakach. cichutko, jak wystraszone myszy, siedzieli, nie śmiejąc prawie oddychać. Tylko w duchu modlili się, by ich Arabowie nie znaleźli. W ten sposób minęła godzina czasu i słońce bardzo się już zniżyło ku zachodowi

Wreszcie Abda na brzuchu przyczołgał się z pod swego krzaka do Wicusia i szepnął:

— Nie słychać wcale, by tu gdzie byli, może już odjechali?

— Nie wiadomo. Może nas szukają w innej stronie — odszepnął Wicuś.

— Ja zobaczę.

— Nie waż się wychylać z pod krzaka! — prędko szepnął Wicuś i dodał: — Zaczekajmy jeszcze trochę.

Dzieci znów przycichły i tylko uszy nadstawiały, czy gdzie nie posłyszą stąpań kopyt końskich i nie usłyszą głosu rozmawiających Arabów, ale uszu ich nie doleciał żaden podejrzany głos, wszędzie panował spokój. Więc berber znów się ozwał:

— Ja myślę, że oni odjechali. Trzeba nam się przekonać.

I nie czekając odpowiedzi, na czworakach zaczął się po woli i bardzo ostrożnie posuwać ku górze

— Bądź ostrożny! — przestrzegł Wicuś.

— Nie bój się! — odszepnął chłopiec i skradał się co raz dalej między krzakami, starając się jak najmniej robić szmeru i nie poruszać gałązkami krzaków, co mogłoby łatwo zwrócić uwagę szukających, jeżeliby gdzie w blizkości się znajdowali.

Podniósłszy głowę, spostrzegł niedaleko przed sobą kilka wielkich głazów i zaraz się w tę stronę skierował. Niebawem doczołgał się do nich, poczem wyciągnął się jak długi, starając się ukryć głowę za jednym z większych kamieni i przez chwilę uważnie nasłuchiwał. Gdy się przekonał, że niema nikogo w pobliżu, nieznacznie zaczął się podnosić na łokciach i w końcu ostrożnie wyjrzał z poza kamienia. Bystrym

wzrokiem spojrzał przed siebie, potem na boki, ale, oprócz krzaków i drzew, nic więcej nie ujrzał. Bał się jednak stanąć na nogi, więc postanowił lepiej jeszcze zbadać miejscowość, i jak poprzednio, ostrożnie i cichutko znów posunął się naprzód o kilkanaście kroków. Przyczaiwszy się zaś pod krzakiem, najprzód ostrożnie ukląkł i obejrzał się na około, a gdy nikogo nie zobaczył, dopiero ośmielony powstał na nogi i pilnie rozglądał na wszystkie strony.. O ile jednak krzaki i drzewa pozwalały zbadać najbliższą miejscowość, nigdzie nawet śladu bytności Arabów nie dostrzegł.

— Pewno już odjechali — pomyślał sobie i posuwając się ostrożnie między krzakami, śmielej już szedł ku temu miejscu, gdzie się przez cały dzień ukrywali.

Wreszcie doszedł tam i ku niezmiernej swej radości spostrzegł, że nikogo niema. Obejrzał się raz jeszcze naokoło i podbiegł do skały, by z niej przejrzeć okolicę.

— Allah jest wielki! — szepnął do siebie. — Pojechali!

Rzeczywiście, na ostatnim wzgórzu horyzontu, Abda dojrzał gromadę jeźdźców. Nie mylił się, byli to szukający Hadry Arabowie. Chłopiec stał za skałą i patrzał na nich, dopóki mu nie zniknęli z oczu, wtenczas raz jeszcze westchnął do Allaha i szybko zawrócił z powrotem do Wicusia i Hadry.

— Hej! gdzie jesteście? — zawołał, nie mogąc nigdzie dojrzeć ukrywających się towarzyszy.

Na to wołanie o kilkanaście kroków z boku od nie-

go ostrożnie wychylił się Wicuś i przyciszonym głosem ozwał się:

— Tu jesteśmy! A gdzie Arabowie?

— Ho, ho, już ich niema! Pojechali nazad, nawet nie pożegnali się z nami! — wesoło odpowiedział Berber.

— Widziałeś?

— Tak!

— Dzięki Bogu! Teraz możemy iść.

W tej samej chwili podniosła się i Hadra.

— Na prawdę odjechali? — zapytała.

— Na jak najprawdziwszą prawdę odjechali i, jak powiadam, nawet się nie pożegnali z nami. Konie ich grzeczniejsze, bo przynajmniej ogonami nam na pożegnanie pokiwały — śmiał się Abda.

— Teraz się śmiejesz, ale przed godziną było trochę inaczej — odpowiedział Wicuś.

— Cóż, przed godziną było zupełnie inaczej, a teraz znów inaczej, żeby zaś nie zdarzyło nam się jeszcze inaczej, to ruszajmy w drogę, bo słońce zachodzi.

— Jazda w drogę! — wesoło przywtórzyli Wicuś i Hadra.

A niebawem troje zbiegów, zabrawszy swoje węzełki, ruszyło w dalszą drogę, kierując się z początku zachodzącem słońcem, a potem wielką Niedźwiedzicą, której siedm gwiazd jasno błyszczało przed nimi na północnej stronie nieba.

Zabłąkani.

Dzieci z początku raźno podążały na przód, mało co rozmawiając ze sobą, gdyż nie chciały się męczyć, tem bardziej, że droga nie była zbyt łatwą, gdyż pa-

górkowata okolica zmuszała je co trochę wdzierać się na pagórki i schodzić z nich jedynie na to, by znów wdzierać się na inne. Gęste krzaki i kamienisty grunt też wielce utrudniały drogę, szczególniej Hadrze, która szła boso i miała już poprzednio poranione nogi. Chłopcy atoli zaradzili temu, jak mogli. Wicuś odpasał swój szal, i, odciąwszy dwa spore kawałki, owinął nimi stopy Hadry, wskutek czego dziewczynka łatwiej już mogła iść: ostre kamienie nie raniły już stóp. Wreszcie z ostatnimi promieniami zachodzącego słońca dzieci wyszły na obszerną równinę, zarośniętą tylko wysoką alfą, tu i owdzie przeciętą małymi pagórkami. Na brzegu tej równiny usiadły na chwilkę dla wypoczynku i wnet potem ruszyły dalej.

Noc, jak zwykle w tych okolicach, nastąpiła prędko po zachodzie słońca, a z nią chłód przyjemny, który znacznie orzeźwił idących. W krótce potem wypłynął na niebo jasny księżyc i bladem swem światłem oblał całą dolinę. Dzieci szły długo, wreszcie zmęczenie ogarnęło Hadrę, więc postanowiły zatrzymać się i dłużej odpocząć.

Usiadłszy na ziemi, chłopcy rozwinęli i dobyli swe zapasy i wszyscy się zaczęli posilać. Długi wypoczynek i posiłek znów im wróciły siły i mali wędrowcy niebawem puścili się w dalszą drogę. Szli teraz bardzo długo, aż w końcu zupełnie już wyczerpani zatrzymali się i postanowili nie iść już dalej tej nocy.

— Hadra z ledwością już idzie, trzeba nam się zatrzymać — ozwał się Wicuś.

— I mnie też nogi bolą — odpowiedział Berber.

— Dlaczego więc mamy się męczyć zbytecznie?... Pościgu nie potrzebujemy się obawiać. Zatrzymajmy się, prześpijmy się, a potem pójdziemy dalej — mówił Wicuś i spojrzawszy na Hadrę, która, korzystając z chwilowego zatrzymania się, zaraz usiadła na ziemi, zapytał:

— Czy bardzo jesteś zmęczona?

— O, już nóg prawie nie czuję — odpowiedziała zagadnięta i smutnie spojrzała na owinięte szelem stopy. — Ale pójdę dalej, tylko odpocznijmy trochę — dodała.

— Nie, teraz już dalej nie pójdziemy, tu przeczekamy do rana.

To powiedziawszy, Wicuś zdjął węzełek z ramienia i usiadł obok Hadry, a za nim to samo zrobił Abda. Dzieci przez chwilę rozmawiały ze sobą, poczem położyły się na ziemi i ani się spostrzegły, jak smacznie i twardo zasnęły.

Słońce już było wysoko na niebie, gdy ze śpiących pierwszy otworzył oczy mały Berber. Spałby i on dłużej jeszcze, ale obudziły go gorące promienie słoneczne i muchy. Abda skoczył na nogi i obejrzawszy się po pustej okolicy, zbudził towarzyszy.

— To już dzień!? — ozwała się zdziwiona Hadra, patrząc rozespanemi oczyma na swych towarzyszów.

— Nietylko dzień, ale ja myślę, że już południe blisko, a wy, śpiochy, śpicie i śpicie, jak zabici! — mówił, żartując Abda.

— O, myślałby kto, że z ciebie to bardzo ranny ptaszek. Ręczę, że tylko co sam się przebudziłeś, a teraz chwalisz się, jakbyś całą noc nie spał — odpowiedział Wicuś i też skoczył na równe nogi.

Niebawem mali podróżnicy zrobili ranną tualetę, odmówili pacierze i zasiedli, do posiłku.

— Gdy tu pozostaniemy, to nas słońce upiecze — mówił Wicuś, jedząc.

— Pieczeń się nam przyda — odpowiedział Abda i rozśmiał się.

— A gdzie chcesz pójść? — zapytała dziewczynka.

— Patrzcie, tam na lewo trochę widać duży las, pójdziemy do niego i w cieniu przeczekamy gorączkę. Zresztą w tę stronę i tak nam iść wypada, więc z drogi nie będzie.

— Masz słuszność, przywtórzył Abda i dodał: — Wody już prawie nie mamy, a tam może gdzie będzie znów jakie źródełko.

— Dobrze, chodźmy do lasu! — zgodzili się Wicuś i Hadra.

Posiliwszy się, dzieci zebrały resztę zapasów i poszły w stronę lasu. Po pół godzinnej drodze weszły w cień pierwszych drzew i zapuściły się cokolwiek dalej od brzegu.

Las przeważnie zarośnięty był starymi dębami korkowymi, z których kory wyrabiają powszechnie znane korki. Między dębami rosły tu i owdzie dzikie oliwki i różne krzewy. Ponieważ dzieci nigdzie nie zauważyły obdartych z kory pni, więc wywnioskowały, że najprawdopodobnie w okolicy tej nie mieszkają ludzie. Wyszukawszy odpowiednie miejsce, rozłożyły się na dłuższy wypoczynek. Tylko Berber zaraz poszedł na poszukiwanie wody, której im już zaczynało brakować.

Minęło jednak sporo czasu, zanim chłopiec wrócił z wiadomością, że znalazł maleński strumyczek.

Dzieci natychmiast opuściły dotychczasowe miejsce i poszły do strumyka, gdzie też cały dzień już przesiedziały. W ciągu dnia chłopcom udało się znaleść kilka drzew świętojańskich, których świeże i mięsiste a soczyste owoce smakowały im przewybornie. Narwali ich też, ile tylko mogli, zabezpieczając się tym sposobem od głodu, gdyby następnego dnia nie spotkali żadnej osady ludzkiej, gdzieby mogli dostać pożywienia. Wreszcie, gdy już największa gorączka dnia przeszła, dzieci znów puściły się w dalszą drogę.

Szły one teraz wolno i od czasu do czasu odpoczywały, bo choć słońce nisko już było na niebie, jednak gorączka była jeszcze wielka. Okolica była bardzo ładna, ale nie zamieszkała, idący pocieszali się, że może przynajmniej pod wieczór spotkają jaką wioskę berberską, albo szałasy pasterskie, ale słońce zaszło, a na okół nie mogli dojrzeć żadnego mieszkania ludzkiego. To ich trochę zaniepokoiło.

— Czyśmy nie zabłądzili? — zapytał nagle Wicuś.

— Przyznam się, że tej okolicy wcale nie znam — odpowiedział Berber.

Czekaj, musimy rozważyć, w którym kierunku powinnaby się znajdować Beniuba i w którym powinniśmy iść.

Tu Wicuś spojrzał na niebo i po chwili ozwał się:

—Tam jest zachód, więc tu będzie północ. Idąc do El Dany, szliśmy w kierunku południowo zachodnim, teraz zaś z El Dany szliśmy na północ, zatem trzeba nam się skierować na wschód więcej, bo inaczej Bóg wie, gdzie możemy zajść.

Przygoda Abdy.

Dzieci ruszyły w kierunku, obranym przez Wicusia. Po niedługim atoli czasie równina skończyła się i znów rozpoczęła się pagórkowata i gęsto zalesiona okolica. Droga stawała się co raz trudniejszą i uciążliwszą, tem więcej, że księżyc jeszcze nie świecił, a w ciemności trudno było rozeznać czyto kamienie i głazy, czyto cierniste krzaczki, o które idący ustawicznie się potykali.

Nagle idący trochę z boku Abda zawołał:

— Chodźcie tu, — wielka polanka, krzaków na niej nie widać. Łatwiej nam będzie iść.

I nie czekając, aż Hadra z Wicusiem przyłączą się do niego, sam ruszył naprzód, i w tej samej chwili wydał przeraźliwy, pełen najwyższej grozy okrzyk.

Hadra i Wicuś struchleli, nie mogąc pojąć, co się ich towarzyszowi stało. Oprzytomniawszy, prędko pobiegli w kierunku, skąd ich krzyk doleciał. Lecz w tej samej chwili Abda zawołał spokojnym głosem:

— Stójcie!

— Co ci się stało? Gdzieś jest? — zawołali razem Wicuś i Hadra.

— Tu, tu jestem — odpowiedział Berber. — Ale tu nie chodźcie!

Hadra i Wicuś wytrzeszczyli oczy i o kilka kroków dojrzeli ciemną postać towarzysza, do pasa zapadłego w trawę, jak im się zdało, i z trudem gramolącego się ku nim.

— Co to? trawa taka wysoka? — zdziwiony zapytał Wicuś.

— Nie, to solne błota!

— Błota?!

— Tak, jest ich dużo w górach. Na wiosnę bywają słonemi jeziorami, potem woda wysycha, robi się błoto, które porasta trawą, a takie dwunożne barany, jak ja, myślą, że to polanka. Mało brakło, a byłbym wam tylko palcem pokiwał na pożegnanie!... — żartował Berber ze swej przygody, wreszcie wygramolił się i zabłocony stanął przed towarzyszami.

Dzieci po tym wypadku puściły się w dalszą drogę. Lżej im już było iść, bo księżyc pokazał się na niebie, a że była pełnia, więc jasno świecił.

Po kwadransie drogi napotkali podobne drugie błoto, ale, nauczeni doświadczeniem Abdy, nie weszli na nie, lecz poczęli je bokiem obchodzić. Zabrało im to dużo czasu i bardzo ich zmęczyło, tak, że w końcu musieli zaniechać dalszej drogi, bo nogi wcale już nieść ich nie chciały. Wyszukawszy tedy odpowiednie i dość wysokie miejsce na brzegu wyschniętego jeziora, rozłożyli się na nocny wypoczynek.

Bez wody.

Ze wschodem następnego dnia, po szczupłym posiłku, zbiegowie puścili się w dalszą drogę. Gdzieby właściwie byli, sami już nie wiedzieli, starali się tylko iść na wschód, gdyż słusznie przypuszczali, że, w ten sposób idąc, muszą wreszcie przyjść w okolice znane Abdzie z wędrówek jego z dziadkiem. Po godzinie drogi ujrzeli przed sobą olbrzymią płaszczyznę falistą, porośniętą suchą trawą. Jak oczy ich sięgnęły, widać tylko było płową równinę, bez drzew i bez życia. Dopiero daleko na wschodzie majaczyły góry, pokryte roślinnością i lasami.

Krajobraz był bardzo smutny i wielce przygnębiające wrażenie uczynił na małych zbiegach. Nie było jednak innej rady, i musieli przejść tę równinę. Wody już nie mieli wcale w kubłaku, podobnie szczupłe Wicusia i Abdy zapasy, których nie mogli w El Danie odnowić i powiększyć, tego rana już im się wyczerpały. Mieli tylko jeszcze kilkanaście strączków świętojańskiego owocu i te postanowili zachować na później. Więc dzieci bez długiego namysłu śpiesznym krokiem puściły się przed siebie, zmierzając ku wschodniemu krańcowi obszernej tej równiny. Podróż atoli wskutek wzmagającego się upału stawała się coraz trudniejszą. Pot rzęsisty zaczął oblewać ich skronie, a pragnienie paliło im gardła i usta. Aby przynajmniej w części ugasić to pragnienie, każde z dzieci wzięło do ust po strączku świętojańskiego owocu i ssało go. Pomogło to na chwilę, ale pragnienia nie mogło zaspokoić, w końcu i ssanie owoców nie wiele pomagało, bo suche i rozpalone, jak w piecu powietrze, wypiło z nich wszystką wilgoć i owoce zupełnie powiędły i pokurczyły się.

Mali zbiegowie coraz częściej przystawali dla odpoczynku, aż w końcu, gdy już słońce przychodziło ku południowi, Hadra pierwsza stanęła i spieczonemi od gorączki wargami wyszeptała:

— Dalej już nie mogę iść! Oh, gdyby choć kropelkę wody!

I padła na ziemię.

Chłopcy stanęli bezradni.

— Masz jeszcze strączek, orzeźwi cię choć troszeczkę — rzekł Wicuś i podał dziewczynce owoc.

Przyjęła go z wdzięcznością, a choć zwiędły, jednak przyniósł jej ulgę.

— Ile owoców masz jeszcze? — zapytał Abda.

— Kilka jeszcze — odrzekł zapytany.

Chłopcy spojrzeli na siebie przeciągłym wzrokiem. Zrozumieli się bez mowy i obaj postanowili zachować owoce dla Hadry. Postanowienie to było czynem prawdziwie bohaterskim.

— A wy nie chcecie owoców ssać? — zapytała Hadra.

— Jeszcze się obejdziemy — odpowiedzieli obaj i usiadłszy na ziemi, poczęli wyrywać suchą trawę i ssać jej korzenie.

Atoli zaraz po pierwszej próbie z niechęcią odrzucili od siebie wyrwaną trawę.

— Suche? — zapytała Hadra.

— Nie, ale słone!

— Słone?! — zdziwiła się dziewczynka.

— Tak, jałowa ta ziemia wydaje tu tylko słoną trawę, która jest wielkim przysmakiem dla owiec, ale nie dla ludzi — powiedział Abda. — Są to pastwiska, na które spędzają swe stada pasterze, i dziwię się, że tu nigdzie ani tych zwierząt, ani ludzi zobaczyć nie możemy.

Słowa te małego Berbera zwróciły uwagę Wicusia.

— I ja — powiedział — słyszałem o tych pastwiskach, gdyż pasione na nich owce dostarczają bardzo delikatnego mięsa. Myślę, też, że gdzieś tu musimy wreszcie spotkać pasterzy. Chodźmy tylko dalej!

Nadzieja wstąpiła w serca dzieci, i znów poczęły iść.

Słońce piekło, ale dzieci wytrwale, choć wolno posuwały się ciągle na przód. Hadra nieustannie trzymała strączek w ustach i tem się orzeźwiała. Nagle wyciągnęła przed siebie rękę i rzekła:

— Patrzcie, patrzcie, woda!

Chłopcy spojrzeli w kierunku ręki dziewczynki i rzeczywiście w dali przed sobą ujrzeli coś błyszczącego w słońcu, co podobne było do małego stawu, ukrytego wśród trawy.

Wszyscy przyśpieszyli kroku. Jakież jednak było ich rozczarowanie, gdy doszedłszy do tego miejsca, zamiast wody, znaleźli obszerne wyschnięte jeziorko, na którego dnie osadziła się dość gruba warstwa soli!

Zawiedzeni, wolnym krokiem powędrowali dalej, wlokąc się prawie ostatnim wysiłkiem woli i sił. Upał nieznośny i pragnienie wyczerpywały z każdą chwilą ich siły. Pocieszali się tylko tem, że wreszcie przejdą tę nieszczęśliwą równinę ze słoną trawą i ze słonemi jeziorami. Jakoż kończyła się widać, bo grunt stawał się coraz bardziej falistym, a tu i owdzie rosły krzaki i głogi, których zdala przedtem nie mogli dostrzedz. Lecz i dzień też miał się już ku końcowi, a nogi wprost odmawiały im posłuszeństwa.

W końcu, po godzinie takich wysiłków, doszli do wschodniego krańca nieszczęśliwej tej równiny, gdzie rozpoczynało się nowe pasmo gór, których stoki pokryte były lasami i zielenią.

— Tam musi być woda — szepnął słabym głosem Wicuś.

Ale Hadra nie miała już siły do dalszej drogi. Wyczerpana zupełnie, bezwładnie usunęła się na ziemię i jakby w gorączce zaczęła szeptać:

— Ja tu już umrę!

— Masz jeszcze strączek! — ozwał się Wicuś.

— Dziękuję, nie wiele pomoga. — Mdły jest!

Chłopcy ze współczuciem spojrzeli na biedną sierotkę i na prawdę zlękli się, że tu im może umrzeć.

— Abda! masz do wyboru: albo zostać tu przy niej, albo pójść szukać wody, póki noc nie nastanie! Co chcesz? — ozwał się Wicuś.

— Jeżeli chcesz, pójdę poszukiwać wody.

— Dobrze, masz, weź do ust strączek i śpiesz się bo słońce zachodzi!

Abda, jak przystało na dzielnego chłopca, choć zmęczony i ledwie nogami powłócząc, zdobył się na energię i ruszył ku najbliższemu wzgórzu, zarośniętemu lasem. Tam spodziewał się znajść wodę.

Niespodziewana pomoc.

Słońce już dawno zaszło, mrok się robił, a chłopca nie było widać z powrotem. Wicuś i Hadra zwątpili, żeby znalazł wodę. Szczęściem, że od gór powiał wiatr chłodny, i powietrze, znacznie się ochłodziło, a to przyniosło ulgę spragnionym dzieciom.

— Weź Hadro jeszcze ten strączek i trzymaj go w ustach, zawsze ci to choć trochę odwilży usta — cichym głosem mówił Wicuś, bo sam miał język suchy, jak drewno.

— Dobrze, wezmę, ale tylko połowę strączka, a ty weźmiesz drugą. — Ja widziałam, że wyście obaj od południa nie zjedli ani jednego owocu — zostawialiście umyślnie dla mnie... Na to ja się nie mogę zgodzić. Jeżeli weźmiesz jedną połowę, to ja wezmę drugą.

Wicuś nie zdążył już odpowiedzieć, bo w tej samej chwili wśród ciszy nocnej rozległ się wesoły głos Berbera.

— Hop, hopa, hop! Gdzie wy, ćmy nocne, siedzicie?

Wicuś skoczył na równe nogi.

— Tutaj jesteśmy! Masz wodę? — zawołał.

— Fiu! będziecie się mogli kąpać nawet! — odpowiedział głos z dala.

— Oh, dzięki Bogu! — ze łzami w oczach szepnęła Hadra i też powstała.

Po krótkiej chwili przed dziećmi o kilkanaście kroków wśród ciemności zamajaczyła mała postać Berbera.

— Myśmy myśleli, że nie znajdziesz wody — powiedział głośno Wicuś.

— I mało brakło do tego, ale Allah jest wielki i nie na to dopomógł nam odnaleść Hadrę i uciec od starego szejka, żebyśmy tu z głodu i z pragnienia umarli. Jest woda! Masz, Hadro, pij, ile tylko chcesz — powiedział Abda i podał dziewczynie kubłak.

Hadra przytknęła otwór worka do ust i poczęła pić. Po chwili podała kubłak Wicusiowi.

— Aaa! — westchnął ostatni, odjąwszy go od ust. — To prawdziwy nektar! Napij się jeszcze, Hadro!

— Napij się i umyj sobie twarz — dodał Abda. — Wody nam już nie zabraknie!

— Gdzie ona jest? — zapytał Wicuś.

— Jakie dwie mile stąd.

— Jak trafiłeś do niej.

— Wcale nie byłbym trafił, bo zaczęło się ściemniać i już z niczem chciałem do was wrócić, gdy nagle zawiał wiatr, i poczułem dym. Gdzie dym, tam musi być ogień i muszą być ludzie. Zacząłem się oglądać, no, i niedaleko dojrzałem siwe obłoczki dymu,

wydobywającego się z zarośli. Skoczyłem zaraz, jak strzała, w tę stronę i znalazłem ognisko, a przy niem około dziesięciu wieśniaków berberskich, wiozących do El Arisza drzewo, korę korkową i różne inne rzeczy. Zapytałem się, czy nie mają wody. Zaraz wskazali mi źródło, które tuż przy ognisku się znajduje. Gdy się napiłem i nabrałem wody, zaczęli mnię pytać skąd i dokąd idę. Powiedziałem, że idzie nas troje do Beniuby, aleśmy od dwóch dni pobłądzili i nie mamy ani żywności, ani wody. Chłopom żal nas się zrobiło, a że akurat piekli barana na wieczerzę, więc kazali mi trochę poczekać, aż upieką. Poczekałem więc. A teraz macie tu świeże mięso, chleb, figi i kawał sera, który nam wystarczy na cały tydzień.

Hadra i Wicuś słuchali tego opowiadania, jakby jakiej bajki z „Tysiąca i jednej nocy". Prawie uszom swym wierzyć nie chcieli. Dziękowali też serdecznie Bogu, że im tak niespodzianą zesłał pomoc i wszyscy troje zabrali się do posiłku, jakiego od dawna już nie mieli. W czasie jedzenia Abda opowiadał rozmowę z Berberami i w końcu rzekł:

— Zachęcali mnię, by wam powiedzieć, żebyśmy razem z nimi jechali do ElArisza, skąd już do Beniuby będzie tylko ze czterdzieści mil, a stąd ma być bardzo daleko, bośmy za daleko na północ się posunęli. Ruszają, skoro księżyc wzejdzie, bo w dzień z powodu gorąca nie jadą. Powiedziałem, że wam o tem powiem, ale nie mogę zaręczyć, czy będziecie chcieli jeszcze dziś wyruszyć w dalszą drogę, bośmy wszyscy bardzo zmęczeni. Na to mi odpowiedzieli, że w dzień się wyśpicie. Cóż, pojedziemy z nimi? Są to wszyscy mahometanie, więc musiałbyś i ty, Wicusiu, udawać mahometanina.

— W takim razie wolę sam choćby cały rok podróżować. Jestem katolikiem! — odpowiedział poważnie Wicuś.

— Ja też to sobie zaraz pomyślałem, że na udawanie nie przystaniesz. I wiesz, szczerze ci powiem, że zmartwiłbym się, gdybyś inaczej był postąpił.

—Niech sobie jadą, a my pójdziemy tak, jak i dotąd — sami. Chyba żebyś...

— Nie zawracaj głowy — przerwał prędko Abda. — Wyszliśmy razem z Beniuby, przyjdziemy do niej razem obaj i z Hadrą w dodatku. Berbery niech sobie jadą, a my jutro ruszymy za nimi tą samą drogą do ElArisza, a stamtąd do Beniuby. Tamte okolice dobrze znam. A idąc od strony ElArisza, przyjdziemy do Beniuby zupełnie z przeciwnej strony, niż wyjeżdżaliśmy z niej. W ten sposób unikniemy wszelkiej możliwości spotkania się z Izmaelem.

— To bardzo mądra rada — odpowiedział Wicuś.

Dzieci rozmawiały jeszcze pewien czas, ale wkrótce rozmowa ich zaczęła się rwać, i niebawem, pomęczone, jedno po drugiem twardo zasnęły.

Nowy towarzysz.

Następnego dnia, jeszcze przed wschodem słońca mali podróżnicy opuścili dotychczasowe miejsce, na którem noc przespali i pospieszyli w kierunku źródła, skąd wieczorem Abda dostarczył im wody. Berberów już nie zastali, gdyż w nocy odjechali do ElArisza.

Przy źródełku dzieci zatrzymały się tylko tyle czasu, ile im było potrzeba na umycie się i na zjedzenie skromnego śniadania, poczem napełniły kubłak wo-

dą i raźnie ruszyły w dalszą drogę ku El Arisza. Szły teraz bez obawy zabłądzenia, a, że poranek był śliczny i chłodny, a droga wygodna, więc się nie męczyły. Dopiero, gdy słońce wzbiło się już dość wysoko, i upał począł się wzmagać, mali wędrowcy usiedli przy drodze, w cieniu napotkanych drzew i tu postanowili dłużej wypocząć i przeczekać najgorętszą porę dnia.

Było blisko już południa, gdy nagle Abda zerwał się z ziemi i, wskazując ręką ku zachodowi, powiedział:

— Patrzcie, koń, czy muł sam idzie ku nam!

Dzieci powstały z ziemi i spojrzały w stronę, gdzie pokazywał chłopiec.

— Rzeczywiście, coś tam idzie — potwierdził Wicuś.

— To nie koń, ani nie muł! To osioł! — rzekła Hadra i zaraz dodała: — Ma jakiś pakunek na sobie.

Chłopcy wytężyli wzrok.

— Tak, ma coś na grzbiecie! — powiedzieli obaj.

Nagle Wicuś, który bacznie śledził idące zwierzę, gdy osioł skręcił trochę w bok, zawołał ździwionym głosem:

— Patrzcie-no dobrze! Bo mnie się zdaje, że osioł nie niesie żadnego pakunku, ale człowieka, leżącego na jego grzbiecie!

Nastała chwila milczenia, którą przerwał pierwszy Abda.

— Na prawdę, to coś jakby człowiek leżał na ośle.

— Osioł skręca w bok! Biegnijmy zobaczyć! — zawołał Wicuś i skoczył w kierunku idącego zwierzęcia, a za nim biegli Hadra i Abda.

Wtem osioł stanął i począł patrzeć na biegnące ku niemu dzieci.

— Rzeczywiście, to człowiek i przywiązany jest do osła!... Nie rusza się! — wołał podnieconym głosem Wicuś, który pierwszy dobiegł do stojącego zwierzęcia.

W tej samej chwili przybiegli Hadra i Abda i oczom ich przedstawił się straszny widok: na ośle z twarzą okrwawioną i nabrzękłą leżał jakiś człowiek. Nogi i ręce miał omotane powrozami i przywiązane do osła.

Dzieci przerażone i zdumione tem okrucieństwem ani słowa wyrzec przez chwilę nie mogły. Nieme patrzały to na skrępowanego człowieka, to na siebie. Wreszcie ochłonąwszy, poczęły co duchu rozwiązywać węzły, by z nich uwolnić nieszczęśliwego. Wicuś, widząc, że rozwiązanie węzłów zbyt wiele im czasu zabierze, prędko wyciągnął swój nóż i w jednej chwili poprzecinał powrozy, którymi nieznajomy był skrępowany. Prawie równocześnie z tem dzieci usłyszały przyciszony i głuchy jęk i dostrzegły lekkie poruszenie spieczonych i napuchniętych warg.

— Żyje jeszcze! — krzyknęły jednogłośnie.

— Wody mu trzeba dać! — zawołał Wicuś.

Chłopcy dźwignęli nieznajomego i przytrzymując go w siedzącej postawie, szli obok osła, którego prowadziła Hadra.

Gdy przyszli na swe miejsce, natychmiast zdjęli nieznajomego z osła, położyli go na trawie z cokolwiek podniesioną głową, i Hadra, odwiązawszy kubłak z wodą, puściła kilka kropel na spieczone wargi. Nieznajomy usiłował niemi poruszyć, bo dolna szczęka zaczęła drgać, jakby chciał otworzyć usta, ale widać zbyt był osłabiony, aby to mógł zrobić. Wtenczas Wi-

cuś ujął go pod pachy i dźwignął trochę, Abda zaś otworzył mu zaciśnięte kurczowo szczęki i między zęby wsadził trzonek noża, by ich napowrót nie zamknął. Gdy to chłopcy zrobili, Hadra zaczęła po kropelce wpuszczać wodę do ust. W ten sposób zwilżyła spieczony i suchy język, poczem wlała troszkę więcej wody. Nieznajomy usiłował ją połknąć, ale zakrztusił się i woda wypłynęła z ust. Hadra znów to samo powtórzyła, tym razem z lepszym skutkiem, gdyż ratowany połknął wlaną wodę.

— Połknął! Daj mu jeszcze! — powiedział Berber.

Hadra znów ostrożnie wlała troszkę wody do ust. Nieprzytomny człowiek odrazu ją połknął i rozwarł usta.

— Daj mu teraz się napić — rzekł Wicuś.

Hadra poczęła ostrożnie lać wodę do ust nieznajomemu, który ją bez najmniejszego trudu połykał.

— No, będzie miał dosyć na teraz — ozwał się Wicuś i położył nieznajomego na ziemi.

Ten zaś zaczął ruszać ustami i mlaskać językiem, jakby jeszcze pragnął więcej tego ożywczego płynu. Poczem otworzył oczy, westchnął głęboko. Opuchnięte jednak powieki znów się same zawarły.

Teraz dzieci obmyły twarz i szyję odratowanemu człowiekowi. To widocznie bardzo mu pomogło, gdyż po chwili otworzył oczy i słabym głosem wyszeptał:

— Wody jeszcze! wody!

Hadra przytknęła mu do ust otwór skórzanego worka, a nieznajomy długo pił. Wreszcie przymknął oczy, odwrócił trochę głowę, i gdy Hadra usunęła worek od ust, szepnął:

— Dosyć!

Dzieci teraz usiadły przy wyratowanym i przez długą chwilę siedziały milczące, nie mogąc zrozumieć, coby miał znaczyć ten wypadek z nieznajomym człowiekiem przywiązanym w tak nieludzki sposób do osła.

Ale i osioł też musiał być spragnionym, bo w tej chwili podszedł do dzieci i zaczął obwąchiwać worek z wodą.

— I temu się chce pić! — powiedziała Hadra.

— Widać — odpowiedział Wicuś. — Lecz jak go tu napoić? — dodał, spoglądając pytającym wzrokiem na towarzyszy.

— To łatwo! — odrzekł Berber.

I zdjął z głowy filcową swą czapkę, a nadstawiwszy ją przed Hadrą, powiedział:

— Lej!

— Wyleci z niej woda! — zaśmiała się dziewczynka.

— Wyleci, ale do gardła tego czworonoga. — Lej śmiało!

Hadra nalała pełną czapkę wody, i chłopiec podstawił ją pod pysk osła, który jednym haustem wypił ją w mgnieniu oka i, jakby z prośbą o więcej, spojrzał na dziewczynkę.

— Chciałbyś więcej? — zaśmiała się.

Osioł kiwnął łbym i pożądliwy wzrok utkwił w worku.

— Czy dać mu jeszcze? — zapytała dziewczynka, patrząc na towarzyszy.

— Ile nam pozostało wody? — zapytał Wicuś.

— Prawie pół worka — odrzekła i pokazała chłopcom.

— A, daj mu jeszcze! — rzekli obaj.

Dziewczynka znów napełniła czapkę i Abda podsunął ją osłowi, który podobnie, jak i za pierwszą razą jednym długiem pociągnięciem wysączył ją co do kropelki i znów patrzał na Hadrę, czy nie naleje mu więcej. Ale tym razem nie dostał już więcej, bo dzieci obawiały się, żeby i im samym i wyratowanemu człowiekowi nie zabrakło.

— Na teraz musi ci wystarczyć, coś dostał, a jak znajdziemy wodę, to się uraczysz, ile zechcesz — powiedział Abda i machnął osłowi czapką przed nosem.

Rozwiązana zagadka.

Dzieci, zajęte pojeniem osła, nie zwracały uwagi na leżącego obok nich nieznajomego, który otwarł oczy i przyglądał się scenie pojenia swego zwierzęcia. Oprzytomniał już zupełnie i usiłował się nawet podnieść i usiąść, ale zesztywniałe od długiego związania członki i całe ciało odmówiły mu posłuszeństwa, więc poruszył się tylko i rzekł już silniejszym głosem:

— Proszę, dajcie mi jeszcze trochę wody, jeżeli ją macie.

Hadra w mgnieniu oka podała mu kubłak, który usiłował sam uchwycić i przytrzymać rękami, ale za słaby był na to, więc dziewczynka go przytrzymała.

— Dziękuję! — teraz mam dosyć! — rzekł nieznajomy.

— Jak się czujecie? boli was co? — zapytała Hadra.

— Dziękuję, mam się teraz bardzo dobrze, głowa i twarz mnię trochę bolą... Ale to przejdzie... Toście wy mnie uratowali?

— Ano, niby — odpowiedziały dzieci.

— Niech wam Bóg wynagrodzi. Ja myślałem, że już umrę na tem zwierzęciu.

— A kto wam tę krzywdę zrobił?

— Kto?... Jechaliśmy z El Arisza do Ben Akbuzara i napadli nas zbóje, Taurogi. Ograbili nas, towarzyszy trzech zamordowali, a mnie pobili i do osła przywiązali, myśląc, że umrę na nim. Ale zwierzę, znajome drogi, szło samo z powrotem do El Arisza. Trzeci dzień już mija od tego strasznego wypadku, i gdyby nie wy, pewno bylibyśmy z osłem zginęli z głodu i z pragnienia. Szczególniej ja, bo już straciłem przytomność zupełnie.

Dzieci z przerażeniem słuchały tego opowiadania. W duchu dziękowały Bogu, że w drodze nie spotkały strasznych, na pół dzikich tych rozbójników, dla których zamordować człowieka jest prostą igraszką. Jeden tylko Abda dziwnym jakimś wzrokiem spoglądał na wyratowanego przez nich człowieka. Po chwili, gdy nieznajomy przestał mówić i zdawało się, jakoby zasypiał, Abda powstał ze swego miejsca, kiwnął na drugiego chłopca, a odprowadziwszy go o kilka kroków dalej, rzekł:

— Wiesz ty, kto to jest?

— Kto? — Człowiek!

— To jest Żyd! Zdaje mi się, że go widziałem już w El Arisza, gdyśmy tam byli z moim dziadkiem. On ma wielki skład i prowadzi duży handel z Francuzami.... Tak, to on jest.

— No, to co?

— No, jest Żydem! Lepiej, żeby to był kto inny.

— Bój się Boga, Abda! Więc ty chciałbyś, żeby ten nieszczęśliwy był zginął z pragnienia i z głodu?!

— Ależ nie! — żywo zaprzeczył chłopiec. — Tylko, że to Żyd!

— Żyd też jest człowiekiem i bliźnim naszym.

Abda, jako muzułmanin, przyzwyczajony do pogardzania żydami, nie mógł zrozumieć, żeby można kochać Żydów, których prawowierni wyznawcy proroka zaledwie tolerują i nawet zbliżać się im do studni nie pozwalają, gdy sami piją z niej wodę. Nie chcąc atoli wszczynać sprzeczki z towarzyszem, nie odezwał się już więcej, i obaj wrócili do leżącego obok Hadry człowieka.

Spał on teraz, i dzieci, żeby mu nie przeszkadzać, usunęły się cokolwiek dalej i po cichu rozmawiały, co im teraz czynić należy, był to bowiem kłopot dla nich niemały.

Odejść i zostawić samego i osłabionego tego człowieka nie chciały, a zbyt długo w tem miejscu nie mogły bawić, gdyż wody i pożywienia nie wiele im pozostało. Po naradzie, postanowili wszakże zatrzymać się w tem samem miejscu przynajmiej przez tę jedną noc, spodziewali się bowiem, że przez resztę dnia i przez całą noc nieznajomy przyjdzie może o tyle do sił, że będzie mógł utrzymać się na ośle, więc będzie mógł z nimi razem jechać. Ale wobec tego trzeba im było koniecznie postarać się o wodę, której teraz nietylko dla siebie, ale i dla osła potrzebowali. Nie wiedzieli jednak, skąd jej wziąść. Chłopcy więc zaczęli przemyśliwać, w którąby się należało udać stronę, by

najprędzej znaleść albo źródełko, albo choćby tylko mały strumyczek. Wreszcie Abda spojrzał na swych towarzyszy i rzekł:

— Poco mamy sobie suszyć głowy, w którą stronę iść po wodę i może na próżno jej szukać? Ja usiądę na tego czworonoga i pojadę nazad do źródełka, gdzieśmy rano byli, osioł napije się, a ja na pewno wrócę z wodą.

Wicusiowi i Hadrze spodobała się ta myśl, i niebawem Abda, napoiwszy osła resztą wody, usiadł na niego i, popędzając zwierzę, szybko odjechał.

Wdzięczność za ocalone życie.

Koło czwartej godziny po południu ocalony człowiek przebudził się, i choć z trudem dźwignął się i usiadł.

— Mógłbym prosić jeszcze o trochę wody — ozwał się do dzieci.

— Bardzo nam żal, ale nie mamy ani kropelki. Abda pojechał po wodę i wnet już pewno wróci — odpowiedziała Hadra i razem z Wicusiem zbliżyła się do siedzącego.

— Czy pana boli jeszcze głowa — zapytała.

— Nie, czuję się zupełnie już dobrze, tylko osłabiony jestem. Trzy dni nie jadłem.

— Mamy tu cokolwiek zapasów, jeżeli pan pozwoli, to prosimy! — rzekła dziewczynka i odwinąwszy zeschnięty chleb, podała go nieznajomemu.

Ten ułamał kawałek i począł wolno żuć. Wicuś dał mu też kawałek sera, który przyjął z ochotą. Spra-

gnionemu trudno jeszcze było połykać, to też zjadłszy kawałek suchego chlèba i odrobinę sera, przestał jeść, powiadając, że na razie to mu wystarczy. Dzieci nie nalegały i usiadłszy przy nim, zaczęły dopytywać o szczegóły napadu. On zaś opowiadał im wszystko, a gdy skończył, zapytał:

— Dokąd wy idziecie?

— My idziemy do El Arisza, a stamtąd do Beniuby.

— I pieszo idziecie taki kawał drogi?

— E, trudno, tak nam wypadło — odrzekł wymijająco Wicuś, nie chciał bowiem zdradzić ich tajemnicy przed obcym i nieznajomym człowiekiem.

Ten popatrzył chwilę na chłopca, potem na dziewczynkę i rzekł:

— Musieliście już długą odbyć drogę; dziewczynka ma zupełnie zniszczoną sukienkę i szmatami owinięte nogi. Pewno pokaleczone są?

Hadra się zarumieniła i usiłowała ukryć stopy pod poszarpaną sukienczyną.

— Kiedy ruszacie w dalszą drogę? — zapytał.

— Chcieliśmy dziś pod wieczór iść dalej, ale pan pewno nie będzie mógł jeszcze siedzieć na ośle, więc uradziliśmy, że dopiero jutro puścimy się dalej, jeżeli, rozumie się, pan będzie mógł jechać z nami, bo samego tu nie zostawimy — mówił Wicuś.

— Tak postanowiliście?... Widać dobre i miłosierne macie serduszka, kiedy nie opuszczacie nieszczęśliwego człowieka. Pan Bóg wam to nagrodzi!...

Tu w oczach nieznajomego pod obrzekłemi powiekami zabłysły łzy. Postępek dzieci wzruszył go.

— Przepraszam — ozwał się po chwili — jeżeli wolno się zapytać, powiedzcie mi, czy jesteście muzułmanami?

— Nie, z wyjątkiem Abdy — odrzekł Wicuś.

— Zaraz to sobie pomyślałem, bo żaden z muzułmanów nie okazywałby takiej litości biednemu żydowi.... Bo ja jestem Żydem... Abraham Aszula, kupiec z El Arisza.

— O, to nas nic nie obchodzi, my jesteśmy chrześcijanami i wszystkich ludzi kochamy — odpowiedział chłopiec, nie rad z wszczętej przez Abrahama rozmowy i dlatego zapytał:

— Za ile dni zajdziemy do El Arisza?

— Poczekajcie, muszę się rozglądnąć po okolicy, bo jeszcze nie wiem, gdzie jesteśmy, i zaczął rozglądać się naokoło, a po chwili rzekł:

— Najmniej dziesięć dni musimy iść do El Arisza. Tak, ale my tam będziemy bardzo prędko.

— A to jakim sposobem? — zapytały dzieci.

Żyd nie odpowiedział zaraz na pytanie dzieci, ale mruczał sam do siebie:

— Tak, Akuba, potem Izadara to dziesięć potem trzynaście, to razem około dwadzieścia trzy mile stąd.... Jutro tam będziemy....

Dzieci, nie rozumiejąc tych rachunków, patrzały zdziwione na Abrahama, który usiadł znów na ziemi i tak dalej mówił:

— Oto widzicie, w Izadara, która stąd oddalona jest o jakie dwadzieścia przeszło mil, a przez którą musimy przechodzić, mam znajomych kupców, z którymi od lat prowadzę interes. Ocaliliście mi życie, ja

wam za to oszczędzę nóg: najmiemy dla każdego z was muła, albo osła, inne dwa zwierzęta dla prowiantów i w tydzień będziemy w El Arisza. Stamtąd zaś na koniach odeszlę was do Beniuby. Nająłbym i tutaj konie, ale, jak wiecie muzułmanie nie pozwalają na nich jeździć Żydom, mogłaby nas znów spotkać jaka przygoda z fanatykami muzułmańskimi, więc lepiej nie narażać się. Cóż zgadzacie się?

— Ależ owszem, z największą chęcią i wdzięczni jesteśmy panu za to. A im wcześniej będziemy w Beniubie, tem lepiej dla nas, a i pewno dla państwa Reynaudów, którzy muszą się smucić i martwić, że tak długo nie wracamy — odpowiedział Wicuś.

— Kto się smuci w Beniubie, że nie wracacie? — zapytał wielce zdziwiony Abraham i rozwartemi oczyma począł wpatrywać się w dzieci.

Wicuś teraz dopiero spostrzegł, że nieopatrznie zdradził w części ich tajemnicę, i, aby jako tako jeszcze złe naprawić, odrzekł niedbale:

— O, nasi znajomi, których mamy wielu w Beniubie.

Żyd pokiwał głową, bystro popatrzał na zmieszane dzieci i uśmiechając się, powiedział:

— Widzicie, ja jestem kupcem, często bywam w Beniubie, bo garnizonowi francuskiemu dostarczam różnych rzeczy, znam też w tym mieście wszystkie familie francuskie, i zacnych państwa Reynaudów też. I dlatego wam powiem, że zniknięciem Hadry pani Reynaud bardzo jest zmartwiona, jak i tem, że szukający dziewczynki chłopcy oddawna nic znać o sobie nie dali; zaś stary muzyk całymi dniami przesiaduje na ryn-

ku z próżniakami arabskimi i narzeka, że mu Abda uciekł. To wam stary Abraham powiada, ale stary Abraham nie powie nikomu, że z nim do El Arisza jedzie porwana przez krewnych Hadra i dwaj dzielni chłopcy, co ją Arabom wykradli i staremu Abrahamowi ocalili życie!

Usłyszawszy te słowa, dzieci struchlały i ani ust ze zdumienia i strachu otworzyć nie były w stanie. Żyd spostrzegł to i uśmiechnął się.

— Nie bójcie się, dzieci. Ja was nie zdradzę. Dziękujcie Boga, że tak wam się powiodło, i że nie wpadliście w szpony tych dzikich rozbójników, jak ja.

— Jak pan nas.... — wybąknął wreszcie Wicuś.

Żyd roześmiał się szczerze.

— Jak was poznałem? — Cóż, sam się zdradziłeś, a mądrej głowie dość na słowie! Ale bądźcie spokojni, w Beniubie będziecie daleko prędzej, niż spodziewaliście się. Oh, żeby ten Abda już wrócił, bo pragnienie mi dokucza nieznośnie. Nie macie pojęcia, co to za męczarnia, gdy się pić chce — to ogień prawdziwy we wnętrzu....

Lecz w tej samej chwili dzieci ujrzały wracającego Abdę.

— Jedzie już, jedzie! — zawołała wesoło Hadra.

Jakóż po kilku minutach chłopiec stanął przed nim, zsiadł z osła i położył napełniony wodą kubłak na ziemi.

— Jeżeli łaska, Abdo, podaj mi wody — ozwał się Abraham.

Berber zdumiał się, usłyszawszy, że nieznajomy nazywa go po imieniu, i spojrzał na Wicusia.

— Już wszystko odkrył! — odpowiedział Wicuś.

I opowiedział swemu towarzyszowi, co się zdarzyło w czasie jego nieobecności, i co im uratowany Żyd obiecał.

— Ja nigdy nie myślałem, żeby jaki Żyd był tak szlachetnym — ozwał się na końcu Abda i zdziwionym wzrokiem popatrzał na siedzącego starego Abrahama.

Potem wszyscy usiedli razem i dzieci opowiadały swe przygody nowemu znajomemu. Wreszcie dzień się skończył, słońce zaszło, podróżni posilili się resztkami zapasów, odmówili wieczorne pacierze i ułożyli się do snu.

Na drugi dzień wszyscy czworo ruszyli w dalszą drogę. Ocalony przez małych zbiegów Abraham dotrzymał słowa. W dziesięć dni po tem zdarzeniu, o zmroku już prawie, kilku jeźdzców ukazało się na ulicach Beniuby i prosto zmierzali ku mieszkaniu państwa Reynaudów. Dojechawszy doń, trzech z nich zsiadło z koni, które inni zaraz, ująwszy za uzdy, odprowadzili gdzieś do zajazdu, pozostali zaś szybko zbliżyli się do bramy i z gorączkową niecierpliwością zakołatali. Zaledwie służąca uchyliła małą furtkę w bramie, gdy jeden z trzech, oczekujących pod bramą, całą siłą rzucił się przez furtkę i z okrzykiem: pani, moja pani! wbiegł do mieszkania państwa Reynaudów, spożywających w tej chwili kolacyę.

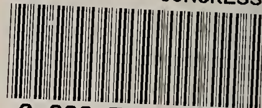
— Wielki Boże! to Hadra! — zawołała pani Reynaud i porwawszy się od stołu, chciała wybiedz do sieni, gdy w tym samym momencie drzwi się otwarły i w objęcia uradowanej pani Reynaud wpadła Hadra!......

Od tego wieczoru dziewczynce spokojnie mijały dnie i miesiące całe, naprózno tylko błagała o Chrzest

św., z powodu bowiem bliskiego sąsiedztwa jej krewnych, dzikich Tifelesów, odmawiano jej ciągle tej łaski. Bano się, żeby dziewczęcia nie zamordowano, a prawa francuskie wymagały upoważnienia do Chrztu ze strony najbliższego członka rodziny, o pozwoleniu zaś jej wuja marzyć nie można było. Należało się więc pogodzić z losem i lepszej oczekiwać przyszłości.

Wreszcie, po wielu próbach i prześladowaniach ze strony swych krewnych, Hadra, dzięki staraniom pewnego misyonarza dostąpiła upragnionej i tyle lat wyczekiwanej łaski: została ochrzczoną. Chrzestną matką była dobra pani Reynaud. Na Chrzcie Hadra otrzymała nowe imię — Marya. Niedługo zaś potem, idąc za wewnętrznym głosem, wstąpiła do Zakonu SS. Karmelitanek, i tym sposobem szlachetne dziewczę arabskie poświęciło swe życie na usługi chorych i opuszczonych.








LIBRARY OF CONGRESS
0 002 725 954 6